

Andrzej Setman

# Bella

- między pępkiem  
a granicą majtek

© Andrzej Setman  
[www.setman.pl](http://www.setman.pl)  
[andrzej@setman.pl](mailto:andrzej@setman.pl)

Wydawnictwo  
MOŻNA INACZEJ  
01-494 Warszawa, ul. Sołtana 12/24

Drukarnia  
Sowa Sp. z o.o  
[www.sowadruk.pl](http://www.sowadruk.pl)

Redakcja stylistyczna  
Elżbieta Halina Michalak

Fotografia na okładce  
Szymon Dederko

ISBN 978-83-930887-2-0

Warszawa, 16 maja 2011 r.

## Droga Czytelniczko!

Przypadki nie istnieją! Także książka ta, to nie przypadek!

Nieprzypadkowo zwracam się do Kobiet, bo to Wy, Drogie Panie, jesteście w ogromnej większości odbiorcami moich książek.

Zapewne podczas lektury zadasz sobie pytanie co jest fantazją, a co autobiografią. Informuję: prawdą jest jedynie to, że przeżyłem wszystkie opisane tu emocje; fikcją - cała reszta (albo trochę mniej ☺).

Jeśli u Ciebie, Droga Czytelniczko, *Bella* wywołała jakieś uczucia, to proszę Cię serdecznie:

**Usiądź do klawiatury i na gorąco podziel się ze mną swoimi wrażeniami - napisz do mnie choć kilka słów o tym co myślisz i czujesz. Twój list będzie dla mnie najwspanialszym dowodem, że warto było pisać.**

Dziękuję Ci serdecznie!

*Andrzej Setman*

*Warszawa, 10 października 2008 r.*

WŁAŚCICIELEM TEJ KSIĄŻKI JEST

ANDRZEJ SETMAN



# Awers

## **Ex omni me**

Całego siebie dać jak bukiet chabrów,  
bo zawsze warto. Bo nigdy nie za późno.  
Lampą dla ludzi być, a kawą być dla aniołów,  
których mi żal. Którym jest w niebie nudno.

*Konstanty Ildelfons Gałczyński*

## Dyktafon

– Ta-to?! – Ida aż jęknęła z osłupienia na widok ojca siedzącego w poczekalni przed salą operacyjną. – Ty tutaj?!

– No co się dziwisz, jakbyś mnie nie poznała – odrzekł, podnosząc się z krzesła i niepewnie rozkładając ramiona na powitanie córki.

– Wiesz, co z mamą? – spytała, całując go przelotnie w policzek, bez większych oznak radości.

W ciągu czterech lat, jakie minęły od jej ślubu, widzieli się tylko kilka razy na imprezach rodzinnych. Przychodził na nie ze swoją nową, dużo młodszą, przyjaciółką. Z początku współczuła tej milczącej dziewczynie, patrząc, jak traci młodość u boku starszego faceta. Jednak po paru spotkaniach zaczęła odczuwać niesmak, widząc wzrok „tej małej” utkwiony w jej ojca. Wtedy właśnie wyrósł między nimi ten niewidzialny mur. Od tamtego dnia już nie potrafiła ot tak bez powodu zadzwonić do ojca i zapytać: „co nowego u ciebie?”. Jedynym łącznikiem stały się lakoniczne życzenia imieninowe przesyłane esemesem. Ida, zapytana czy jest zazdrosna, że jej miejsce zajęła smarkuła ze wzrokiem zakonnicy rozmodlonej pod figurą świętego Józefa, pewnie by zaprzeczyła.

– Operacja już się zaczęła i chyba szybko się nie skończy...

– Widziałeś mamę?

– Tak, widziałem, jak ją przewozili na salę operacyjną, leżała na wózku...

– Poznała cię?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Jak wyglądała?

– Kiepsko, ale po głupim jasiu nie wygląda się najlepiej.

– Rozmawiałeś z lekarzem? – spytała, spodziewając się, że otrzyma chociaż promyk nadziei.

– Nie.

– Myślisz, że będzie dobrze?

– Zobaczymy – odpowiedział spokojnie, wpatrując się w czerwony napis „Nie wchodzić”, który świecił nad drzwiami bloku operacyjnego.

– Tak mówisz, jakby ci to było zupełnie obojętne – stwierdziła z wyrzutem, nie dostając nadziei.

– Bo jest – spojrzał jej w oczy i powtórzył: – Bo jest.

– Nie rozumiem. To po co tu przyjechałeś? – oczekiwała wyjaśnienia, dlaczego jechał aż siedemset kilometrów, skoro los byłej żony jest mu obojętny.

– Aby tu być.

Stanowczość odpowiedzi zakłuła ją w sercu. Znała ten ton niedopuszczający sprzeciwu. Usłyszała go tylko raz w życiu, kiedy wybierała się na szkolną wycieczkę do Wenecji. On się wtedy sprzeciwił, mówiąc krótko: „Nie pojedziesz”. Nie pomogły łzy i dąsy. NIE POJEDZIESZ było nieodwołalne, jak śmierć dwóch kolegów z klasy w rozbitym autokarze. Dziś po raz drugi usłyszała w jego głosie tę samą stanowczość. Wspomnienie tamtego zdarzenia zakłuło nieprzyjemnie, jak tylko potrafi dokuczyć bezsensowny koniec...

„Może on rzeczywiście z jakichś nieznanych mi powodów ma warować pod salą operacyjną? Może nadal kocha matkę, mimo że od ich rozvodu minęło tyle lat?” – pomyślała. „Ale skoro mamy spędzić obok siebie kilka godzin, to niech nie siedzi tak bez słowa, ukryty za murem milczenia. Niech powie cokolwiek, wszystko jedno co, jakąś błahą historyjkę skracającą bodaj odrobinę czas oczekiwania na wynik operacji. To i tak będzie lepsze niż cisza szpitalnej poczekalni”.

– Tato... – zaczęła niepewnie. – Czy ty jeszcze kochasz mamę?

– Nie, już dawno nie. Od ponad dwudziestu lat już jej nie kocham.

– Od rozvodu?

– Nie, wtedy ją kochałem...

– Nic z tego nie rozumiem. Rozstaliście się dwadzieścia dwa lata temu. Ostatni raz spotkałeś się z nią na moim ślubie. To dlaczego dziś tu jesteś?

– Nie wszystko w życiu trzeba rozumieć. Życie to nie jest matematyka.

– Wy tłumacz mi. Proszę!

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Chcę wiedzieć jak najwięcej.

– Co mam ci opowiedzieć?

– Cokolwiek, najlepiej to, czego jeszcze nie wiem lub się nie domyślam.

– Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz. Gdybyśmy spróbowali stworzyć obraz twojej mamy, ty i ja, powstałyby trzy niepodobne do siebie portrety. Ty znałaś tylko jeden...

– Masz rację, nie znałam mamy. Teraz wiem, że nawet wcale nie pragnęłam jej poznać. Nie chciałam być taka jak ona i mam nadzieję, że nigdy nie będę.

– To dobrze... Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku, od tego, jak się poznaliście.

– Opowiadałem ci kiedyś, gdy zwiedzaliśmy Warszawę. Pokazałem ci kawiarenkę „U Michała”, przy Barbakanie. W moich czasach zawsze była pełna ubożuchnych licealistów, wysiadujących godzinami przy herbacie po angielsku.

Tamtego wieczoru szedłem do teatru, ale miałem jeszcze dużo czasu i postanowiłem powłóczyć się po Starówce. Na ramieniu niosłem aparat fotograficzny i dyktafon. Chciałem nagrać przedstawienie. Uwielbiałem nagrywać i fotografować. Zatrzymywać obraz i dźwięk. Nagrywałem, co popadnie: audycje radiowe, rozmowy telefoniczne, sztuki teatralne. Miałem w domu setki kaset z nagraniami. Zajmowały większą część pokoju. Zupełnie jak stojące latami w piwnicy mojej babci słoje zawekowanych kompotów z mirabelek o smaku kwasu akumulatorowego. Drugą moją pasją było fotografowanie znaczących chwil w życiu. Nie masz pojęcia, ile ich było. Każda wycieczka,

zabawa szkolna czy imieniny pożerały po kilka filmów. Najcenniejsze zdjęcia wklejałem do albumów, reszta leżała w pudełkach po butach, idealnie wpasowanych w półki w regale.

– Co się z nimi stało?

– Większość już nie istnieje. Nie żyją także ludzie uwiecznieni na tych zdjęciach. O wielu z nich nikt oprócz mnie już nie pamięta. Tak samo twoje dzieci. Kiedy dorosną, będą mnie znały tylko z twoich opowiadań, nawet nie będą mogły sobie przypomnieć zapachu mojej brody.

– To, co mi mówisz, jest okropnie smutne...

– Nie, kochanie. To nie jest smutne. Mnie też się kiedyś wydawało smutne coś, co mija bezpowrotnie. Gdy mój ojciec powiedział mi: „Każdy umiera, ja też kiedyś umrę”, rozbeczałem się na myśl, że w przyszłości go nie będzie. Ale on nie umarł „w przyszłości”, on umarł „w przeszłości”, i to tak odległej, że pewnie nie pamiętasz zapachu jego brody, którą lubiłaś tarmosić.

– A jednak to przygnębiające, że kiedyś nas nie będzie.

– Nie tylko nas. Nie będzie również tych chwil, naszych radości, nadziei, smutków, emocji, a może nawet tych miejsc nie będzie. Wioska mojej babki dziś nie istnieje. Nie ma tamtego domu z wigilijną choinką przywiezioną z lasu na sankach. Nie ma lasu... Nie ma już tych ludzi, tego zapachu ciasta, tej krzątaniny, tych kolorowych opłatków przypiekanych na brąz na blasze węglowej kuchni. Nic z tego nie istnieje i już nie zaistnieje. Pozostały tylko albumy ze zblakłymi fotografiami, na których jeszcze widać śmiesznie ubranych ludzi. Tylko w muzeach techniki znajdują się patefony mogące jeszcze odtworzyć popularne przeboje z tamtych czasów, nagrane na płytach szelakowych tłukących się w drobny mak, jakby były ze szkła, gdy obchodziło się z nimi nieostrożnie.

– Pamiętam taki patefon na korbkę. Stał na strychu. Lubiłam tam chodzić i słuchać tych płyt. Wyobrażałam sobie, że to jest muzyka nagrana przez duchy. – Uśmiechnęła się do wspo-

mnień. – Wiesz, tato, smutno mi się zrobiło, że już nie ma tego patefonu i nigdy więcej nie posłucham muzyki duchów.

– Powiedziałaś: smutno mi się zrobiło, ale uśmiechnęłaś się do wspomnień. Wiesz, czemu się uśmiechnęłaś? Bo te wspomnienia masz w sobie. Bo pamiętasz ten patefon i tę muzykę pełną szumów przypominających myszy skrobiaące pod drewnianą podłogą. Gdybym ci opowiedział o swoim motorze i o tym, jak z twoją mamą pojechaliśmy na wycieczkę w góry, nie wywołałoby to w tobie wspomnień, lecz jedynie wyobrażenie. Bo jedynie nasze własne wspomnienia mają dla nas wartość. Wspominać potrafimy tylko to, co sami przeżyliśmy. Większą wartość ma dla ciebie wspomnienie spaceru po jesiennym parku niż wyobrażenie miłości Julii. Spacer był twój, a miłość do Romea to cudze uczucie.

– Uważasz, że twoje wspomnienia są dla mnie bez znaczenia?

– Tak, są dla ciebie zupełnie bezwartościowe, jeśli ich nie poznałaś – wyjął z portfela pożółkłą fotografię przedstawiającą dwóch mężczyzn z dumą prezentujących ogromnego szczupaka. – Ten człowiek, który trzyma zdobycz, także nic dla ciebie nie znaczy. A to właśnie on nauczył mnie łowić ryby. Z nim spędziłem wiele dni na łódce. Mój dziadek zawsze potrafił znaleźć czas na rozmowę ze mną. W dużym stopniu jemu zawdzięczam to, kim teraz jestem i jaki jestem.

– Czy to znaczy, że wspomnienia są jak pieniądze? Tylko te w portmonetce albo na koncie coś znaczą?

– Nie... Niezupełnie. Gdy ludzie dzielą się pieniędzmi, to jednemu ubywa, a drugiemu przybywa. Dzielenie się rzeczami niematerialnymi, takimi jak uczucia, wspomnienia, marzenia, sprawia, że przybywa obojgu. Niezależnie od tego, czy są to pozytywne, czy negatywne emocje.

– Tato, to, co mówisz, jest sprzeczne z logiką. Czy uważasz, że im więcej dam, tym więcej będę miała?

– Masz rację. Logika uczuć wydaje się nieco inna niż logika matematyczna. Fizyka cząstek elementarnych różni się od fizyki newtonowskiej. Jednak jej nie przeczy, a jedynie rozszerza ją o nowe prawa. Jeżeli chcesz bardziej kochać, dziel się swoją miłością, a zostaniesz nią otulona jak mgłą. Chcesz się przekonać? Wyobraź sobie, że dwoje ludzi uczestniczy w weselu. Jeden z nich ma kamerę i cały czas filmuje. Jak sądzisz, który zachowa więcej wspomnień? Ten, który filmował?

– No... chyba tak. Przecież logicznie rzecz biorąc, cały czas wyłapywał najciekawsze momenty.

– Nic z tego. Gdyby zaraz po weselu mieli zdać z niego sprawozdanie, ten bez kamery przypomni sobie cztery razy więcej szczegółów niż ten, który filmował.

– Chyba rzeczywiście tak jest, ale ten, który ma nagranie, może je w każdej chwili obejrzeć – próbowała bronić swojej logiki.

– Masz rację, pewnie obejrzy i nawet przez jakiś czas będzie całkiem nieźle znał nagrane scenki z wesela. Jakby oglądał film w kinie. Po wyjściu z kina pamięta się film dość dobrze, ale niedługo. Po roku ten, który filmował, będzie pamiętał jedynie „obrazy ze ślubu”, ale one nie wywołają w nim żadnych emocji.

Ja także starałem się tworzyć wspomnienia, robiłem zdjęcia i zapisywałem głos na taśmie magnetycznej. W tamtych czasach nie było jeszcze kamer wideo, bo zapewne od rana do wieczora nie odklejałbym oka od wizjerka. Na szczęście miałem tylko aparat fotograficzny i dyktafon. Dzięki temu moje życie nie przebiegało tak zupełnie obok mnie.

– Nie przypominam sobie jakiejś szczególnie ogromnej liczby kaset i zdjęć w naszym domu. Było tylko kilka albumów, ale kaset i pudełek po butach pełnych fotografii nie pamiętam. Co się z nimi stało?

– Wyrzuciłem je.

– Nie było ci szkoda? – zdziwiła się.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. Wkładając je do kontenera na śmieci czułem, jakby umierała moja młodość.

– To dlaczego to zrobiłeś?

– Bo dałem słowo.

– Komu?

– Twojej mamie.

– Opowiedz mi o tym, proszę...

– To była nasza pierwsza wspólna wycieczka. Był dwudziesty pierwszy lipca. Staliśmy nad przepaścią w górach. Na tę chwilę przygotowywałem się od rana. Wstałem wcześniej i poszedłem po chrupiące bułeczki na śniadanie. Po drodze wstąpiłem do gospodyni domu, żeby zdobyć czerwoną różę. Wiedziałem, że za żadną cenę nie sprzeda ani jednego kwiatka ze swojego ogrodu. Zapłaciłem prawdą.

Wybrała siedem najpiękniejszych pąków, kiedy jej powiedziałem, czemu mi zależy na różach z krzewu rosnącego przed jej domem. Starannie owinęła łodygi plastikową torebką z mokrą ligniną, żeby kwiaty nie zwiędły, kiedy przez kilka godzin będziemy się wdrapywać na szczyt.

Ustawiłem aparat. Obiektyw objął nie tylko nas, ale i całą dolinę wraz z szachownicą pól i domkami, które z tej wysokości przypominały pudełka zapalek. Wyjąłem różę z plecaka i jednocześnie niezauważalnie włączyłem nagrywanie w dyktafonie ukrytym w kieszeni bluzy. Ukłąłem przed moją dziewczyną. W tym momencie samowyzwalacz zrobił zdjęcie, a ja powiedziałem, że bardzo ją kocham i jeszcze chciałem dodać, że...

– Jak bardzo mnie kochasz? – twoja mama przerwała moje pieczołowicie przygotowywane oświadczyiny.

– Najbardziej jak to jest możliwe! Jestem nawet gotów skoczyć w tę przepaść, jeśli tego zażadasz – i skoczyłbym, gdyby mi kazała. Ale nie, ona zupełnie zbiła mnie z tropu...

– Jeśli chcesz, żebym ci uwierzyła, to rzuć w przepaść swój aparat fotograficzny i dyktafon, który masz w kieszeni – zdębiałem!

– A film, a kasetę? – zapytałem w nadziei, że pozwoli mi zachować chociaż nagrania i zdjęcia z oświadczyn.

– Razem z filmem i kasetą – powiedziała spokojnie. – Starymnie umieściłem aparat w futerale i... rzuciłem go w przepaść. Wyjąłem z kieszeni dyktafon i nie zatrzymując zapisu, zamachnąłem się z jakąś niezrozumiałą satysfakcją. Szerokim łukiem poleciał trzysta metrów w dół. Ten lot dyktafonu będę pamiętał do końca życia. Dwadzieścia lat oglądałem go w pamięci, klatka po klatce, w zwolnionym tempie, tysiące razy zatrzymywałem, cofałem i powtarzałem, jakbym sfilmował przełot anioła.

– Nie było ci żal?

– Cholernie! Ale rozumiałem, że jeśli będę z twoją mamą, to czeka mnie fascynujące, choć trudne życie, jakie nie każdemu jest dane.

– Skąd wiedziałeś, że życie z mamą będzie fascynujące, choć trudne?

– To długa historia.

– Opowiesz mi?

– Nie mam przed tobą nic do ukrycia.

– Ale najpierw dokończ tamto zdarzenie – poprosiła Ida.  
– Oświadczyłeś się jej wtedy?

– Tak. Ukłakłem i jeszcze raz poprosiłem, żeby została moją żoną.

– Tym razem klęczysz przede mną, a nie przed obiektywem – powiedziała twoja mama. – Teraz wierzę, że mnie naprawdę kochasz. – A po chwili dodała: – Ale jeśli chcesz, żebym została twoją żoną, musisz wyrzucić wszystkie zdjęcia i nagrania.

– Wszystkie? – zapytałem załamany, jakby mi kazała podpalić bibliotekę aleksandryjską.

– Tylko te niewklejone do albumów. Taka jest moja cena. Zapłacisz ją, jeżeli rzeczywiście pragniesz, abym została twoją żoną.

– Ale dlaczego? Wy tłumacz mi, proszę – świat nagle wywrócił mi się na lewą stronę. Nigdy wcześniej nie krytykowała mojego hobby. Wprost przeciwnie, pozwalała się fotografować. Nawet chętnie pozowała. Łatwiej byłoby mi skoczyć w przepaść, gdyby tego zażądała niż żyć bez moich zakonserwowanych wspomnień.

– Bo chcę, żebyś żył, a nie tylko był obserwatorem życia – odrzekła spokojnie. – Wahasz się? Chcesz przemyśleć, czy jestem tego warta? Nie musisz mi odpowiadać od razu. Dam ci czas do namysłu. Poczekam pięć minut.

Chodziłem w kółko na tej niewielkiej przestrzeni nad przepaścią i, rozpaczając, bezustannie mówiłem sam do siebie: „Cała fonoteka na śmietnik?”, jakbym był zdartą płytą. Za dużo ode mnie żądała. Nie mogłem jej tego dać. To było tak, jakbym musiał całe życie wyrzucić na śmietnik? I nagle zatrzymałem płytę. Zrozumiałem, że naprawdę za chwilę wyrzucę na śmietnik całe swoje życie, ale przyszłe życie, to, które mogę przeżyć z twoją mamą. Podobno w sytuacji zagrożenia człowiek w ciągu kilku sekund widzi cały film ze swojego życia. Miałem kilka groźnych wypadków samochodowych i nigdy nic podobnego mi się nie zdarzyło. Wtedy jeden jedyny raz odczułem coś podobnego, ale to nie był film ułożony ze wspomnień, lecz z uczuć i emocji czekających na mnie w przyszłości. Czuję jednocześnie radość, smutek, wielkie szczęście i potworną rozpacz. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Dopiero po roku uświadomiłem sobie znaczenie tamtej chwili. Trwała niecałą minutę i skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Popatrzyłem w niebo.

– Chcę przeżyć resztę życia z tobą, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi za to zapłacić. Ale błagam cię, pozwól mi zachować jedno zdjęcie, którego nie wkleiłem do albumu.

– Tylko jedno? – spytała.

– Tak, to, które noszę w portfelu.  
– Portfel mogę uznać za rodzaj albumu – zgodziła się.  
– I nagrany wczoraj kasetę... – zebrałem.  
– Dobrze – zgodziła się.  
– I wiesz, co wtedy zrobiła? Ukłęknęła przede mną i powiedziała:

– Proszę cię, abyś został moim mężem. Teraz ty podaj swoją cenę. Zapłacę każdą, bo warto.

– Nie miała żadnego hobby, nie zbierała znaczków ani monet. Nic mi nie przychodziło do głowy oprócz jednego, czego pragnąłem od dawna.

– Chcę, żebyś się ze mną kochała tej nocy... – zdobyłem się na odwagę i wypowiedziałem swoje wielkie marzenie.  
– I żebyś po latach, kiedy nadejdzie śmierć, kochała mnie tak samo jak teraz.

Popatrzyła na mnie, jakbym za wiele od niej oczekiwał.

– Dużo żądasz, nie wiedząc, co to oznacza... Ale dobrze, niech tak będzie.

Wtedy nie rozumiałem, co oznaczał jej wzrok. Myślałem, że się pospieszyłem i że ona nie jest jeszcze gotowa na rozpoczęcie współżycia. Dziś wiem. Ona w tamtej chwili czuła, a może nawet wiedziała, jak potoczy się nasze życie. Wypiliśmy ciepłego szampana i całując się jak najszcześniejsi opętańcy, wyrzuciliśmy kieliszki w przepaść. Na szczęście! Butelkę zabraliśmy, żeby nie zaśmiecać gór.

Musiało minąć ponad dwadzieścia lat, abym zrozumiał, że wtedy miała cholerną rację. Dzięki niej żyłem, a nie tylko obserwowałem życie, odkładając wspomnienia „na później”.

Zamilkł, jakby wahał zapach siedmiu rozwijających się pąków bordowo-czerwonych róż.

## Dzwony

– Przydałaby się przerwa – powiedział wesoło. – Może jakaś pielęgniarka przebiegnie z pluszowym misiem na tacy albo rozlegnie się dzwonek i reżyser ogłosi: „dziesięć minut przerwy na planie”?

– Czy ty zawsze musisz swoje najpiękniejsze wspomnienia kończyć durną wstawką? Zupełnie jak bajki, które opowiadałeś mi na dobranoc. Pewnie wyda ci się to śmieszne, ale każdego wieczoru czekałam w napięciu, jak zakończysz opowiadaną legendę. Bo może zamiast happy endu królowa okaże się siostrą księcia i nie będą mogli się pobrać? Albo Kopciuszek wyjedzie do babci na wakacje i nie uda się znaleźć właścicielki pantofelka? Czy ty nigdy nie bywasz poważny? Nawet teraz nie możesz? W takiej chwili? Masz rację, potrzebuję odetchnąć. Muszę się przejść – powiedziała ze złością. – Tu gdzieś na pewno musi być automat do kawy. Przynieść ci też?

– Czarną z cukrem poproszę – odrzekł pokornie.

Ida wyszła z poczekalni.

„Może rzeczywiście przesadziłem” – pomyślał. – „Przecież nie wszystkim musi odpowiadać moje poczucie humoru”. Postanowił ją przeprosić.

Do poczekalni zajrzała uśmiechnięta pielęgniarka.

– Przepraszam, czy nie widział pan sześćioletniego chłopca w czerwonym sweterku z ręką w gipsie? – spytała. Z kieszeni wystawała jej pluszowa małpka.

– Przed chwilą była tu tylko dwudziestosiedmioletnia dziewczynka, ale nie miała gipsu ani czerwonej czapeczki. Więc raczej nie pasuje do tego rysopisu – odpowiedział z aktor-ską powagą w głosie.

– Gdyby zobaczył pan skrzata na hulajnodze, to proszę pamiętać, że oddział psychiatryczny jest na piątym piętrze

– odparowała pielęgniarka, pokazując garnitur białych zębów, i pobiegła szukać dziecka.

Po chwili nadeszła Ida z dwoma plastikowymi kubkami.

– Czarna z cukrem – powiedziała, podając mu kawę. – Tak jak lubisz. Chcę cię przeprosić za mój wybuch. Bardzo się martwię o mamę...

– Też chciałem cię przeprosić...

– Lepiej tego nie rób – przerwała wesoło. – Przed chwilą spotkałam pielęgniarkę z małą w kieszeni. Zrozumiałam, że gdybyś był inny, to czekanie byłoby nie do zniesienia. Lepiej dokończ swoje opowiadanie o tym, jak się poznaliście.

– Jak to, nie wiesz? Już mówiłem. W herbaciarni nie było wolnych miejsc, a na dodatek jakiś student śpiewał rosyjskie romanse przy akompaniamencie gitary. Było jasne, że nikt nie wyjdzie. Miałem ze sobą kilka zapasowych kaset. Mogłem nagrać ballady, nie martwiąc się, że mi zabraknie taśmy na przedstawienie teatralne. Brakowało jedynie miejsca w herbaciarni.

Stałem przy drzwiach jak palant. Lustrowałem salę w nadziei, że jednak gdzieś znajdzie się skrawek miejsca, abym mógł bodaj przykucnąć i nagrywać. Obserwowała mnie śliczna dziewczyna, siedziała akurat naprzeciw wejścia. Uśmiechnęła się do mnie i coś powiedziała do sąsiadów na ławce. Każdy przesunął się o kilka centymetrów i obok niej zrobiło się wolne miejsce. Wskazała wzrokiem, że to dla mnie.

Byłem wniebowzięty. Nie dość że mogłem nagrać studenta śpiewającego ballady, to jeszcze zwróciła na mnie uwagę prześliczna dziewczyna. Mając marne kilkanaście lat, nie bardzo wiedziałem, jak rozpocząć rozmowę, a co dopiero otrzymać uśmiech od dziewczyny... To graniczyło z cudem. Na dodatek chodziłem do męskiej klasy o profilu technicznym.

W szkole uczyli wszystkiego, co nigdy w życiu mi się przydało. Co z tego, że potrafiłem podejść na trzy sposoby do zadania z niewiadomymi urojonymi, otworzyć skomplikowany zamek zapadkowy i tak opanować reakcję jądrową, aby stała się

kontrolowaną, skoro nie nauczyli mnie, jak podejść do dziewczyny, otworzyć gębę i panując nad drżeniem rąk, spokojnym głosem zaproponować spacer. Ale i tak miałem ogromnie ułatwione rwanie w porównaniu z kolegami, którym los poskąpił siostry. Ci czuli się zupełnie jak Marsjanie nagle lądujący przed pochodem pierwszomajowym z portretami Gierka, niby wesoło i kolorowo, ale nie wiadomo, co zrobić z rękami. Dziesięciu kolegów z mojej klasy ożeniło się z pierwszą dziewczyną, która się do nich uśmiechnęła. Po podstawówce niemal każdy z tych nieciekawych potworów niezgrabnie kopiących piłkę nagle przekształcał się w jakiegoś dziwnego osobnika wzdychającego do osobniczki zwanej potocznie dziewczyną.

W tamtych czasach szkoła była wyspą obłędu w oceanie codziennego życia. A znajomość języka starocerkiewnego okazała się w praktyce tak samo przydatna jak propedeutyka nauki o społeczeństwie socjalistycznym. Nasza buda ograniczała kontakt z dziewczynami do wieczorków tanecznych. Zapraszaliśmy na nie uczennice z liceum pielęgniarskiego, w którym jedynymi przedstawicielami samców byli kulawy dozorca i jego pies. One też nie miały zielonego pojęcia, jak z nami rozmawiać. I chyba następnego dnia po dyskotecie uważały nas w równym stopniu za idiotów, co my je za kretynki. I co z tego, że wszyscy zdaliśmy „egzamin dojrzałości”, skoro mieliśmy w sobie tyle dojrzałości, ile mysz odwagi do pokonania kota. Mam nadzieję, że twoja szkoła nie była takim nonsensem jak moja.

– To, co mi opowiadasz, to rzeczywiście horror, ale szkoła od twoich czasów niewiele znormalniała. Dalej większość lekcji to bzdety, a przedmiot o szumnej nazwie: przygotowanie do życia w rodzinie prowadziła w naszej szkole stara panna, której słowo „penis” nigdy by nie przeszło przez usta. Powiedziałaś jednak coś niezwykle ważnego, o czym nigdy nie pomyślałam. Rzeczywiście, moje koleżanki jedynaczki albo te, które miały tylko siostrę, dużo częściej narzekały na chłopaków i trudniej im było nawiązać z nimi satysfakcjonujący kontakt. Ciekawa

jestem, czy ktoś kiedyś badał zależność między liczbą rozwodów a posiadaniem rodzeństwa tylko tej samej płci. Kontakt z drugą płcią w dzieciństwie i w okresie dojrzewania musi być ciągły, a nie tylko ograniczać się do spotkań urządzanych od wielkiego dzwonu.

– Z tymi dzwonami to masz rację. One miały dla mnie ogromne znaczenie. Dzięki nim poczułem, jak bardzo kocham twoją mamę.

– W czasie waszego ślubu?

– Nie. To było jesienią, ze dwa miesiące po oświadczeniach. Mój kolega z podstawówki żenił się z potwornie brzydką dziewczyną. Oczywiście z tą pierwszą, która się do niego uśmiechnęła. Nie muszę chyba dodawać, że nie miał siostry. Ślub brali w tym samym kościele, gdzie ja przez jakiś czas byłem ministrantem.

Lubiłem służyć do mszy, a szczególnie lubiłem ten moment głębokiej ciszy, kiedy ksiądz podnosił hostię, a ja mogłem potrząsać ciężkimi mosiężnymi dzwonkami. Ich głos niósł się po całym kościele, a potem jeszcze raz, gdy przyklęknął, dzwoniłem trzykrotnie – dzyń, dzyń, dzyń.

Uwielbiałem tę chwilę. Zwykle udawało mi się potrząsnąć nimi cztery razy, ale kiedy doszedłem do pięciu, dzwonki przekazano innemu ministrantowi. Był słabego zdrowia. Dzwonił beznamytnie, a ja modliłem się żarliwie o epidemię grypy.

Pewnego razu kościelny poprosił księdza, aby jeden z ministrantów pomógł mu przy dzwonach. Miałem nadzieję, że pójdzie mój kolega, a ja znów będę mógł dzwonić w uniesieniu podczas podniesienia. Ale ksiądz palcem wskazał na mnie, mówiąc ze śmiechem: „weź jego, jest tłusty i lubi dzwonić”. Zapewne miał na myśli to, że do rozbijania dzwonów potrzebny jest ktoś silny i ciężki, a mój chorowity kolega był prawie o połowę ode mnie lżejszy. Poczułem się potwornie obrażony, ale poszedłem na wieżę kościelną.

To było cudowne przeżycie! W uszach pękały bębni. Serce wyskakiwało z piersi, a sznur konopny wyrwał ręce. Dzwonki przy ołtarzu nagle straciły znaczenie... Tydzień później zapisałem się do klubu krótkofalowców i przestałem ministrować.

Ślub naszego kolegi, mimo że celebrował go ksiądz Tadeusz, który uczył nas w szkole religii, był bardzo skromny. Nie rozłożono nawet czerwonego dywanu dla Młodej Pary. Po wyjściu z kościoła tłum przyjaciół i znajomych obrzucił nowożeńców kilogramami ryżu. Zleciały się gołębie z całej okolicy. Trzymając się z twoją mamą za ręce, staliśmy w kolejce do składania życzeń, tak przejęci, jakby to był nasz ślub. Obserwując nadlatujące stada gołębi, żałowałem, że nie mam aparatu. Twoja mama spojrzała na dzwonnice i spytała: „Czemu w takiej chwili nie słychać dzwonów?” Wziąłem ją za rękę i pociągnąłem do kościoła. Nie wiedziała, o co chodzi, ale poszła ze mną bez słowa.

Jeden jedyny raz życiu przydała mi się pięcioletnia nauka w technikum mechanicznym. Zwykłą spinką do włosów w dziesięć sekund otworzyłem zamek zapadkowy strzegący wejścia na dzwonnice. Twoja mama rozbijała mniejszy dzwon, a ja ten większy. Chmara gołębi poderwała się do lotu. Ciągnęliśmy z całych sił za gruby konopny powróż wypolerowany dłońmi ministrantów.

Od tej pory gdy trzymam w dłoni konopny sznur, wraca tamto wspomnienie. Kiedy robię zakupy w sklepie z narzędziami, podchodzę do szpuli z liną, macam gruby powróż i słyszę tamtą chwilę.

W huku dzwonów nie usłyszeliśmy, jak na górę wbiegł spocony i wściekły kościelny. „Dzwony nie były zapłacone!” – próbował przekrzyczeć huk. „To prezent od księdza Tadeusza!” – odkrzyknąłem, nie wypuszczając z dłoni sznura. Odszedł zdezorietowany. Po kilku minutach twoja mama całkiem opadła z sił. Też byłem spocony...

Całowaliśmy się pod rozbujanymi i dźwięczącymi dzwonami, święcie przekonani, że nic nas nigdy nie rozłączy. Potem patrzyliśmy przez żaluzję dzwonnicy na świeżo poślubionych i gołębie dziobiące ryż rozsypany wokół jak szczęście.

Długo tak staliśmy...

Zeszliśmy na dół, zatraskując za sobą drzwi dzwonnicy i jako ostatni złożyliśmy życzenia młodej parze.

Kiedy opuszczaliśmy plac przykościelny, już z daleka dostrzegłem, jak między gołębiami, w niedopiętej sutannie, sunie ku nam ksiądz wraz z wściekłym kościelnym, który wskazując na mnie palcem krzyczy: „To ten!”.

Wziąłem twoją mamę za rękę i równie energicznie, jakbyśmy też byli wściekli, ruszyliśmy w ich stronę. Zatrzymali się niepewnie na środku placu, który nie wiadomo czemu wszyscy nazwali cmentarzem kościelnym. Patrząc księdzu Tadeuszowi prosto w oczy, powiedziałem dobitnie: „Następnym razem niech ksiądz nie zapomni rozwinąć swojemu uczniowi w prezencie ślubnym czerwonego chodnika. Nawet gdybym to ja miał być tym następnym”. – I klasnąłem w dłonie. Gołębie poderwały się do lotu. Zostawiliśmy ich osłupiałych i, śmiejąc się, pobieглиśmy za orszakiem weselnym.

## Śmieć

Patrzył na córkę jak na małą dziewczynkę. Jej radość wywołana jej opowieścią gasła z każdą sekundą.

– Co się stało? O czym myślisz? – spytał zaskoczony jej reakcją.

– To, co mi opowiadasz, jest takie radosne, a przecież kilka metrów stąd, za tymi drzwiami, operują moją mamę... Nie wiem, czy przeżyje... Teraz nie powinnam cieszyć się twoimi opowiastkami, powinnam się martwić.

– Co pomoże twoje zmartwienie?

– Tato, jak ty wszystko upraszczasz – odpowiedziała rozdrażniona.

– Czy jesteś na tyle dorosła, żeby logicznie ze mną rozmawiać, czy wolisz, abym jak małemu dziecku wytłumaczył ci błąd twojego rozumowania?

– Ono nie jest błędne!

– Przekonać cię, że jest?

– No dobrze, przekonaj, chociaż to niemożliwe – upierała się.

– Skoro niemożliwe, to niczym nie ryzykujesz, odpowiadając na pytania, które ci zadam.

– I co mi chcesz w ten sposób udowodnić?

– Pewnie nie raz rozwiązywałaś zadanie matematyczne, nie wiedząc, jaki będzie wynik. Zobaczmy, co wyniknie z moich pytań. Zgoda?

– Zgoda – przystała na moją propozycję, nadal przekonana o swojej słuszności

– Ustalmy, że będziesz odpowiadać tylko na moje pytania. Powiedzmy, na dziesięć pytań, bo to okrągła liczba. Odpowiadaj „tak” lub „nie”, bez komentowania ich sensowności. Dobrze?

– Dobrze.

– Czy twoje martwienie się pomoże chirurgowi trzymać skalpel?

– Właściwie to nie, ale...

– Miałaś odpowiadać tylko na pytania, komentarze zostaw na później! To jak, pomoże czy nie?

– Nie.

– Czy twoje martwienie się lepiej oświetli pole operacyjne?

– Nie.

– Czy twoje martwienie się pomoże instrumentariuszce?

– Nie.

– Czy twoje martwienie się może w jakikolwiek pozytywny sposób wpłynąć na przebieg operacji?

– Chyba nie.

– Czy wiesz o tym, że nasze mózgi wysyłają fale elektromagnetyczne?

– Wiem.

– Czy istnieje taka możliwość, że nasze mózgi porozumiewają się ze sobą?

– Podobno istnieje, ale ja nie wierzę w telepatię.

– A gdyby istniała, to czy twój zły nastrój mógłby się udzielić chirurgowi?

– Gdyby istniała, to mógłby.

– Czy mógłby udzielić się im także twój dobry nastrój?

– Pewnie mógłby i dobry.

– Czy lepiej ci się pracuje w dobrym nastroju, czy jak się martwisz?

– Oczywiście, że wtedy gdy mam dobry.

– Wolisz mieć dobry czy zły nastrój?

– Zwykle wolę dobry, ale nie teraz.

– Czy nie chcesz teraz mieć dobrego nastroju, bo nie mógłby się nie udzielić chirurgowi?

– Nie, no tak, nie... Tato, robisz mi wodę z mózgu. Ile już było pytań?

– Było dziesięć pytań, ale zanim woda zacznie ci chlupać, to opowiem ci jeszcze, jak twoja mama wyleczyła mnie z martwienia się – i nie czekając na odpowiedź, wrócił do swoich wspomnień.

Po tym, jak się poznaliśmy, minęło kilka dni. Spotykaliśmy się prawie codziennie. Coś tam między nami zaczynało pączkować, ale jeszcze nie kwitło. Byliśmy biedni jak myszy kościelne. Jedyne pieniądze, jakie miałem, dostawałem od mojej mamy na obiady w stołówce. W sklepiku obok szkoły kupowałem na dużej przerwie kefir i dwie kajzerki. Dzięki temu co drugi dzień stać mnie było na herbatę po angielsku w naszej herbaciarni.

Przechodząc koło antykwariatu, kątem oka dostrzegłem na wystawie *Maga* Johna Fowlesa. Ta powieść była rarytatem w tamtych czasach, natychmiast znikła z półek. „Jak tylko będę miał pieniądze, od razu ją kupię” – wypowiedziałem głośno swoje marzenie. Zdawałem sobie sprawę, że książka długo nie poleży na wystawie.

– A czemu nie kupisz jej teraz? – spytała twoja mama.  
– Bo nie mam tyle pieniędzy.

– A ile masz?

Machinalnie sięgnąłem po portfel i wysypałem na dłoń drobniaki. Przeliczyliśmy. Starczało co najwyżej na dwie herbaty, ale nie na książkę. Twoja mama otworzyła swoją portmonetkę i dosypała swoje drobne.

– Chcę, żebyś ją kupił. Teraz – rozkazała.

Sparaliżowało mnie, a raczej stałem się zupełnie bezwolny. Twoja mama wepchnęła mnie do antykwariatu, a ponieważ dalej stałem z rozdziawioną gębą, sama wzięła z wystawy *Maga*, odliczyła z mojej dłoni potrzebną kwotę, podała kasjerce i nie biorąc paragonu, wypchnęła mnie z powrotem na ulicę.

Jeszcze nigdy nie przeżywałem tylu sprzecznych emocji jednocześnie. To było nieprawdopodobne, żeby dopiero co poznana dziewczyna dała mi pieniądze, żebym sobie kupił upra-

gnioną książkę. Nie potrafiłem ani się cieszyć, ani tym bardziej okazać radości. Szedłem w milczeniu z taką miną, jakbym zgubił kupon totolotka.

– Czemu nie cieszysz się z *Maga*?” – spytała po chwili.

– Martwię się, bo teraz nie mamy pieniędzy na herbatę – odpowiedziałem rozsądnie.

– Czy uważasz, że twoje zmartwienie może w jakiś sposób być dla mnie podziękowaniem? – Zbiła mnie tym z tropu.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę...

– Nie mam, bo nie widać tego po tobie.

– Nie potrafię być beztroski jak dziecko, bo już jestem pełnoletni.

– Czy dlatego nie potrafisz być *bez troski*, bo uważasz, że dorosłe życie to są same troski?

– Nie, to nie tak!

– A jak? Może ty nie chcesz dorosnąć? Chciałbyś wrócić do swojego cudownego dzieciństwa bez trosk i kłopotów?

– Nie kpij. Dobrze wiesz, jakie ono było...

– To może nie chcesz samodzielności?

– Marzę o tym!

– A co dla ciebie znaczy samodzielność?

– No... że wszystko trzeba samemu...

– A czy *samodzielność* może także znaczyć, że nadszedł czas, abyś był dzielny i sam decydował, w jakim nastroju chcesz iść przez życie?

– Ale to przecież nie zależy ode mnie.

– A od czego?

– Od sytuacji.

– Co cię martwi w naszej sytuacji? Zobacz, jaki ładny stąd widok – a widok spod Syrenki stojącej w tamtych czasach na murach obronnych rzeczywiście był bardzo romantyczny.

– Nie potrafię się cieszyć widokiem, bo martwi mnie, że nie mamy teraz pieniędzy na herbatę.

– Czy jak się będziesz martwił, to coś się zmieni? Oczywiście oprócz tego, że popsujesz sobie spacer za mną, a mnie humor? Usiądźmy na chwilę – zaproponowała.

Bardzo chcę być wesoły, ale nie potrafię udawać wesołego, kiedy mam zmartwienie.

– To nie udawaj, tylko bądź.

– Ale to się tak nie da – uparcie trwałem przy swoim.

– Przekonać cię, że się da?

– Przekonaj – powiedziałem tak pewny niemożliwości udowodnienia tego, jak ty przed chwilą.

– O czym marzysz?

– Żeby mieć na herbatę.

– Po co ci herbata?

– Bo chcę usiąść z tobą i pogadać – odrzekłem i natychmiast zrozumiałem bezsens tej wypowiedzi, bo przecież siedzieliśmy na murze i rozmawialiśmy.

– A o czym w tej chwili marzysz, oczywiście oprócz rzeczy materialnych?

– Marzę o... – i zatkałem się. Przecież nie mogłem jej tego wyjawić.

– Nie wiesz, czy nie chcesz powiedzieć?

– Wiem, ale...

– Czy to się samo stanie, jeśli ty tego nie zrobisz albo nie powiesz, żeby ktoś to zrobił?

– „Ale ja się boję...”

– Czego się boisz?

– Że ty tego nie chcesz.

– Skąd wiesz, skoro nie zapytałeś?

– Bo tak myślę...

– Sam widzisz, jak twoje rozważania ograniczają twoje marzenia. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, zapytaj.

– Ale jak?

– Tak po prostu, jakbyś pytał: przepraszam, która godzina?

– Przepraszam, czy mogę cię pocałować? – wypróbowałem to natychmiast, czerwieniąc się mocno.

– Możesz – i tak po prostu zbliżyła do mnie swoje wargi. I ja je tak po prostu, pocałowałem. I nie było w tym nic niezwykłego. Wtedy nie, ale teraz tak. To, co kiedyś byłoby dla mnie mało znaczącym gestem, teraz stało się dowodem na niezwykłość życia.

Zapałł zmierzch. Zeskoczyliśmy z murku i ruszyliśmy w stronę Barbakanu. Szedłem przed nią, bo dobrze widzę w ciemnościach. Kazałem jej iść po moich śladach i co chwila mówiłem, żeby omijała dziury albo psie kupy. W połowie drogi nagle zawołała: „Stój!”. Przeraziłem się, myśląc, że skrzyła nogę. Stała i wpatrywała się w jakiś śmieć.

– Oto najlepszy dowód... Jeśli będziesz zwracał uwagę tylko na doły i gówna, to nie dostrzeżesz forsy i szczęścia – wyrecytowała triumfalnie, rozwijając podniesiony z ziemi dwudziestozłotowy banknot. Wystarczyło nie tylko na herbatę po angielsku. Byliśmy tak głodni, że spałaszowaliśmy po dwie porcje ruskich pierogów.

Tak wyglądało życie z twoją mamą. Za każdym razem, gdy już byłem „święcie przekonany”, że wreszcie nadeszła ta ciągle wyczekiwana przeze mnie „czarna godzina” i „nie będzie co do garnka włożyć” lub „zabraknie dachu nad głową” – nagle okazywało się, że to jeszcze nie teraz, że jej Anioł Stróż czuwa nad nią. Nad nami.

– Czy teraz już rozumiesz, dlaczego ja się nie martwię? – spojrzał na córkę, kiwała tylko głową. Chyba przyjęła jego pytanie za retoryczne. – Proszę, odpowiedz, dlaczego ja się nie martwię? Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co rozumiałaś z mojego monologu.

– Ty wierzysz, że mama będzie zdrowa.

– Nie, kochanie, nie o to chodzi. Myśląc i zachowując się inaczej, przekreśliłbym to wszystko, co dostałem w prezencie

od twojej mamy. „Zmartwienie jest jak śmieć” – mawiała. „Nie trzymaj go w dłoni, bo nie będziesz mógł mnie przytulić”.

Wstał, podszedł do kosza przy drzwiach i wyrzucił pusty kubek po kawie.

Po chwili wstała i wyrzuciła swój pusty kubek. A gdy już nic nie trzymała w dłoniach, poczuła przyływ nagłego spokoju i przytuliła się do ojca. Objęli się długo, aż on wyszeptał: *Gott gebe mir die Gelassenheit, Dinge hinzunehmen, die ich nicht ändern kann; den Mut, Dinge zu ändern, die ich ändern kann; und die Weisheit, das eine vom anderen zu unterscheiden.*

– Co powiedziałaś? Przetłumacz, proszę!

– To jest modlitwa, którą w XVIII wieku ułożył Fryderyk Krzysztof Oetinger:

*Panie, daj mi pogodę ducha, by znosić te rzeczy,  
których zmienić nie mogę,  
daj odwagę zmieniać to, co zmienić mogę,  
i daj mi mądrość, abym odróżnił jedno od drugiego.*

– Tato, czego ty nie możesz zmienić?

– Na przykład nie mogę zmienić mojego pęcherza domagającego się opróżnienia i dlatego z pogodą ducha udam się teraz do toalety – wygłosił radośnie i otworzył drzwi na korytarz.

## Śmietanka

– Najszybciej poprawia humor znalezienie w odpowiednim momencie wc – powiedział, wracając do poczekalni.

– Czyżbyś sobie przypomniał jakieś zdarzenie związane z toaletą i zaraz mi je opowiesz zamiast zakończenia historii waszego poznania? – zapytała wesoło.

– Skąd wiesz? Wprost marzę, żeby ci opowiedzieć bardzo romantyczną historię naszego miodowego miesiąca w słonecznej Jugosławii.

– Czyli łało jak z cebra? – spytała rozbawiona.

– Tak uważasz? Czyżbym jakoś szczególnie zaakcentował słowo „słonecznej”? Czy może po tym, co mówiłem, wyrobiłaś sobie zdanie, że wiatr wiał nam zawsze prosto w oczy? Nie, kochanie, nie zawsze było pod górkę. Przeżyliśmy również wiele dni, pełnych słońca, całkowitej swobody i pustych plaż.

To był prezent ślubny. Dostaliśmy go od wujka mojego szkolnego kolegi, na którego ślubie biliśmy w dzwony. On na stałe mieszkał w Klagenfurcie, a w okolicach Zadaru miał domek, którego używał bardzo rzadko. To nie był zwykły domek letniskowy.

– A co? Do morza było pięć kilometrów?

– Nie, do brzegu było pięć kilometrów. Cały urok domku polegał na tym, że niezależnie od tego, w którą stronę się z niego wyszło, to i tak trafiło się nad morze.

– Domek był na wyspie? Ale bomba! – Ida zapała z zachwytem.

– Bomba? Raczej zegarowa. Trafiłaś w sedno. Właśnie na tym polegał szkopał, że do stałego lądu można się było dostać tylko motorówką. Przedstawiając nam tę propozycję, wujek ostrzegł, że przez siedem tygodni będziemy zupełnie odcięci od świata i ludzi, ponieważ on zajmuje się przygotowaniem wizyty papieża.

Chcąc nam uzmysłwić to, co nas czeka, dodał, że zapasowej łodzi nie ma, a własnej motorówki nam nie zostawi, bo jakoś musi wrócić z wyspy. Ostrzegł, że jeśli nie jesteśmy pewni naszego uczucia, to lepiej, żebyśmy zrezygnowali z jego oferty, bo jeszcze mogłaby się okazać prostą drogą do rozwodu.

Zachwycił nas pomysł spędzenia miodowego miesiąca na zabawie w robinsonów nad cudownym Adriatykiem. Byliśmy pewni łączącego nas uczucia, a przede wszystkim spragnieni bycia tylko we dwoje. Przed ślubem poznaliśmy swoje charakterystyki zupełnie nieźle, dużo lepiej niż przeciętne pary stojące pod ołtarzem. Nie wiedzieliśmy jednak, jak się zachowamy zdani wyłącznie na siebie.

Domek okazał się starym domkiem campingowym z czymś w rodzaju kuchni i sypialni. Stał na betonowym bunkrze z czasów wojny, zamienionym w ogromną, świetnie wyposażoną spiżarnię. O jedzenie nie musieliśmy się martwić. Konserw, makaronu, ryżu, mleka w proszku, kawy i wina wystarczyłoby na parę miesięcy. Piwniczkę zaopatrzone tak, jakby ktoś się przygotowywał do przezimowania w niej albo do wojny. Napojów w postaci coca-coli, soków i lemoniad przywieźliśmy pod dostatkiem. Jedynym problemem zdaniem naszego dobroczyńcy mogła się okazać niewystarczająca ilość wody. Jednak dwadzieścia ogromnych plastikowych kanistrów wydawało się nam wprost niemożliwe do wypicia.

Na wyspie oczywiście nie było prądu. Do gotowania służyła turystyczna kuchenka gazowa, a do oświetlania – świece. Mieliśmy ich ponad setkę.

Nic więcej oprócz naczyń kuchennych i przypraw tam nie było. Aha, był jeszcze zeszyt i długopis, rzeczy prawie bez znaczenia i niezwracające uwagi, gdy ma się cokolwiek innego do dyspozycji.

Gdy motorówka z naszym dobrodziejem i plastikowymi workami pełnymi śmieci, które zamierzał wyrzucić w porcie, oddaliła się w stronę stałego lądu, nie posiadaliśmy się ze

szczęścia. Odtńczyliśmy taniec mórz południowych. Nareszcie mogliśmy bez skrępowania opalać się nago i spiekać tyłki spragnione słońca. Już na drugi dzień mieliśmy je tak poparzone, że zupełnie nie nadawały się do siedzenia, ale na szczęście nie dostaliśmy udaru słonecznego. Nocą okazało się, że obolałe plecy utrudniają również kochanie się i żadne z nas nie chciało być na dole. Trzeba było wymyślić pozycję inną niż misjonarska. Rozkoszowaliśmy się samotnością. Całkowitą wolność ograniczała tylko linią brzegową naszej wysepki.

Wyptywaliśmy w morze na dmuchanych materacach, które w nocy służyły nam za miejsce do spania. Nurkowaliśmy, zbieraliśmy muszelki i robiliśmy to wszystko, co można robić w raj, kiedy Archanioł jest zajęty przygotowywaniem wizyty papieża. Byliśmy sami w promieniu pięciu kilometrów. Tylko w niedziele mogliśmy zauważyć przepływające w pobliżu motorówki i żaglówki. Gdy dostrzegały kogoś na wyspie, oddalały się natychmiast w poszukiwaniu nieskrępowanej samotności, której my mieliśmy w nadmiarze. Kierowały się do następnej niezamieszkałej wyspy, ledwo widocznej z odległości ponad kilometra.

Pierwszy tydzień był boski! Jedyną chmurką na firmamencie błękitnego nieba stał się mój zegarek. Nie przeżył pierwszego zamoczenia i chodził jak chciał, a jak nie chciał, to odpoczywał. Ale nie był to problem. Za zegar służyło nam słońce i nasze żołądki napełniane na zawołanie. Po kilku dniach straciliśmy rachubę czasu i zupełnie nie wiedzieliśmy, jaki jest dzień tygodnia. Kilka godzin trwała dyskusja i przypominanie sobie, co robiliśmy każdego dnia, co jedliśmy na obiad, co na kolację. Ale i tak nie mieliśmy pewności, czy mamy akurat sobotę, czy niedzielę. Dopiero pod wieczór przyszedł mi do głowy genialny pomysł.

Już pierwszego dnia wprowadziliśmy wieczorny rytuał pożegnania dnia pićm kawy o zachodzie słońca. W ciągu dnia twoja mama nie pijała kawy, parzyła sobie herbatę. Kawę lubiła

ze śmietanką, ja piłem czarną. Zawsze wlewała tylko jedną porcyjkę do filiżanki. Wszystkie nieorganiczne śmieci wyrzucaliśmy do kubła, którego zawartość ładowała potem w stulitrowych worach na śmieci. Składowaliśmy je w północnej części wyspy, koło wygodki znajdującej się za krzakami. Do wychodka wyrzucaliśmy śmieci organiczne, czyli obierki ziemniaków i skórki z owoców.

– Jeśli przeszukamy dokładnie worek ze śmieciami i znajdziemy tylko sześć jednorazowych pojemniczków, to znaczy, że jest piątek, a jeśli siedem to sobota – ogłosiłem rozwiązanie problemu.

Cały wieczór sortowaliśmy zawartość wora, aż w końcu doliczyliśmy się naszego śmieciowego kalendarza. Każde opakowanie po makaronie lub torebka po budyniu budziły naszą radość i wspomnienia, jakbyśmy oglądali album z fotografiami rodzinnymi, a nie grzebali w odpadkach.

Wtorek!

Dwa dni szczęścia uciekły nam z pamięci.

Twoja mama popatrzyła na mnie i rzekła:

– Jestem przekonana, że miałam rację, gdy kazałam ci wyrzucić aparat fotograficzny, ale to było kiedyś. Teraz chcę, żebyś sobie kupił nowy i utrwał nasze życie.

Pół nocy poświęciliśmy na spisywanie tych dziewięciu szczęśliwych dni. Na podstawie śmieci odtwarzaliśmy to, co robiliśmy, jak się kochaliśmy, co jedliśmy i jak smarowaliśmy kremem nasze poparzone tyłki. Tak jak bezgranicznie swobodne było nasze życie, tak samo nasz dziennik pokładowy zupełnie był pozbawiony skrupułów. Zawierał teksty zrozumiałe wyłącznie dla nas, przeplatane powiedzonkami i rysunkami serc przebitych strzałą, świństewka, wulgaryzmy, półsłówka i najróżniejsze skojarzenia.

Opis każdej doby na wyspie zaczynał się od zdania: „Dnia... – tu następowała data – usiedliśmy na skale, aby wypić

kawę i podziwiać zachód słońca: ...” To, co następowało po dwukropku przypominało bajkę dla dzieci, porno albo komiks.

– Co się stało z tym dziennikiem?

– Mam go do dziś. Jest wyłącznie mój. Rozwodząc się, podzieliliśmy nasz wspólny kilkuletni dorobek. Twoja mama pozwoliła mi zachować ten dziennik pokładowy, a wzięła resztę: mieszkanie, pieniądze i samochód...

– Kpisz sobie?

– Nie. Kiedyś to zrozumiesz. Ona nie ma już ani tego domu, ani tego samochodu, ani tych pieniędzy, a ja wciąż mam dziennik.

– Dasz mi go kiedyś przeczytać?

– Nie. Stwórz sobie swój własny dziennik i zapełniaj go swoim życiem. On nie musi być starym stukartkowym brulionem.

– Co chcesz z nim zrobić?

– Kiedy będę się żegnał z tym światem, spalę go, aby z niego też został popiół.

– Nie rozumiem. Czemu?

– Każdy z nas ma coś cennego, co jest dla niego jak talizman. Jedni nie pozwalają przymierzyć swojej obrączki albo mają tajemną skrytkę z pamiątkami. Dla mnie takim amuletem jest stary brulion.

– Smutno mi się zrobiło, po tym, co powiedziałaś...

– Byłabyś gotowa wyciągnąć z majątek zakrwawioną podpa-skę i mi ją pokazać?

– Po co? – spytała zaskoczona

– Ot, tak sobie, abym ją obejrzał, bo mnie ciekawi.

– Nie, no coś ty, tato.

– Czemu nie? Przecież każda kobieta ma miesięczkę, a ty na dodatek jesteś moją córką.

– Bo to jest dla mnie zbyt intymne.

– A pokazałabyś ją bez skrępowania swojemu mężowi?

– Jemu? On widział...

– Wyobraź sobie, że ja tak samo, jak każdy człowiek, mam swoją granicę intymności i nie chcę, aby ktokolwiek ją przekraczał.

– Chyba masz rację...

– Wiem, że mam, bo znam ten dziennik. Czytałem go setki razy i wspominałem dobre i złe chwile tamtej bajki.

– A więc nie cały czas było tak wspaniale?

– Nie cały czas. Po tygodniu nawet raj zaczyna się nudzić, gdy we dwoje jest się zdany na całodobowe przebywanie na bezludnej wyspie pozbawionej telewizji, radia, a nawet książek zostawionych w Klagenfurcie. Do dziś jestem przekonany, że właściciel wysepki specjalnie zapomniał zabrać walizki z lekturami, żebyśmy mogli aż do szpiku kości poczuć się jak Adam i Ewa.

– Tego sobie nie potrafię wyobrazić. Tata bez książki. To musiało być piekło, a nie raj – zażartowała.

– Masz rację. Piekło też było, ale nie tak od razu, najpierw poznaliśmy niebo.

## Woda

– Na początku kochaliśmy się, gdy tylko przyszła nam na to ochota, czyli ile wlezie. Bawiliśmy się seksem. Był naszą jedyłą rozrywką i jedynym sensownym zajęciem, oczywiście oprócz przygotowywania posiłków. Wypróbowaliśmy wszystkie pozycje Kamasutry i wygnietliśmy każde miejsce na wyspie.

– Ale mieliście fajnie...

– Tak sądzisz? Mniej więcej po dwóch tygodniach połowa słodkiej wody została zużyta do zmywania naczyń, gotowania, mycia się i prania. Wprowadziłem racje dzienne, co twoja mama uznała za słusne. Mimo najlepszych chęci nie potrafiła ich jednak przestrzegać. Oszczędzaliśmy wodę. Nauczyliśmy się zmywać naczynia w morzu. Jednak ziemniaki gotowane w morskiej wodzie są niejadalne, bo nie dość, że śmierdzą, to są gorzkie. Woda z Adriatyku zupełnie nie nadaje się do mycia włosów ani do prania, ani do płukania, ani do mycia zębów, a twoja mama musiała spłukać z siebie sól po każdej kąpieli. Doprowadzało mnie to do szału, kiedy patrzyłem, jak marnuje drogocenny płyn. Nie powiedziałem ani słowa, tylko coraz bardziej zaciskałem zęby. Nie trzeba być na Saharze, żeby pokochać wodę, wystarczą do tego przydługie wakacje nad Adriatykiem.

Jeszcze szybciej niż wody zaczęło nam brakować poczucia humoru i chęci do współżycia. To, czego przed ślubem zawsze nam brakowało, teraz mieliśmy w dowolnej ilości i w każdej chwili, jak słonego morza... Pierwszą oznaką przesytu było ograniczenie gry wstępnej, a potem zupełny brak pieszczot. Potem zabrakło jakichkolwiek czułych gestów, nawet dotykania się, jakbyśmy się bali, że to natychmiast doprowadzi do współżycia. Szukaliśmy samotności, udając, że nie widzimy się nawzajem. Zaczęliśmy unikać jedno drugiego, bo nie mogliśmy już na siebie patrzeć. O wszystko mieliśmy do siebie pretensje

i najmniejszy drobiazg, choćby zbyt głośne zamieszanie herbaty, stawał się powodem do kłótni.

Nienawidziliśmy się w dzień...

Do łóżka przychodziłem dopiero wtedy, gdy twoja mama zasnęła.

Jest wiele prawdy w tym, co powiedział Franco Lambardi: „większość mężczyzn zabrałaby na bezludną wyspę kobietę i na wszelki wypadek siekierę”.

Obydwoje stwierdziliśmy, że nasze małżeństwo było błędem i dalsze przebywanie na wyspie jest bezsensowne. W tym jednym byliśmy za dnia zgodni. Postanowiliśmy, że rozstanemy się natychmiast, jak tylko opuścimy wyspę. Jednak żadne z nas nie wystrzeżiło z raketnicy.

Aha, nie powiedziałem ci, że nie byliśmy tak zupełnie zdani na siebie. Wystarczyło o zachodzie słońca wystrzeżić czerwoną racę, a straż przybrzeżna przyjechałaby z pomocą. Już kiedyś przyjechali... Wiedziałem, że nie jesteście pierwsi na wyspie. Poprzednikom nie udało się przetrwać nawet czterech tygodni. Tak skutecznie się odkochali, że nawet nie chcieli wsiąść razem do łódki, która po nich przyplęnęła.

– Wy też się nienawidziliście aż do końca pobytu?

– Nie, tylko do momentu, gdy twoja mama włożyła dolną część kostiumu kąpielowego, a ja, aby ją rozzłościć i rozpocząć poranną kłótnię, kretyńsko zapytałem: czy wybierasz się z wizytą? Zamiast złościwości odparła spokojnie: nie, ciotka przyjechała. Wiedziałem, co ma na myśli, ale dla wygłupu natychmiast naciągnąłem slipki i z okrzykiem radości pobiegłem na przystań, jakbym chciał przywitać motorówkę z ciotką.  
– Roześmiał się na wspomnienie tamtej chwili.

– A co mama na to?

– Po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnęła się i powiedziała: przepraszam, chyba ostatnio byłam troszkę dla ciebie niemila.

Po tygodniu postu zaczęliśmy żartować ze sobą jak dawniej. Wróciła nam radość i serdeczność.

– Przecież mogliście się kochać podczas miesiączki. Nikt wam nie zabronił – wtrąciła córka, aby podusić temat.

– Oczywiście, mogliśmy, tam nikt niczego nie mógł nam zabronić. W czasie narzeczeństwa już nam się to zdarzało. Ale menstruacja była wyśmienitym pretekstem, żeby zrezygnować z seksu. Ta miesiączka była darem natury, przywracała nam dawne uczucie, zupełnie zmieniła nasz stosunek do stosunku.

– Zamieniliście ilość na jakość – ucieszyła się ze swojego skojarzenia.

– Właśnie tak się stało! Dużo więcej zamieniliśmy. Zrozumieliśmy, jak wygląda piekło. Ono się zaczyna wtedy, kiedy facet bezsensownie przejmuje się napięciem przedmiesiączkowym, czyli zaburzoną równowagą hormonalną kobiety. Zupełnie bym nie wiedział, co się stało z twoją mamą, gdybym wtedy nie znał Belli. Nic dziwnego, że w średniowieczu tak wiele kobiet uważano za opętane przez diabła, skoro bez widocznego powodu zmieniały się nagle w najpotworniejsze złošnice. Kiedy mężczyzna nie potrafi znieść złošliwości i docinków, to przestaje czegokolwiek pragnąć i wtedy zaczyna się piekło.

– Przesadzasz – zaprotestowała rozdrażniona. – Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że rozmawiam z jakąś męską szowinistyczną świnią.

– Ja ci tylko opowiadam, jak się czuje facet, który kompletnie nie rozumie, co jest przyczyną zmiany nastroju u kobiety. Miesiączka się skończyła i rozpoczął się nowy rozdział naszego życia. Znów współżyliśmy, ale już inaczej. Godzinami celebrowaliśmy grę wstępną, ciesząc się, że oboje odczuwamy pragnienie. Odsuwaliśmy jak najdłużej moment zaspokojenia. Zdarzało się, że w ogóle do niego nie dochodziło, i zasypialiśmy niezaspokojeni. Seks nie był już dla nas wyścigiem do celu. Stał się świętem i najlepszą z zabaw. Potem zro-

zumiałem, że tak samo jest z jedzeniem. Ono służy nie tylko do zaspokojenia głodu...

– A do czego jeszcze? – spytała, gotowa natychmiast zaprzeczyć.

– Jedzenie służy przede wszystkim do komunikowania się i do zabawy.

– Teraz to już grubo przesadziłeś.

– Masz rację, trochę przesadziłem, ale wcale nie tak grubo jak uważasz. Gdyby jedzenie nie służyło do komunikowania się, to każdy sam wyżerałby w samotności najlepsze kąski z lodówki. Jednak większość posiłków spożywamy w gronie ludzi bliskich. Wszystkie imprezy, imieniny, śluby, święta opierają się na jedzeniu, czym podkreślamy wagę uroczystości. Indyk w Dniu Dziękczynienia ma zaznaczyć doniosłość chwili, tort urodzinowy też.

– Z tym się zgodzę, ale że jedzenie służy do zabawy, to przesada. Przecież powszechnie jest znane powiedzenie: nie baw się przy jedzeniu.

– Chyba tylko dlatego, że po słowie „nie” ktoś zapomniał wstawić przecinka. Popatrz uważnie na to, co jesz. W większości zawiera ono element zabawy. Im donośniejsza chwila, tym więcej zabawy. Torty weselne dekoruje się figurkami pary młodej. Sałatki jarzynowe przystraja się różami wyciętymi z marchewki... Przecież marchew udająca różę to czysta zabawa. Wędlina udaje kwiatki, jajka na twardo muchomory, w kostce masła też robi się kwiatek... Dekoracja stołu to także zabawa: papierowe serwetki naśladują wachlarzyki, dzbanki przypominają kształtem gęsi, talerze ozdobione są wzorkami i *garnie* udającym jedzenie nadające się do jedzenia.

– Ale to tylko od święta.

– Doprawdy? No to chodźmy do sklepu i popatrzmy. Chipсы w kształcie kratki, karbowane frytki. A dział makaronów to istny sklep z zabawkami. Pełno tam świderków, muszelek, zwierzaczków, literek, gwiazdeczek, wstążek w trzech kolorach

i spaghetti, którego jedzenie też jest formą zabawy. A słodczyce? Tam dopiero króluje fantazja kolorów i kształtów! Od sznurówadeł po domki z piernika.

Tam gdzie zabawa, tam jest przyjemność. Brak zabawy dehumanizuje człowieka, czyni z niego narzędzie. Śmiertelna powaga to podstawa wszelkiego fanatyzmu: politycznego, religijnego, militarnego. W wojsku jedzenie służy tylko do napchania kiszek kaloriami. Czy widziałeś kiedyś szczęśliwego żołnierza? Chyba tylko w chwili zdejmowania munduru. Brak zabawy to brak radości. Brak radości to brak lekkości i smaku życia. Dotyczy to zresztą nie tylko jedzenia, ale i innych sfer. Popatrz uważnie, coraz więcej jest na świecie przejawów zabawy. Podręczniki szkolne zaczynają cieszyć, najlepiej sprzedają się zabawne ubrania, samochody o wesołych kształtach, kolorowe domy, ucieszne komputery...

Są ludzie, którzy nie dzielą życia na pracę i zabawę. Ciesząc się pracą, żyją pełniej, a w każdym razie przeciętnie o osiem godzin dziennie dłużej.

Chcesz mieć pełniejsze życie, to ciesz się wszystkim, co spotkasz na swojej drodze, baw się także miłością i seksem! Dopiero na naszej wyspie nauczyliśmy się cieszyć. Tam wszystko zaczęło nas bawić. Nawet to, że miesiącka pochłonęła resztkę wody.

Kartofle ugotowane w białym winie są całkiem smaczne, a coca-cola nadaje się do mycia zębów. Ale do parzenia kawy i herbaty czy rozrobienia mleka w proszku można użyć już tylko wody, może być gazowana, ale i ta w upały szybko paruje. Oszczędzaliśmy każdą jej kroplę. Najpierw przestałem się golić. To sprawiło, że miałem o następne dziesięć minut dziennie więcej wolnego czasu. Wiem, że to brzmi kretyńsko, ale każde zajęcie, mające choćby cień sensu, dosłownie wyrwaliśmy sobie z rąk, musieliśmy zająć się czymkolwiek, co posiadało przynajmniej pozory celowości. Zachowywaliśmy się jak więźniowie, dla których od beczynności gorsze może być tylko

bezczelowe przelewanie z pustego w próżne. Wystarczyło, że któreś z nas zauważyło paproch na podłodze, a już bieгло po szczotkę i zamiatało te kilka metrów kwadratowych. Ten, kto robił obiad, proponował ziemniaki zamiast makaronu czy ryżu, bo wtedy mógł poświęcić dodatkowe pół godziny na kunsztowne obieranie ich w taki sposób, aby z jednego ziemniaka powstała jedna długa obierka.

Po trzech tygodniach skończyła się cola, kilka dni później soki owocowe, potem kompoty. Zostały tylko alkohole.

Organizm w upały potrzebował dużo płynu, więc całe dnie chodziliśmy albo już narąbani jak dętki, albo jeszcze skacowaliśmy. Kaca po czerwonym winie nie daje się wyleczyć piwem, zostaje czerwone wino. Białe wino było zarezerwowane do gotowania makaronu, ryżu i ziemniaków. Przez kilka dni nieźle bawiliśmy się naszym pijaństwem, ale w końcu przestało nas to cieszyć. Z utęsknieniem czekaliśmy na wieczór.

Czas picia kawy zaparzonej ze świętej wody, czyli ostatniego pięciolitrowego baniaka, celebrowaliśmy jak największe święto. Zajmowaliśmy miejsca na prawie pionowo schodzącej do wody skale i sączyliśmy cudownie bezalkoholowy napój z maleńkich filiżaneczek. Wpatrywaliśmy się w świetlistą kulę słońca, zachodzącego tak samo jak poprzedniego dnia. Siedząc w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w linię horyzontu, potrafiłem myśleć tylko o przemijaniu...

Gdy robiło się zupełnie ciemno, szliśmy spać albo graliśmy przy świecach w szachy na szachownicy wyrysowanej długopisem na kuchennym stole. To nie była powszechnie znana gra. I to nie tylko dlatego, że figury były zrobione z kulek chleba moczonych w czerwonym winie. Król przypominałby wieżę, a koń gońca, gdyby nie zapalki, które powbijaliśmy w pionki. Zupełnie inaczej wyglądał też przebieg tej gry. Twoja mama nie cieszyła się z wygranej i nie martwiła przegraną. Wynik nie miał dla niej znaczenia. Celem była sama gra. Dostrzegałem w jej twarzy skupienie i ekscytację, ale chodziło jej wyłącznie

o zbudowanie sytuacji zmuszającej do myślenia. Im trudniejsza, tym lepiej. Im więcej rozwiązań, tym ciekawiej. Im mniej przewidywalna, tym bardziej fascynująca.

Szachy odegrały znaczącą rolę w naszej znajomości. Zaczęło się to na spacerze po parku podczas naszego drugiego spotkania. No nie tak od razu, czekałem na nią chyba ze cztery godziny i do głowy przychodziły mi różne rzeczy. Nawet to, że mnie okradła.

– Z czego?

– Z dyktafonu, który pożyczyłem jej na pierwszym spotkaniu. Dałem jej, żeby mi nagrała swój wiersz.

– Mogłeś pójść i go odebrać – rozsądnie stwierdziła córka.

– Nie mogłem, bo nie podała mi ani adresu, ani nazwiska, ani nie pozwoliła się odprowadzić.

– Dałeś obcej dziewczynie swój ukochany dyktafon?  
– zdziwiła się.

– Dałem. Sam nie wiem, czemu... Po dwóch godzinach czekania nie mogłem sobie tego darować. Pomyślałem, że zachowałem się jak krety, pożyczając swoją najcenniejszą rzecz jakiejś obcej dziewczynie. Po kwadransie nie miałem już wątpliwości, że sprzedała go na bazarze. Ale po czterech godzinach wpatrywania się w drzwi kawiarni pomyślałem, że mogło się jej przecież coś stać. Może miała wypadek? Wpadła pod tramwaj? Ucięto jej nogi?

– No, ale przyniosła go?

– Nie. Przyszła i powiedziała, że miała problemy w domu i nie mogła wziąć dyktafonu ze sobą, odda jutro, a teraz nie chce siedzieć w herbaciarni i proponuje spacer. Tak się cieszyłem, patrząc na jej obie zdrowe nogi, niepokierszowane przez tramwaj, że powiedziałem, aby się nie martwiła, bo dyktafon jest mi chwilowo niepotrzebny.

Idąc przez park, przystanęliśmy na chwilę koło starszków grających w szachy.

– Lubisz grać w szachy? – spytała.

– Nie tylko lubię, przepadam – odpowiedziałem.

– No to zagrajmy – zaproponowała. Zachwycił mnie ten pomysł. Mogłem się pokazać od najlepszej strony.

W pierwszej partii stworzyła na szachownicy tak zagna-  
waną sytuację, że nie mogłem się połapać, ale zrobiłem kilka  
wymian i wygrałem bez większego problemu. Cieszyłem się jak  
dziecko, skacząc do góry z radości. Poprosiła o rewanż. Oczy-  
wiście zgodziłem się i gdy już byłem pewny zwycięstwa  
i wydawało mi się, że widzę mata w pięciu posunięciach – to  
dostałem go po czterech ruchach. Dała mi taki łomot, jakiego  
dawno nikt mi nie spuścił. Byłem wściekły na siebie. Byłem  
wściekły na nią. Byłem rozżalony na cały świat. Tłumaczyłem  
się, że to przypadek, że nie zauważyłem konia, że jestem zmę-  
czony, że rozprasza mnie hałas w parku.

– Okłamałeś mnie. – Popatrzyła na mnie z uśmiechem  
i dokończyła zupełnie poważnie: – Ty wcale nie lubisz grać  
w szachy. Ty lubisz wygrywać w szachy.

– Nieprawda... – zaprzeczyłem machinalnie.

– Marie von Ebner-Eschenbach powiedziała kiedyś: „Pa-  
trzeć bez zawiści jak inni osiągają sukcesy, do których samemu  
się dąży, to wielkość”. Pamiętaj o tym.

– A trzymając się za ręce i patrzeć razem w tym samym  
kierunku to szczęście, odpowiedział jej Antoine de Saint-  
Exupery. Tego też nie zapomnij – odciąłem się natychmiast.

– Spotkajmy się tu jutro o tej samej porze. Zagram z tobą o  
każdą stawkę, jaką zaproponujesz. Chcesz? Przekonam cię. Do  
jutra masz czas, żeby wymyślić coś, czego nie pożałujesz.  
A teraz muszę lecieć. Nie odprowadzaj mnie. Cześć! – i ode-  
szła.

Miałem minę, jakby mi ktoś posolił kompot. Cały wieczór  
powtarzałem w pamięci przegraną grę, aż zrozumiałem, że ją  
umoczyłem tylko przez swoją głupotę i zadufanie we własne  
zdolności, wzmocnione dodatkowo pierwszą wygraną partią.

Ona nie była arcymistrzem, popełniała wiele błędów, które wydawały mi się zasadzkami. Spokojny o przebieg naszej jutrzejszej partii poszedłem spać. Ale nie mogłem zasnąć. Miałem dylemat: o co mam zagrać? Co jest dla mnie najcenniejsze? Co ona ma cennego, czego nie dostałbym w żaden inny sposób? Oczywiście seks. Pragnąłem jej... Cholernie jej pragnąłem. Ta dopiero co poznana dziewczyna zachowywała się niezwykle swobodnie i prowokująco, widocznie musiała już mieć wielu mężczyzn. Dla niej współżycie było pewnie chlebem powszednim.

Wiedziałem, że wygram.

Przygotowałem śliczną kartkę z tulipanami. W przypływie odwagi napisałem na niej swoje życzenie. Wsadziłem ją do różowej koperty i zadowolony z siebie poszedłem spać.

W nocy przyśnił mi się przebieg następnego dnia, tak jakby to było wspomnienie. To jak gram w szachy i wygrywam. Jak ona idzie ze mną do hotelu. Jak kocha się ze mną namiętnie. Jak odchodzi i nigdy więcej jej nie spotykam. Jak się zakochuję. Jak błędzę po ulicach i szukam jej. Jak rozpytuję kelnerki, czy może ją widziały. Jak całymi dniami przesiaduję w herbaciarni i czekam, aby się pojawiła i dała mi szansę rozpoczęcia wszystkiego od początku.

Obudziłem się z koszmaru. Poznałem już to dołujące uczucie bezsilności, kiedy czekałem na nią wiele godzin, wiedząc, że nie mam najmniejszej szansy, aby ją odnaleźć, bo nie znam nawet jej nazwiska.

Jakże bym pożałował takiej „wygranej”. Postanowiłem, że z nią gra toczyć się będzie o zupełnie inną, nieporównywalnie wyższą stawkę. Przypomniały mi się jej słowa: „Do jutra masz czas, żeby wymyślić coś, czego nie pożałujesz”.

Wstałem. Podarłem kartkę z tulipanami. Wziąłem czystą kartkę papieru. Wiedziałem, czego nie pożałuję. Zakleiłem kopertę i natychmiast zasnąłem.

– No dobrze, ale zacząłeś historię o toalecie, a opowiadasz mi o szachach... – wtrąciła córka.

– I właśnie do tego doszedłem. Siedzieliśmy na skale i podziwialiśmy przy małej czarnej zachód słońca. Ściemniło się. Wstając, straciłem równowagę i aby nie rozbić głowy, bo wydawała mi się ona najcenniejszą częścią ciała, wyciągnąłem ręce przed siebie. Tuż pod powierzchnią wody była skała. Ramiona nie zamortyzowały siły uderzenia. Zwichnąłem sobie ręce w nadgarstkach i zdarłem skórę z obu dłoni. Walnąłem głową o skałę. O mało się nie utopiłem, bo od uderzenia na chwilę straciłem przytomność. Całkowicie zdezorientowany płynąłem, używając tylko nóg, ponieważ każdy ruch ręką sprawiał mi potworny ból. Ale dużo gorsza była pustka w głowie. Stuprocentowa amnezja! Pamiętałem tylko swoje imię, nazwisko i datę urodzenia.

Na brzegu stała jakaś nieznana mi śliczna naga kobieta i śmiała się radośnie, wołając mnie po imieniu. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd ona mnie zna. Zrobiło się już całkiem ciemno, gdy wreszcie udało mi się bez pomocy rąk wydostać na brzeg. Musiałem wyglądać upiornie, z twarzą zalaną krwią, bo ta kobieta nie tylko spoważniała, ale przestraszyła się mojego widoku. Spytała, czy nic mi nie jest. Odpowiedziałem, że nic mi nie jest. To była prawda, bo miałem w mózgu jedno ogromne NIC...

Poszedłem za nią, wstydząc się swojej nagości, ale ona traktowała ją jak coś najzupełniej normalnego. Pomyślałem, że pewnie jest pielęgniarką, skoro kazała mi usiąść na taborecie i zaczęła opatrywać moje rany. Gdy poląła jodyną moje dłonie, zemdlałem z bólu.

Obudziłem się następnego dnia koło południa. Chciało mi się sikać. Wyszedłem z domku i stwierdziłem, że nie bardzo jest to możliwe, bo nie mogę nawet poruszyć palcami rąk i przytrzymać członka. Zamiast pójść do wygodki, przykucnąłem w krzakach.

Już wiedziałem, kim jest pielęgniarka, ale wciąż miałem wieloletnie luki w pamięci. Na przykład nie mogłem sobie przypomnieć, do jakiej szkoły chodziłem po skończeniu podstawówki i czy mam rodzeństwo. Pamięć wolniutko wracała, szczególnie wtedy, kiedy nie skupiałem się na tym, czego nie pamiętam. Tak czasami bywa, że jak się czegoś za bardzo chce, to chęć staje się ważniejsza od osiągnięcia celu.

Twoja mama postanowiła wezwać pomoc. Kilka godzin tłumaczyłem jej swój punkt widzenia:

– Jeśli nie przetrzymamy tej siedmiodobowej próby, którą jest dla nas pobyt na wyspie, to możemy nasze małżeństwo wyrzucić na śmietnik jak opakowania po śmietance do kawy. Nasze życie i to, co z nim zrobimy, jest najcenniejsze. Lepiej, żebym został inwalidą, niż byśmy się poddali i wezwali pomoc. Będę wył z bólu podczas nastawiania pogruchootanych nadgarstków, ale to jest nasza jedyna szansa na bycie razem...

Nie chciała słuchać, uparła się, że wieczorem wystrzeli ramię. Przekonałem ją dopiero wtedy, gdy porównałem naszą sytuację do partii szachów z fascynującym ustawieniem figur.

– Zobaczymy, jak się potoczy dalej, zamiast wywracać stolik i zawsze żałować, że nie miało się odwagi, aby ją dokończyć.

Zgodziła się poczekać do następnego dnia z wezwaniem pomocy. Na szczęście nie wymiotowałem, a więc nie miałem wstrząsu mózgu, tylko dziury w pamięci przypominającej dojrziałe ementaler. Na szczęście nie wiedziała o tym. Dopiero po dwóch tygodniach, kiedy już byłem przekonany, że wszystko potrafię sobie przypomnieć, opowiedziałem twojej mamie komizm i tragizm sytuacji, w której znajduje się „człowiek bez przeszłości”.

– A co z nadgarstkami? Nastawiła ci?

– Tak, bez problemu. Wyłem z bólu, kiedy mi je naciągała, opierając się nogą o moją klatkę piersiową... Ponad tydzień nosiłem na dłoniach rakiety do ping ponga, unieruchamiające

zwichnięte ręce. I teraz zaczyna się obiecana historia z toaletą.  
Doczekałaś się.

## WC

– Szkoda, myślałam, że najpierw dokończysz opowieść o poznaniu – zażartowała córka.

– Czemu nie, dla mnie to jak splunąć – roześmiał się. – Jeśli wolisz poznanie... To bez znaczenia, czy będę ci opowiadał o wyspie, czy o tym, jak mi głos zadrżał, kiedy pierwszy raz zapytałem, czy się napije herbaty po angielsku...

– Tato, proszę, nie rób sobie ze mnie jaj.

– OK, cofam jaja. Zgodziła się łaskawie, abym jej postawił herbatę. A gdy student z gitarą zrobił sobie przerwę, nawet zainteresowała się, po co noszę dyktafon i aparat. W skrócie opowiedziałem jej o swoim hobby konserwowania chwil, ale i tak się obawiałem, że za długo gadam i zaczynam ją nudzić. Nie, słuchała i nawet uśmiechnęła się do mnie.

– A mnie nie zechciałbyś uwiecznić? – zapytała.

O niczym innym bardziej nie marzyłem w tamtej chwili, jak o zakonserwowaniu podobizny dziewczyny, która się do mnie uśmiechnęła. Byłem szczęśliwy, mimo że postawiła mi warunek: tylko jedno zdjęcie.

Wyszliśmy na zewnątrz, ustalając wcześniej z sąsiadami, że przypilnują, aby nikt nam nie zajął miejsc. Stała na murach Starego Miasta. Zrobiłem jej zdjęcie. Uśmiechała się z niego, patrząc na mnie z góry, w dłoniach trzymała Ilonka, maskotkę.

– To właśnie tę fotografię nosiłeś później w portfelu? – zapytała córka tonem czytelniczki kryminałów, próbującej zgadnąć, kto jest mordercą. – Ależ ty ją musiałeś kochać! Przecież ty byłeś od niej uzależniony!

– Całkowicie uzależniony od twojej mamy byłem tylko ze zwichniętymi nadgarstkami. Byłem wtedy bezradny jak niemowlę. Trzeba mnie było opatrywać, karmić łyżką, kąpać i podcierać. To ostatnie doświadczenie było szczególnie trudne. Nie potrafiłbym się z nim uporać, gdyby nie traktowała tej

czynności z humorem. Ani razu nie dała mi odczuć, że jestem dla niej ciężarem, wprost przeciwnie, cieszyła się sytuacją. Śmiejąc się, nazywała mnie Wielkim Bobasem.

Umieliśmy się cieszyć ze wszystkiego, co nam los dawał. Bawił nas nawet brak kawy o zachodzie słońca, bo całą słodką wodę zużyła do obmycia mi ran na głowie i dłoniach. Tego dnia dziennik zaczynał się od słów: „Zanim usiedliśmy na skale, aby podziwiać zachód słońca bez kawy...”

Następnego dnia zachmurzyło się i po południu nadeszła burza z piorunami. Wspaniała rzecz – prysznic z nieba ogromnymi kroplami wpadający do ust, zalewający oczy i chlupiący w butach. Wreszcie mogliśmy się wykapać. Twoja mama namydliła mnie dokładnie, powiedziałbym nawet: bardzo szczegółowo. Potem namydliła się sama. Tańczyliśmy w rajcu, biali od piany jak bałwany. Patrząc w niebo, czekaliśmy, aż deszczówka splucze z nas sól, bród i mydło. Od tego czasu za każdym razem, gdy pada, czuję ożywczy smak tamtego deszczu.

Całą pracę zbierania wody ściekającej z dachu i wlewania jej do kanistrów musiała wykonać twoja mama. Ja tylko donosiłem puste pojemniki. Butelki po winach, garnki, miednice, miski, słoiki, filiżanki, szklanki, a nawet patelnię i maselniczkę. Gdy już wszystkie naczynia, które można było napełnić słodką wodą lejącą się prosto z nieba, były pełne po brzegi, znalazłem jeszcze mydelniczkę i wtedy przestało padać... Tak samo nagle, jak zaczęło. Znów wyszło słońce.

Przygotowaliśmy sobie podwójne porcje mocnej kawy. Poszliśmy na naszą skałę i usiedliśmy tyłem do zachodzącego słońca.

Zamilkł. Patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś daleko ponad drzwi sali operacyjnej i uśmiechał się do siebie. Po policzkach płynęły mu łzy.

– Tato, co z tobą? – zaniepokoiła się skrępowana jego łzami i podrapała się w nos.

– Może masz chusteczkę higieniczną? – odezwał się całym przytomnie.

Pogrzebała w torebce i podała mu. Siedział, nie wycierając łez, z chusteczką w dłoni.

– Czy teraz nie jest godzina jedenasta trzydzieści? – spytał, mimo że miał zegarek.

– Tak, a dokładnie to jest już jedenasta trzydzieści jeden. Skąd wiesz?

– Bo wtedy zegar wskazywał jedenastą trzydzieści.

– Kiedy? O zachodzie słońca?

Głośno wysmarkał nos i popatrzył na nią jak na idiotkę.

– Córeczko kochana, co ty pieprzysz? – powiedział rozba-  
wiony. – Widziałaś kiedyś zachód słońca przed południem?

– Tato, albo beczysz, albo robisz ze mnie wariatkę. Kto z nas jest nienormalny? Powiedz wreszcie, co się stało.

– Wolisz w punktach czy jako kolejny wątek opowieści?

– Dawaj w punktach, inaczej znów zaczniesz snuć swoje piętrowe skojarzenia, a mnie krew zaleje – rzekła, drapiąc się po nosie.

– OK. A więc... Tylko mi nie zrób teraz uwagi, że zdania nie zaczyna się od „więc”, bo mi się od razu przypomni następna historia i będę ją musiał natychmiast opowiedzieć...

– Nic nie powiedziałam!

– A więc *primo voto*, twoja mama będzie zdrowa. Operacja się udała.

– Skąd wiesz?

– Chcesz teraz punkt drugi, czy obszerne wyjaśnienie skąd wiem?

– Dawaj punkt drugi.

– Skoro mieliśmy pierwsze *primo*, to nadchodzi pora na drugie *primo*.

– Ja cię kiedyś zabiję! – W jej głosie słychać było radość. Najwyraźniej uwierzyła, że miał zdolność widzenia tego, co dla

niej było niewidoczne, i z nieznanych źródeł dowiedział się o przebiegu operacji.

– Jeszcze nie teraz, inaczej nigdy się nie dowiesz skąd wiedziałem, że... A więc trzynastego sierpnia, gdy twoja mama powiedziała, że chce być ze mną na dobre i na złe, zegar w kościele wizytok pokazywał jedenastą trzydzieści...

– I to wszystko? – spytała rozczarowana, strzepując z nosa jakiś paproch.

– Nie. To nie wszystko...

Drzwi sali operacyjnej otworzyła uśmiechnięta pielęgniarka i podeszła do nich.

– Najtrudniejsze jest już za nami. Możecie być dobrej myśli. Operacja potrwa jeszcze z godzinę. Nie musicie tu siedzieć. Na dole jest kawiarenka. Idźcie na kawę.

– Dziękujemy za dobrą nowinę. Bardzo dobry pomysł z tą kawą, przyda nam się... – powiedział za odchodzącą sanitariuszką i wstał z krzesła.

– Tato! Siadaj! W tej chwili! Ostrzegam cię, że zaraz zwariuję albo cię pobiję. Ty już wcześniej wiedziałeś, że wszystko będzie dobrze. Powiedz, skąd?

– Ja przed chwilą tam znów byłem, a w każdym razie miałem takie wrażenie... – wyszeptał jej do ucha, siadając pokornie.

– Na sali operacyjnej?

– Nie. Na wyspie. Znów po ulewie siedziałem z twoją mamą na skałach, tyłem do zachodzącego słońca.

– Czemu tyłem? Pokochaliście deszcz, a obraziliście się na słońce?

– Powinnaś się domyślić, czemu usiedliśmy tyłem do zachodzącego słońca, skoro nagle deszcz przestał padać. Patrząc na wschód, podziwialiśmy na niebie pełnym granatowo-oliwianych chmur najcudowniejszą podwójną tęczę... wyglądała jak oświetlony wjazd do tunelu prowadzącego do innego świata.

Wokół panowała niezwykła cisza. Widocznie cykady były mokre od deszczu i przestały hałasować.

Zmęczeni zbieraniem deszczówki, przytulaliśmy się do siebie z takim poczuciem szczęścia, że można było dostać zawału serca.

– Czy ty wiesz? Ten deszcz i ta tęcza to jest prezent dla nas – wyszeptała twoja mama, patrząc w górę.

– Dzięk ci, że pozwoliłaś mi poznać Andrzeja.

– Wiem – odpowiedziałem.

– Dziś mija miesiąc od dnia naszego ślubu. Rację miał ksiądz Bronek, kiedy mówił, że nie ma przypadków, są tylko znaki i prezenty od Boga.

Po policzkach spływały nam łzy. Nigdy więcej nie czuliśmy tak namacalnie intensywnie soczystości życia. Przestaliśmy istnieć jako TY i JA, staliśmy się MY. Podobne uczucie wspólnoty i ty możesz niedługo poznać, gdy będziesz rodzić, a mąż będzie cię trzymał za rękę i beczał ze szczęścia.

– Nagle film się skończył, jakby ktoś wyłączył projektor – ojciec powrócił do wesołego tonu. – Tęcza znikła. Na ciemnym ekranie chmur nie pojawił się oczekiwany napis *The End* ani nawet reklama Kodaka. Na wyspę powróciły czasy trzeźwości: ziemniaków gotowanych w wodzie i kawy o zachodzie słońca.

## Sad

– Czy już możemy przekąsić małe co nieco? Twoja mama pewnie dostała nową porcję soli fizjologicznej, teraz my zapiekujemy się naszą trójką. Co ty na to?

– A jeśli mamę zaraz wywiozą, a nas tu nie będzie? – zastanowiła się głośno córka.

– Słyszałaś, że zanim ją zacerują, minie co najmniej godzina, lepiej będzie, kiedy zobaczy nasze zadowolone miny, a nie dwie skrzywione z głodu facjaty. Chodźcie!

Szpital wydawał się prawie wymarły, na korytarzach nie było ludzi. Bez kłopotu znaleźli na parterze kawiarnię z palmami i stolikami udekorowanymi kwiatami.

– Co zjecie? Czego się napijecie? – spytał wesoło.

– Mam chęć na kawę i szarlotkę. Pomogę ci.

– Dam sobie radę! Mam chęć was obsłużyć – posadził ją przy stoliku, podsuwając krzesło.

Po chwili wrócił z tacą, na której stały dwie filiżanki z kawą i dwa ciastka.

– Jak się domyśliłeś? – spytała, wlewając śmietankę do kawy.

– Pomyślałem, że tak samo jak mama lubisz białą kawę, więc wziąłem śmietankę.

– Ale ja nie o tym!

– A o czym?

– No wiesz...

– Co wiem? Nic nie wiem! Skąd miałbym wiedzieć?

– Tato!

– Córeczko! – droczył się z nią.

– Proszę, nie udawaj.

– Nie udaję. Po prostu nikt mnie jeszcze o niczym nie poinformował.

– Powiedz, dlaczego myślisz, że spodziewam się dziecka?

– A, o to ci chodzi – powiedział z wymuszonym zdziwieniem. – A jak ty się domyśliłaś, że ja się domyśliłem?

– Bo zaczęłaś mówić do mnie w liczbie mnogiej. A ty jak?

– Zupełnie inaczej. Ty ani razu nie nazwałaś mnie „wy”.

– Proszę, zdradź mi, jak się kapnałeś.

– Wolisz w skrócie, czy owinać to w przypowiestkę?

– W skrócie.

– Bo potarłaś nos trzykrotnie w ciągu minuty.

– Zrobiłam to? Kiedy?

– Pierwszy raz, podając mi chusteczkę, a trzeci, kiedy kazałaś mi usiąść.

– OK. A teraz dawaj przypowiestkę w pełnej wersji.

– Odwiedziliśmy twoją prababkę ze strony ojca – usiadł wygodnie. Widocznie zamawiając kawę, przemyślał sobie kolejny odcinek wspomnień. – Byłaś tam nie raz i na pewno pamiętasz czereśniowy sad, który zakwitał na wiosnę. Wyglądał, jakby był przysypany śniegiem albo polukrowany.

– Kiedy to było?

– Każdej wiosny tak pięknie kwitł.

– Kiedy działa się ta historia, którą mi opowiadasz?

– Właśnie sad zakwitł, a jak chcesz dokładną datę, to sobie policz. Odejmij od daty swoich urodzin dziewięć miesięcy.

Nie mieliśmy jeszcze wtedy samochodu, a od stacji szło się ponad pół godziny. Babka była przemiłą, dobrą kobietą, osobą niezwykle religijną i miała nawet jak na tamte czasy bardzo sztywny kręgosłup moralny. Gdy w okresie naszego narzeczeństwa pocałowałem w jej obecności twoją mamę, od razu dostałem ścierką po głowie. „Tylko mąż jest do całowania! Nie rozdawaj pocałunków na prawo i lewo, bo ci spowszednieją” – pouczyła głośno swoją wnuczkę, mimo że już wiedziała o naszych zaręczynach.

Tego dnia babka przyjęła nas niezwykle serdecznie, jakby była przygotowana na nasze odwiedziny. Ugościła obiadem i do wieczora wspominała swojego zmarłego tragicznie syna. Portret

twojego dziadka wisiał na wprost wejścia do sypialni, nad ogromnym łóżem małżeńskim, w którym, jak wynikało z opowieści twojej prababki, przyszedł on na świat.

Potem była kolacja z czereśniową nalewką własnej roboty i następna częścią wspomnień. Chcieliśmy już wyjść, żeby bez pośpiechu zdążyć na pociąg, ale babka opowiadała tak ciekawie, a my jakoś nie mieliśmy serca, żeby przerwać te wspominki, które były przecież treścią jej życia. Gdy zegar z kukułką wykukał dziewiątą i zaczęliśmy się gorączkowo żegnać, stwierdziła: „Nie ma sensu, żebyście się włóczyli po nocy. Pojedziecie jutro, a teraz pora wam szykować spanie”. Wyciągnęła z szafy ręcznie haftowaną koronkową pościel i skropiła ją perfumami o zapachu jaśminu.

Siedzieliśmy przy stole bez słowa, patrząc, jak ściele dla nas swoje ogromne małżeńskie łóże. Robiła to z takim namaszczaniem, jakby szykowała je dla siebie i swojego męża. „No, co się tak na mnie gagicie, nie mam ścierki w ręku i nie dam wam po łbach. Jesteście małżeństwem i macie do wszystkiego prawo, nie tylko do całowania się jak gołąbki”. „Ale my nie mamy ze sobą pidżam, ani...” – wyjąkałem, zbity z tropu, bo mi się to wszystko jakoś nie mieściło w głowie. „Po co wam pidżamy? Pod pierzyną będzie wam ciepło. Dobranoc” – powiedziała i wyszła z sypialni.

Było nie tylko ciepło, ale potwornie gorąco, bo materac też był puchowy. Leżeliśmy jak otuleni gorącym obłokiem.

– Chcę się z tobą kochać – szepnęła mi do ucha twoja mama, jakby to była największa tajemnica.

– Ale nie mamy ze sobą...

– Wiem, zauważyłam, jak się w ostatniej chwili ugryzłeś w język. Niewiele brakowało, a powiedziałbyś babce, że nie mamy prezerwatyw, a wtedy to by cię niechybnie znów walnęła ścierką.

Śmieliśmy się jak idioci, wyobrażając sobie babkę stojącą przy łóżku z mokrą szmatą i kontrolującą, czy się kochamy „jak Pan Bóg przykazał”.

Zapragnęliśmy mieć dziecko. Czekaliśmy tylko na odpowiedni moment i jakąś niezwykłą scenerię... łąkę w kwiatkach albo łąk z zboża, który by uświetnił tę doniosłą chwilę powołania na świat nowego człowieka. Obiecałem, że będę uważał.

Kochaliśmy się namiętnie, tak mi się przynajmniej wydawało. W momencie, gdy stwierdziłem, że właśnie nadeszła pora, aby się wycofać, twoja mama to spostrzegła i zaczęła się śmiać.

– Zauważ, że jak tak bardzo uważasz, to ja uważam, że uważasz, żeby nie poplamić tej koronkowej pościeli...

– Zauważyłaś? – powiedziałem ze śmiechem, wyobrażając sobie, jak babcia zareaguje na plamę na prześcieradle. Może zamiast śniadania dostanę ścierą?

– Uważam, że to jest najwspanialsze miejsce, aby wreszcie przestać uważać – roześmiała się radośnie.

Potem długo leżeliśmy spoceni pod kołdrą grzejącą jak piec. I co chwila wybuchaliśmy śmiechem. Szczególnie bawiło nas wyobrażenie, jak dostojnie i poważnie musiało przebiegać spółdzenie twojego dziadka w koronkowej pościeli pachnącej jaśminem.

Wstałem i otworzyłem okno. Niebo nad czereśniowym sadem było usiane gwiazdami.

– Chodź tu, bo się przeziębisz.

– Chwileczkę... – Patrzyłem w górę tak długo, aż zmarzłem.

– Czego tam szukasz?

– Gwiazdy, na której ono będzie czekać jeszcze dziewięć miesięcy.

– Kocham cię, wariacie – usłyszałem największy komplement w ustach twojej mamy.

Po dwóch tygodniach zamiast comiesięcznych dołów psychicznych i awantur poprzedzających użycie podpasek, zaczęła pocierać nos i uśmiechać się bez powodu. Byłem pewien, że ty się pojawisz w naszym życiu. A teraz ty powtórzyłaś ten sam gest, gdy poczułaś się zażenowana moimi łzami. Natychmiast mi się przypomniało, że go znam, z początku nie mogłem skojarzyć, skąd. Dopiero kiedy powtórzyłaś go po raz trzeci, nagle mnie olśniło i przypomniałem sobie, co znaczył w wykonaniu twojej mamy.

– Masz rację, jestem w ciąży, test wypadł pozytywnie, ale postanowiliśmy z mężem, że nikomu o tym nie powiemy, dopóki badanie USG tego nie potwierdzi. Tylko ty wiesz. Proszę, abyś nikomu na razie o tym nie mówił, dobrze? Nawet mamie. Przrzekasz?

– Przrzekam na łożysko i pępowinę – powiedział uroczyście.

– Tato...

– Słucham.

– Cieszę się, że tu jesteś...

– Ja też się cieszę, że mnie słuchasz i że wreszcie zjem sernik.

– W tej kawiarni jest bardzo cicho... Czuję się tak, jakbyśmy siedzieli na łące wśród ośnieżonych gór.

– Tak czujesz? – spoważniał nagle i zmarszczył czoło.

– Co się stało?

– Która godzina?

– Dwunasta dwadzieścia osiem.

– To nie może być w takim razie to – odetchnął z ulgą.

– Powiedz, o co chodzi.

– Wtedy była trzynasta trzydzieści dwie.

– Nie bądź taki zagadkowy. Co się stało?

– Ale to była zima... i czas zimowy. Chodźmy. – Nagle wstał.

– Nie zjesz sernika? Przecież lubisz.

– Chodź. Sernik teraz jest nieważny.

Poszedł, nie czekając na nią. Biegła za nim korytarzem, aby nadażyć. Zupełnie przestał zwracać na nią uwagę. Otworzył drzwi do poczekalni i spojrzał na napis NIE WCHODZIĆ, wciąż świecił na czerwono. Usiadł na krześle i wbił wzrok w drzwi sali operacyjnej. Bez słowa zajęła miejsce obok niego. Energicznym krokiem do poczekalni wszedł jakiś starszy lekarz, chyba ordynator oddziału. Nie zwracając na nich uwagi, otworzył drzwi do przedsionka sali operacyjnej.

– Źle z mamą? – zapytała.

– Bardzo źle.

– Wyjdzie z tego?

– Nie wiem. W ciągu kwadransa będzie wiadomo. O trzy-nastej trzydzieści dwie zeszła lawina.

– Jaka lawina?

– Normalna, lawina śnieżna. Zeszła w miejscu, gdzie nigdy nie schodziła. Wprost na ośłą łączkę u podnóża góry, na której byliśmy tylko we dwójkę. Reszta uczniów właśnie odchodziła na obiad, a my postanowiliśmy jeszcze chwilę potrenować, zamiast czekać w zatłoczonej restauracji na wolny stolik. Zdążyłem zjechać „mniej więcej”, jak mówił nasz nauczyciel, czyli mniej na nartach, więcej na pupie, i stojąc u podnóża z boku patrzyłem, jak twojej mamie uda się zjazd. Nagle zauważyłem, że jakieś dwieście metrów wyżej odrywa się wielki płat śniegu. Machałem do mamy, żeby zjechała na bok. Ale ona myślała, że się wygłupiam, i zamiast zjechać, odłożyła kijki, uniosła obie ręce i pomachała do mnie radośnie.

Gdybym wtedy nie pomachał, może zdążyłaby zjechać. Widziałem, jak porwał ją tuman śniegu i poniósł ze sobą. Prosto na mnie. Uciekałem w popłochu. Biegłem. Zasłoniłem twarz rękami. Straciłem orientację.

Dookoła była tylko ciemność. Po chwili udało mi się poruszyć dłońią. Byłem zabetonowany w śniegu. Nie wiedziałem, gdzie jest dół, a gdzie góra. Wydawało mi się, że z prawej stro-

ny czerń jest mniej czarna. Oswobodzoną dłonią rylem w tym kierunku w zimnym betonie. Zacząłem się dusić. Nagle moja dłoń przebiła się przez śnieg. Nade mną było tylko dziesięć centymetrów twardej masy. Poczulem powietrze. Mogłem oddychać.

Nauczyciel narciarski wraz z uczniami byli jeszcze w pobliżu i widzieli, gdzie mnie dopadła lawina. Zobaczyli moją dłoń wystającą spod śniegu i w dwie minuty mnie odgrzebali, używając do tego nart. Sam bym się chyba wydostawał za dwie godziny. Cieszyli się, że mnie uratowali. Byłem tak zmęczony, jakbym przerzucił tonę węgla.

– Gdzie jest moja żona? – spuścili wzrok. Nikt nie zauważył, w jakim kierunku porwała ją lawina.

– Szukajmy jej! – zawołałem.

– Spokojnie, zaraz przyjedzie GOPR z psami – powiedział nauczyciel.

– Ile czasu można przeżyć pod śniegiem? – spytałem.

– Piętnaście minut, potem człowiek się dusi.

Zrozumiałem, że te piętnaście minut to jest ostateczna granica. Ja dusiłem się już po minucie. Z pięćdziesiąt metrów dalej leżały resztki pozostałe z budki wyciągu orczykowego. Pobiegłem tam. Ze śniegu sterczał trzonek łopaty, ale była zabetonowana w białej masie. Udało mi się wyrwać jakąś deskę i tą deską wykopałem łopatę. Triumfalnie podniosłem ją do góry i zawołałem: „Mam łopatę!”. Oni stali bez ruchu, jakby zamarli. Ruszyłem ku środkowi góry śniegu i zacząłem kopać. Słyszałem ich komentarze.

– Facet zwariował.

– Też byś zwariował, wiedząc, że ci żona za chwilę umrze, a ty nic nie możesz zrobić, bo nawet nie wiesz, gdzie ona jest.

– Może ją znajdzie?

– Łopatą? Człowieku, do wiosny nie przekopiesz tego śniegu i spychaczem.

– Trzeba go powstrzymać...

– Lepiej niech się zupełnie wyczerpie.  
– Zaraz będzie pogotowie, dadzą mu relanium...  
– A co z tą jego babą?  
– Za trzy-cztery dni psy znajdą trupa, jak zacnie śmierdzieć.

– Nie mogę na to patrzeć!  
– Patrzcie! Przestał kopać, może znalazł?

Nie znalazłem. Dotarł do mnie bezsens tego kopania. Kopałem ze trzy minuty, a wygrzebałem dołek wielkości wanny. Śnieg z każdym centymetrem robił się coraz twardszy. Padłem na kolana.

– Nie, on zrozumiał i modli się o cud... – skomentował nauczyciel.

Przez poczekalnię przebiegł pielęgniarz z przenośną lodówką i otworzył drzwi do sali operacyjnej. Ktoś odebrał przesyłkę i sanitariusz znów przeszedł przez poczekalnię.

– Tato, co to było? Co on zaniósł?

– Krew. Twoja mama ma krwotok wewnętrzny i potrzebowali więcej krwi, niż było przygotowane do operacji.

– Jaką ma szansę?

– Niedługo się dowiemy.

Wzięła dłoń ojca w swoją rękę i mocno zacisnęła palce.

– Opowiadaj dalej! – zażądała.

– To zdanie: „Modli się o cud” przywróciło mi świadomość. Przypomniałem sobie słowa twojej mamy: „Cud jest w nas, nigdy nie oczekuj go z zewnątrz”. Podeszedłem do nich i powiedziałem: „A teraz milczeć! Pierwszego, który się odezwie, zatłukę tą łopata!” Myśleli, że zwariowałem. Wiedzieli, że zrobiłbym to bez mrugnienia okiem.

Jednemu z nich zerwałem z głowy czarną czapkę narciarską i naciągnąłem sobie na twarz, aż po usta, żebym nic nie mógł widzieć. Położyłem na jednym palcu łopatę tak, aby pozostawała w chwiejnej równowadze, jakby była różdżką. Wyciągnąłem rękę i chodziłem beładnie po śniegu, potykając się

o bryły. Miałem zamknięte oczy i czapkę na twarzy. Cały czas widziałem wyraźnie ruchome fioletowe plamy z kolorowymi postrzępionymi brzegami. Możliwe, że był to skutek niedotlenienia mózgu. Nagle poczułem, że łopata traci równowagę. Zrobiłem dwa kroki do przodu... Wróciła do równowagi. Cofnąłem się. Znowu straciła równowagę. Ściągnąłem z głowy czapkę i jak szalony zacząłem kopać. Po kilku ruchach zobaczyłem coś błyszczącego. Pomyślałem, że to krawędź monety albo kapsel od piwa, ale schyliłem się... To była obrączka, a w niej palec.

– NA POMOC! – zawołałem tak głośno, jak tylko mogłem. Potem się dowiedziałem, że słyszano mnie w odległości trzech kilometrów. Zrobiło się straszne zamieszanie. Podbiegło chyba ze trzydzieści osób.

W kilkadziesiąt sekund odkopaliśmy twoją mamę. Leżała na wznak, dłońmi zakrywając twarz. Obrączka była najbliżej powierzchni, pod dwudziestocentymetrową warstwą białego betonu. Była nieprzytomna, nie oddychała, ale puls był jeszcze wyczuwalny. Odchyliłem jej głowę do tyłu i zacząłem wdychać powietrze do płuc. Po kilku oddechach zakasłała. Odzyskała na chwilę przytomność. Uśmiechnęła się krzywo. Patrząc na mnie, wyszeptała tylko: „Wiedziałam”, i znowu straciła przytomność. Podbiegli sanitariusze z noszami. Jeden z nich pomagał mi iść. Byłem kompletnie wyczerpany.

Przytomność odzyskała dopiero w karetce. Poczułem, jak jej palce zaciskają się na mojej dłoni, ale nie otwierała oczu. W szpitalu podali jej tlen i kroplówkę. Zrobili badania i czekaliśmy na wynik. Siedziałem przy jej łóżku i trzymałem ją za rękę.

Nic do siebie nie mówiliśmy aż do chwili, gdy wrócił lekarz z wynikami. Powiedział, że wszystko jest w porządku, że nie ma złamań tylko lekkie stłuczenia. Skoro serce się nie zatrzymało, to nawet nie ma podejrzeń o niedotlenienie mózgu, ale trzy dni ją poobserwuj. Wtedy się dowiedziałem, że była

pod śniegiem dziewięć minut. Nie mogłem uwierzyć. Wydawało mi się, że minęła godzina, zanim dostrzegłem obrączkę.

Lekarz popatrzył na mnie z niesmakiem i zrobił jakąś durną uwagę, że mógłbym wreszcie pójść do ambulatorium, bo poplamilem już pościel i podłogę. Spojrzałem na swoje dłonie. Nie miałem paznokci....

– Muszę coś załatwić, przyjdę wieczorem – pocałowałem twoją mamę w czoło.

– Wiem – wyszeptła.

Od szpitala do parkingu hotelowego, gdzie zostawiłem samochód, było pięć minut drogi, ale ja potrzebowałem trzy razy tyle. Wsiadłem do samochodu. Pojechałem do małego kościółka za miastem. O tej porze było tam zupełnie pusto. Wszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi i ławką zablokowałem wejście. Nie pojechałem, aby się modlić, a w każdym razie nie po to, by odmawiać pacierz. Musiałem odreagować, czułem przerażające napięcie. Bałem się, że zwariuję. Dostałem konwulsji. Upadłem na podłogę na środku kościoła. Wydobywał się ze mnie skowyt, przechodził w wycie. W końcu przeszedł w normalny ludzki szloch. Zasłoniłem twarz dłońmi. Pozostałem w bezruchu do czasu, aż przestałem płakać. Podeszedłem do ołtarza i ukląknęłam. Patrząc na krzyż, przeżywałem *dejà vu*.

Znałem te wszystkie emocje. Przypominałem sobie dzień po dniu swoje życie. Chciałem odnaleźć we wspomnieniach czas, kiedy przeżywałem podobne emocje. Znalazłem. Pochodziły z momentu oświadczyń. Z chwili, kiedy wypowiedziałem słowa: „Całe życie na śmietnik”, a także z dzieciństwa...

Wróciłem do hotelu. Recepcjonistka przeraziła się. Dopiero kiedy zerknąłem w lustro, zrozumiałem, czemu tak wystraszył ją mój widok. Wyglądałem, jakbym uczestniczył w rekolekcjach satanistów i zębami rozszarpał żywą kurę.

Wykąpałem się, włożyłem białą koszulę i krawat. Palce zakleiłem plasterem z apteczki samochodowej. Po drodze do szpitala zdążyłem jeszcze kupić kwiaty.

Twoja mama z apetytem pałaszowała kolację. Gadaliśmy o głupotach i o tym, jak jej pragnę, i o wszystkim innym, co w żaden sposób nie kojarzyło się ze śniegiem.

Noc spędziłem w hotelu. Koło recepcji zaczął mnie jakiś dziennikarz z telewizji. Robił reportaż o niebezpieczeństwie lawin. Umówiłem się z nim następnego dnia na popołudniowe odwiedziny w szpitalu. Chciałem zapytać mamę o zdanie.

Rano przywitała mnie słowami:

– Chcę do domu.

– Dobrze kochanie, za trzy dni wrócimy.

– TERAZ! – wykrzyknęła.

Dotarł do mnie sens słowa „chcę”. „Chcę” jest bratem syjamskim słowa „teraz”.

– Ale to dla twojego dobra... – spróbowałem łagodnie.

Zmrużyła oczy, jakby była wściekła, i wycodziła przez zęby: – Rakietnica.

Byłem jej to dłużny. Ona uległa moim prośbom i nie wystrzeliła racy, gdy ja byłem ranny na wyspie.

– OK. – Wróciłem do hotelu po nasze rzeczy. Głośno zapytałem recepcjonistkę, czy wolą, abyśmy wywiad dla telewizji dawali w holu, czy w restauracji.

Po chwili zostałem zaproszony do dyrektora.

## Szarlotka

– Właściciel hotelu zapytał mnie, co zamierzamy teraz zrobić. Przyznałem uczciwie, że najchętniej wrócilibyśmy do domu, ale nie jesteśmy przygotowani do świąt.

Zwrócił mi całą wpłaconą kwotę, nic nie licząc za trzy dni pobytu. Na drogę dostaliśmy ogromne pudło luksusowego prowiantu i skrzynkę wina. W sezonie nie mieli najmniejszych kłopotów z wynajęciem naszego pokoju. Najwidoczniej woleli, żeby sprawa przycichła. Lawina nie tylko zakłócała przedświąteczną atmosferę, ale osłabiała również poczucie bezpieczeństwa całej miejscowości. Godzinę później, „na własne życzenie”, wypisali mamę ze szpitala. Zrobili to bez większych oporów, kiedy „niechcący” wspomniałem o reporterze, który miał się tam pojawić po południu. Prosto z kliniki wróciliśmy do domu. W przeciwną stronę jechały tłumy spragnionych śniegu fanatyków z nartami. Zamiast opłatkiem podzieliliśmy się kromką chleba. A że byliśmy wyspani jak mopsy, to na pasterkę podjechaliśmy do tego kościoła, w którym kiedyś dzwonił się po ślubie.

Święta spędziliśmy w łóżku. Nawet nie włączyliśmy telewizora. Przez dwa dni twoja mama bała się wypuścić mnie z objęć. Ale trzeciego dnia, gdy chyba już ze dwieście razy opowiedzieliśmy sobie każdą sekundę tamtych dziewięciu minut, życie wróciło do normy. Znow mogłem zamykać za sobą drzwi do toalety...

Z sali operacyjnej wyszedł ordynator. Popatrzył na nich, uśmiechnął się i zniknął bez słowa.

– Wszyscy nasi znajomi byli przekonani, że święta i Sylwestra spędziliśmy w górach. Na ich pytania odpowiadaliśmy bezsensownie, że od śnieżnego puchu bardziej wolimy puchowe pierzynki – widocznie nie wszyscy ludzie są fanatykami białego

szaleństwa. Nigdy więcej, nawet już po rozwodzie, nie próbowałem nauczyć się jazdy na nartach.

Gdy słyszysz słowo „śnieg”, pierwsze twoje skojarzenie jest zazwyczaj pozytywne i przypominają ci się ośnieżone góry. A ja, słysząc „śnieg”, natychmiast widzę biały beton. Nadal jedyny śnieg, który lubię oglądać, to ten za oknem, duże płatki wirujące w świetle latarni. Nigdy nikomu nie opowiadałem tej historii i nie sądziłem, że kiedykolwiek będę ją musiał opowiadać, ale najwyraźniej się myliłem.

– Tato, co z mamą?

– Widziałas tego lekarza? Uśmiechnął się, to znaczy, że udało się zatrzymać krwotok. Gdyby mama zmarła, odwróciłby głowę i udał, że nas nie widzi.

– A jak ty się domyśliłaś, że dzieje się coś złego?

– Ja? To nie ja! To ty to odczułaś.

– Ja nic nie odczułam.

– Ty odczułaś, a ja zinterpretowałem twoje odczucia. Wiedziałem, co oznaczają dla twojej mamy „ośnieżone góry”. To ty porównałaś kawiarnię do łąki wśród ośnieżonych gór.

– Myślisz, że ja coś odczułam?

– Wierzę w kobiecą intuicję.

– Może mi jeszcze wmówisz, że zanim pielęgniarka powiedziała, żebyśmy poszli na kawę, wiedziałam, że usunęli już raka?

– Oczywiście.

– Tato, co ty mi jeszcze za kit wciśniesz?

– A kto trzykrotnie potarł nos, zanim pojawiła się pielęgniarka? Może ja? A może nie miałaś dobrego humoru, gdy opowiadałem o tęczy?

– Ale to pod wpływem twoich wspomnień.

– Nie musisz wierzyć. Nie wszyscy ludzie potrafią widzieć z „szeroko zamkniętymi oczami”.

– Ale ty widziałeś.

– Kiedy?

- Szukając mamy przysypanej lawiną.
- Logicznie rzecz biorąc, twoja mama powinna zostać znaleziona dopiero po trzech dniach, gdy ciało zaczyna się rozkładać i psy wyczuwają siarkowodor wydobywający się ze zwłok.
- Więc jak to jest możliwe, że wtedy znalazłeś mamę?
- To jest zupełnie niemożliwe.
- Oszukałeś mnie? Opowiedziałeś mi bajeczkę?
- Jeśli wolisz, przyjmij to za bajkę.
- Nie wierzę ci! To nie była bajka.
- To w końcu wierzysz mi czy nie wierzysz?
- Już sama nie wiem.
- Brawo. Zrozumiałaś teraz jedną z najtrudniejszych rzeczy w życiu. Prawdą jest tylko to, w co chcemy wierzyć.
- Chcesz mi wmówić, że prawda nie istnieje?
- Nie wiem, czy istnieje, tego nikt nie wie. Istnieje tylko subiektywna prawda. Ona może być inna dla ciebie, a inna dla mnie i wcale nie musi być sprzeczna.
- Nie ma obiektywnej prawdy?
- Nie wiem. Wiem natomiast, że nie ma sposobu udowodnienia prawdy. Nie mam najmniejszej możliwości udowodnienia ci swojego istnienia, tego, że nie jestem tylko wytworem twojej wyobraźni, a cóż dopiero prawdziwości mojej historii.
- A czy cokolwiek można udowodnić?
- Tylko ty możesz sobie samej udowodnić, że istniejesz, skoro myślisz. Również wszystko inne ty możesz udowodnić, ale tylko sobie, nikomu więcej.
- Ale ja chcę wierzyć, że twoja historia jest prawdziwa.
- To uwierz. Wtedy będzie prawdziwa.
- A ty w to nie wierzysz?
- Ja się nad tym nie zastanawiam. Dla mnie prawda jest bez wartości.
- A co dla ciebie ma znaczenie?
- Skuteczność. To, co skuteczne, jest dla mnie prawdziwe, niezależnie od tego, czy jest logiczne, czy zwariowane.

– Wierzysz w działanie różdżki? – zdziwiła się.

– Nie. Myśmy te kilka dni przed sylwestrem setki razy ćwiczyli tamto zdarzenie. Nawet ukradłem u sąsiadów identyczną łopatę do odgarniania śniegu. Nic, zero reakcji. Kilkadziesiąt razy, chodząc z zawiązanymi oczami, nadepnałem twoją mamę, a „różdżka” ani drgnęła.

– Jak sądzisz, czemu wtedy, w lawinie, łopata poruszyła się dwukrotnie?

– Nie wiem.

– A jak to sobie tłumaczysz?

– Uważam, że człowiek w ekstremalnej sytuacji reaguje zupełnie inaczej niż na co dzień. Niezwykłych momentów nie da się wytłumaczyć prawami rządzącymi powszedniością. Tak samo jak gospodyni domowa ważąca pięćdziesiąt kilogramów nie może podnieść stukilowej sztangi. Ale udokumentowano przypadek, że kobieta uniosła samochód ważący tysiąc czterysta kilogramów, a więc udźwignęła ciężar czternaście razy większy od swojej wagi, bo myślała, że jej dziecko jest pod tym samochodem, który spadł z podnośnika.

– Dwadzieścia osiem razy większy, skoro ważyła pięćdziesiąt kilogramów.

– Uniosła samochód tylko z jednej strony, to znaczy, że podniosła siedemset kilogramów.

– Czy znów opowiadasz o mojej mamie?

– Nie. Na szczęście nigdy ciebie nie musiała wyciągać spod samochodu.

– A miała jakieś niezwykle zdolności?

– Miała.

– Jakie?

– Mówiłem już. Grała w szachy.

– Tato, czemu nie mówisz prawdy?

– Córeczko, powiedz mi, dlaczego nie wierzysz w swoją intuicję, skoro bezbłędnie wyczuwasz, gdy chcę cię oszwabić?

– Dlaczego chciałeś mnie okłamać? Żebym dalej nie pytała?

– Bo kiedyś obiecałem twojej mamie, że nikt się o tym nie dowie.

– O czym? Czy mama była chora psychicznie?

Wstał i zaczął chodzić po poczekalni, wydawało się, że prowadzi wewnętrzny dialog z samym sobą, jakby miał podjąć jakąś ważną decyzję. Zatrzymał się przed drzwiami sali operacyjnej i zaczął głośno mówić do siebie, jakby z kimś rozmawiał: „Uważam, że nadszedł czas. Czas na ich świat i ich życie. Niech poznają nas takimi, jakimi rzeczywiście byliśmy. Niech im się nie wydaje, że my byliśmy lepsi, mądrzejsi, wspanialszy, rozsądniejsi. Niech oni nas oceniają, jeśli chcą. Niech nas uważają za normalnych lub wariatów. Jesteśmy im winni całą prawdę o sobie, a nie tylko materiał na budowę pomników. Pozwólmy im żyć bez kompleksów, w pełnym słońcu, a nie w cieniu nieosiągniętych ideałów. Może największym prezentem, jaki możemy im zrobić, jest odbrązowienie siebie i pokazanie, że nie byliśmy aniołami, lecz tylko ludźmi. Ona zwolniła mnie z przysięgi małżeńskiej... Ty nigdy nie zwolniłaś mnie z przysięgi milczenia. Zrób to teraz. Niech zna całą prawdę. Nam już nic nie grozi. Skoro mnie zapytała, to niech pozna nasze życie od nas, a nie z zakurzonych pism ilustrowanych znalezionych na strychu. Przyszła pora na wspomnienia. Nie musisz umierać, abym mógł to opowiedzieć. Chcę to opowiedzieć także po to, żebyśmy byli w jej wspomnieniach nie jak pomniki cmentarne, ale żywe istoty. Dobrze, jeśli sobie życzysz, opowiem to na wesoło. Może przy okazji uwolnię się od miłości do ciebie. Dwa-dziesiąt siedem lat to chyba wystarczy? Nie sądzisz? Do zobaczenia, Bella”.

Podszedł do córki siedzącej na krześle. Ukucnął przed nią i wyszeptał:

– Zamilkł, a wszystkim się zdawało, że Wojcki wciąż gra jeszcze, a to echo grało” – wyrecytował

- Tato, czy ty nigdy nie spoważniejesz?
- Nie, nawet jak umrę, to poproszę o różowy kwiat do bu-tonierki i najnowsze wydanie czasopisma satyrycznego. Proszę, przyznaj uczciwie, że mój monolog przed drzwiami Sali opera-cyjnej robił wrażenie.
- Ciarki mnie przeszły, kiedy gadałeś do siebie.
- Uwielbiam robić wrażenie, a najlepiej dobre. Wiesz, co na mnie robi największe wrażenie?
- Nie...
- A chcesz wiedzieć?
- Bardzo chcę, powiedz, proszę.
- Sernik – wyszeptał takim głosem, jakby zdradzał naj-większą tajemnicę.
- Ale najpierw chodźmy do kwiaciarni!
- Po co? Lepiej będzie, jeśli jutro kupisz mamie kwiaty. Dziś będzie leżeć na sali intensywnej terapii, a tam nie wolno mieć kwiatów.
- Nie dla mamy. Chcę tobie kupić różowy kwiat do buto-nierki, jeszcze zanim umrzesz – roześmiała się ze swojej ripo-sty.
- Twój dowcip jest najlepszym dowodem mojego ojcostwa. Poczucie humoru odziedziczyłaś po mnie, bo w naszej dzielnicy zarówno listonosz, jak i hydraulik mieli zawsze smętne miny. A teraz chodźmy do kawiarni, bo mój mózg domaga się sernika, mój żołądek domaga się sernika, moje kiszki domagają się ser-nika...
- Podał jej ramię szarmanckim gestem, którego nauczyła go babka, aby wiedział, jak prosto podrywa się dziewczyny.
- Ale ja zapraszam – powiedziała córka. – Rozumiem, że od razu mam wziąć trzy serniki.
- Postaram się, aby moja opowieść była dla ciebie warta tych trzech ciastek.
- Usiadł przy tym samym stoliku i czekał spokojnie, aż córka przyjdzie z tacą.

- Przykro mi, ale serników już nie mieli, wzięłam szarlotki.
- Zabawiałem się w ratownika, więc zabrakło już sernika
- zrymował radośnie.
- Tato, wiesz, z czym mi się teraz skojarzyły te białe ściany? – spytała szeptem.
- Wiem. Z białymi ścianami szpitala.
- Skąd wiesz, że to chciałam powiedzieć?
- Bo, po pierwsze, nie mam w zanadrzu drugiej historii o górach, a po drugie, nie zostawię trzech szarlotek, żeby pomagać chirurgowi trzymać skalpel.
- Boże, czemu takiego modelu uczyniłeś moim ojcem!
- zawołała rozpromieniona, wznosząc oczy.

## Szachy

– Od czego mam zacząć? – spytał z pełnymi ustami.

– Powiedz mi, proszę, dlaczego to, co mówisz o mojej mamie, tak bardzo się różni od moich wspomnień. Opowiadasz mi o cudownej cieplej, serdecznej, mądrej, kochającej cię kobiecie. Według mnie moja mama była egoistką, myślała tylko o sobie i nie interesowała się domem i rodziną. Czemu ona się tak zmieniała?

– Trafiłaś w sedno! Człowiek może się zmienić. W każdym z nas jest dużo więcej, niż nam się wydaje. Kiedyś uważano, że to szatan potrafi tak nami pokierować. Jakby anioły były zniechęcającymi dupkami, które pogubiły rękawice boksinerskie.

– A ty jak uważasz?

– Ja uważam, że ta szarlotka jest całkiem niezła.

– A jaki jest świat poza ciastkarnią?

– Córuniu! Kocham cię! Wreszcie skończyłaś z tym swoim „tato, przestań”.

– Bo ciebie nie da się już zmienić.

– Bravo! Przestałaś zmieniać to, czego zmienić nie można. Widzę ogromne postępy na drodze twojego rozwoju osobistego. To którą chcesz opowiadkę: „Szachy” czy „Nieznana historia mamy”?

– Wolę historię, której nie znam, bo w szachy to następnego dnia wygrałeś i zażyczyłeś sobie jej adresu.

– Wcale nie zgadłaś, było zupełnie inaczej. Następnego dnia twoja mama przyszła punktualnie na spotkanie w parku. Uśmiechała się z wyższością, pewna swojej wygranej.

– Witaj młodzieńcze. Czy wymyśliłeś, o co będziemy grali?

– Wyciągnąłem z kieszeni bukietek stokrotek i podałem jej. Była najwyraźniej zaskoczona, ale próbowała to ukryć, mówiąc ślicznie:

– Ja też mam coś dla ciebie, bo mimo wszystko, postanowiłam dotrzymać danego ci słowa. Nagrałam ci kasetę. Będziesz miał na pamiątkę naszej znajomości.

Nie zapytałem, co znaczy „mimo wszystko”. Z jej zachowania wywnioskowałem, że to jest nasze ostatnie spotkanie.

– O co chcesz zagrać? – przeszła do sedna.

– Powiedziałaś, że jesteś gotowa grać o każdą stawkę, a więc dowiesz się, jeśli przegrasz. Jeśli wygrasz, nigdy się nie dowiesz. W kopercie jest moje życzenie, dobra wróżka, spełniająca wszystkie marzenia.

– Zaskakujesz mnie, młodzieńcze” – próbowała utrzymać tę sztuczną formę.

– A ty już wiesz, o co chcesz grać i jakie jest twoje życzenie? – spytałem.

– Też ci powiem dopiero po skończonej partii. Czyżbyś zapomniał, że to ja ustalam reguły tej gry?

– To znaczy? – poczułem, że coś jest nie w porządku i że znów coś przeoczyłem. – Czyżby piony miały chodzić do tyłu? Mieliśmy grać w szachy! Taka była umowa!

– Masz rację, młodzieńcze, ale życzenie, które znajduje się w przygotowanej przez ciebie kopercie, spełnię tylko wtedy, kiedy przegrasz ze mną w szachy.

– To znaczy? – spytałem zdezorientowany.

– To znaczy, że jeśli wygrasz, to po raz pierwszy w życiu nie będziesz się z tego cieszył.

– A jeśli zremisuję? – próbowałem ratować honor i wygrać życzenie.

– Nic z tego, młodzieńcze. Tylko, jeśli przegrasz, to spełnię twoje życzenie – rzekła triumfalnie.

Po raz pierwszy musiałem przegrać, żeby wygrać. Już po kilku ruchach mogłem dać mata. W szachach nie ma niestety obowiązkowego bicia i po kilkunastu ruchach o mało nie wpadłem w zasadzkę wygranej. Po dwóch godzinach zebrał się dookoła nas tłumek emerytów komentujących ustawienie na sza-

chownicy. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli, ale szybko się zorientowali, na czym polega nasza gra.

Sytuacja była dla mnie bez wyjścia, czym bym się nie ruszył, z wyjątkiem gońca, dawałem mata. Ale ruch laufrem był powtórzeniem sytuacji, a to oznaczało remis. Musiałem zbić jej królowkę, zmniejszając swoje szanse na przegraną. W końcu znalazłem rozwiązanie. Tak długo szachowałem jej króla, aż zasłonił hetmana i w dwóch ruchach dałem sobie mata.

– Nie doceniłam cię, mistrzu – powiedziała z uznaniem.

– Szkoda, że przegrałem, bo nie dowiem się, jakie było twoje życzenie – nie byłem przekonany, czy mam się cieszyć, czy martwić, więc dodałem przewrotnie: – Ale przegrałem tylko przez ten hałas w parku.

– Przepraszam za „młodzieńca”. Czy już zarezerwowałaś hotel? – kpiła ze mnie, jakby znała moje myśli i wiedziała, jak bardzo jej pragnę.

– Jeszcze nie, ale skoro sobie życzysz, chętnie to zrobię następnym razem, dziś mam inne życzenie – i podałem jej zaklejona kopertę, którą rozerwała z namaszczeniem, a wtedy zdarzyła się ciekawa sytuacja na szachownicy obok, bo biały król...

– Tato, wystarczy!

– Co wystarczy? Szarlotki? Nie, ciastek zawsze mało! Chętnie zmieszczę w siebie jeszcze jedno.

– Wystarczy budowania napięcia, jeszcze chwila, a twój jedyny słuchacz się wkurzy. Wystarczy. Powiedz wreszcie, jakie to było życzenie.

– Już wcześniej ci mówiłem. W nocy podmieniłem kartkę z tulipanami na białą. Nie napisałem żadnego życzenia. Kartka była czysta.

– Jak to? Mogłeś mieć wszystko, a nie zażądałeś nawet jej adresu? – zdziwiła się.

– To samo powiedziała twoja mama, zaskoczona brakiem życzenia.

– Nie podobam ci się? Nie pragniesz mnie? Nie chciałbyś się ze mną przepaść? – spytała wprost.

– Jesteś ładniejsza niż dziewczyna z moich marzeń i snów. Pragnę cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Jednak to, co do ciebie czuję, jest czymś więcej niż tylko pożądaniem. Przedwczoraj w herbaciarni dostałem od ciebie uśmiech, to był najpiękniejszy uśmiech w moim życiu. Dostałem go, bo chciałaś mi go dać. Dziś mogłem wygrać wszystko, ale nic bym nie dostał, bo dziś nic nie chcesz mi dać. Nie byłbym pewien, skąd pochodzi nawet najdrobniejszy gest uczyniony w moim kierunku. Czułbym, że jest opłatą za wygraną, a nie prezentem ofiarowanym z serca. Wczoraj powiedziałaś, żebym wymyślił coś, czego nie będę żałował. Wszystko, co mógłbym od ciebie wygrać, byłoby zabrane ci siłą. Dlatego tak zaciekle starałem się przegrać tę partię.

– Ale przecież nic nie wygrałeś?

– Wygrałem więcej, niż możesz to sobie wyobrazić. Wygrałem pewność tego, że jeśli kiedykolwiek uśmiechniesz się do mnie, to będę wiedział, że chciałaś się uśmiechnąć i że ten uśmiech jest dla mnie. Jeśli wezmiesz mnie za rękę, to będę przekonany, że chcesz iść ze mną na spacer. Jeśli kiedyś mi podasz swój adres, to będę uważał, że chcesz utrzymywać ze mną kontakt.

Wzięła mnie za rękę i poszliśmy nad staw, po którym pływało ptactwo wodne. Przez chwilę patrzyliśmy na kaczki na stawie, a potem przytuliła się do mnie i powiedziała:

– Jesteś niezwykłym chłopakiem. Już cię pragnę, ale jeszcze nie kocham. Chcę się w tobie zakochać. Chcę, abys i ty mnie kiedyś pokochał. Prześpię się z tobą dopiero wtedy, kiedy będę całkiem pewna mojej miłości do ciebie, a twojej do mnie. Nie wiem, ile to potrwa, i czy będziesz miał wystarczająco dużo cierpliwości, aby poczekać?

– Tak, chcę poczekać na tę chwilę – odpowiedziałem z przekonaniem, tuląc swoją mamę w ramionach.

– Chcę, żebyś to ty stał się pierwszym facetem w moim życiu – dodała niespodzianie.

– Co?! – zakrztusiłem się.

– Czemu się tak dziwisz? Nie przypuszczałeś, że jestem dziewczicą?

– Nie, ja... – zacząłem swoje wyznanie.

– Wiem, ty też nie spałeś jeszcze z kobietą.

– Jak się tego domyśliłaś?

– Kobieca intuicja.

– Powiedz, jak?

– Fotografując mnie na murze starego miasta, zwracałeś uwagę na twarz, a nie na nogi.

– I tylko po tym poznałaś? Przecież mógłbym być pedałem.

– Gdybyś był homoseksualistą, nie robiłbyś mi zdjęcia, a już na pewno nie dał dyktafonu, nie znając mojego adresu. Ale poznałam nie po tym, to był tylko jeden szczegół.

– To po czym?

– Bo masz takie niewinne spojrzenie. Bo patrząc na dziewczynę, patrzysz w jej oczy, a nie na biust. Bo traktujesz kobiety jak księżniczki. Bo jesteś nieśmiały. A teraz zapomnij na długo, na bardzo długo o tej dzisiejszej rozmowie i zapisz sobie mój adres i numer telefonu.

– Ale numer! Obydwoje byliście dla siebie pierwsi? – zdumiała się Ida.

– Tak, kochanie. Najwyraźniej przeżywaś teraz nie mniejszy szok niż ja wtedy. No i co, droga słuchaczko, czy ta opowieść była warta trzech szarlotek?

– Nawet siedmiu! Jak długo czekałaś albo czekaliście?

– Nie domyślasz się jeszcze? Niemożliwe... – roześmiał się. – Czyżbyś mnie nie słuchała?

– Do nocy poślubnej?

– Nie przesadzaj, aż tak święci nie byliśmy. Opowiadałem ci przecież, wspominając o wyspie, że już wcześniej się kochaliśmy, także podczas miesiączki.

– A więc wtedy, gdy się oświadczyłeś i wyrzuciłeś aparat i dyktafon, to był wasz pierwszy raz?

– No nareszcie zgadłeś. A już myślałem, że zażądasz pytania do widowni lub telefonu do przyjaciela.

– Opowiesz? – spytała zachwycona.

– Jeśli chcesz... Już nie mam przed tobą tajemnic.

– No pewnie!

## Krzak

– Na pierwsze wspólne wakacje pojechaliśmy autostopem. Ważne było dla nas, aby być razem i aby było ładnie, czyli w góry. Po całym dniu jazdy dotarliśmy do prześlicznej górskiej miejscowości. Była pełnia sezonu. Chodziliśmy od domu do domu, ale wszystkie kwatery były zajęte. Ściemniło się. Straciłem już nadzieję na znalezienie jakiegokolwiek noclegu. Przygnieciony ciężarem zmartwienia dużo większym niż plecak dźwigany na grzbiecie, ledwo powłóczyłem nogami.

– Stop! – zawołała twoja mama. Pomyślałem, że znów znalazła po ciemku dwadzieścia złotych. – Czym się teraz martwisz? Że nie znajdziemy noclegu? A jeśli nawet nie znajdziemy, to co za problem? Jest lato, ciepło, nie pada, niebo pełne gwiazd, dookoła stogi siana. Czego ci jeszcze potrzeba?

– Chciałbym, abyś miała wygodne łóżko i czystą pościel.

– A ja pragnę tylko jednego? Zasnąć w twoich ramionach. Zrozumiałeś?

– Ja też tego pragnę – przyznałem uczciwie.

Nieraz podczas samotnych wędrówek nocowałem w lecie w stogu siana i było całkiem fajnie. Ale wtedy byłem sam i nie musiałem się niczym martwić. Spodobał mi się pomysł spędzenia wspólnej nocy pod gwiazdami. Było ciepło, mieliśmy koc i pelerynę na wypadek deszczu. W gruncie rzeczy super przygoda! Do końca wioski pozostały jeszcze tylko trzy domy, a za nimi rozciągała się ogromna łąka ze stogami siana.

W pierwszych dwóch domach nie mieli dla nas noclegu. Przed ostatnim domem kwitł ogromny krzak róży oświetlony latarnią. Drzwi otworzył nam starszy mężczyzna w eleganckim szlafroku. Na pytanie, czy nie mają pokoju do wynajęcia, potarł dłonią czoło, jakby się zastanawiał, co ma nam odpowiedzieć. Na palcu miał piękną obrączkę wysadzaną diamentami, a na przegubie dłoni złoty zegarek.

– My nie wynajmujemy kwater, ale mamy jeden pokój gościnny w przybudówce. Możecie się tam przespać do rana. – Odwrócił się i zawołał radośnie w głąb mieszkania: – Mario, miałaś rację, przyszli goście! Idź im pościel.

Po chwili zjawiła się Maria, piękna, młoda kobieta. Zaprowadziła nas na tył domku.

„Pokój gościnny” okazał się kawalerką z kuchnią, łazienką, osobnym wejściem i oknem wychodzącym na łąkę ze stogami siana. Twoja mama, zamiast spytać o konkretne sprawy i targować się o cenę kwatery, wciągnęła Marię w rozmowę. Zachwycała się przydomowym ogródkiem i krzakiem pod latarnią. Rozgadały się, jakby się znały od dawna. Wygrzebałem z plecaka kaptcie dla twojej mamy. Nastawiłem wodę. Zaparzyłem trzy filiżanki herbaty i wysypałem na talerzyk resztkę ciastek. Było mi trochę głupio, bo herbatniki pokruszyły się w drodze. Usiedliśmy przy stole.

– Kim dla pani jest ten starszy facet, który nam otworzył drzwi? Pracuje pani u niego i opiekuje się staruszką? – spytałem niezwykle rezolutnie.

– To mój mąż. To on się mną opiekuje – odpowiedziała z dumą, jakby dziadek był Adonisem.

Chciałem się zapaść się pod ziemię, bo nie dość, że płonąłem ze wstydu, to na dodatek oblałem się gorącą herbatą.

– Nie przejmuj się, nie jesteś pierwszym, który tak pomyślał – roześmiała się serdecznie, przyznając, że między nią a dziadkiem jest duża różnica wieku. – Mąż jest po operacji, miał zawał i pewnie nie wygląda dziś najlepiej...

Maria wychowała się w domu dziecka. Nigdy nie poznała swojego ojca. Nie zaznała też miłości matki. Nie miała rodzeństwa. Nie miała nic własnego, z wyjątkiem jednej książki: bajki o księciu i róży. Piękny krzak pod latarnią był spełnieniem jej marzenia z dzieciństwa o własnym domku z różami. Z jej opowiadań domyśliliśmy się, że do choroby męża przyczyniła się

nienawiść jego jedynej córki. Nie mogła mu wybaczyć, że przepisał dom na Marię, która była młodsza od swojej pasierbicy.

– Opowiedziała wam przy herbacie historię całego życia? Niemożliwe... Czy była aż tak spragniona rozmowy? Chyba trochę koloryzujesz? – Ida dostrzegła nielogiczność w jego opowieści.

– Masz rację. Po prostu chciałem nieco skrócić swoje wspomnienia. Oczywiście, że nie opowiedziała tego wszystkiego przy herbacie. Niektórych spraw dowiedzieliśmy się później. Pogadaliśmy z godzinkę i Maria, życząc nam miłych snów, poszła spać. Wtuliliśmy się w siebie i zasnęliśmy, zmęczeni podróżą.

Następnego dnia rano poszliśmy jej podziękować i zapłacić za nocleg. Gospodarze zaprosili nas na wiejskie śniadanie: chleb grubo posmarowany masłem i mleko. Gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Żartowali sobie z naszej wczorajszej sytuacji. Widać było, że są ludźmi wykształconymi. Maria kochała Szekspira, a jej mąż lubił Hessego. Uwielbiali zagadki logiczne i historyjki z czasów szkolnych. Podsuwali nam różne propozycje, co warto zwiedzić i obejrzeć w okolicy, którą najwidoczniej znali bardzo dobrze. W końcu wstaliśmy od stołu.

Serdecznie dziękując za nocleg i poczęstunek, chcieliśmy uregulować należność. Na następne kilka dni planowaliśmy znaleźć nocleg mniej luksusowy, ale za to bardziej adekwatny do naszych portfeli.

– Jeśli ten skromny pokój spełnia wasze oczekiwania, to będzie nam bardzo miło móc was gościć u siebie do końca waszego pobytu – powiedziała Maria.

– A ile będziemy musieli zapłacić? – spytałem, jak zwykle rezolutnie, przekonany, że nie stać nas na taki luksus.

– Za chwilę możesz za swoje pytanie zapłacić ogromnym siniakiem na tyłku – roześmiał się staruszek. – To jest dom Marii i skoro jej to sprawia przyjemność, żeby was u siebie gościć, to daj jej uśmiech zadowolenia. Kiedyś tak się zdarzy, że to ty

dasz komuś coś, co dla niego będzie miało ogromną wartość, a dla ciebie będzie prawie bez znaczenia.

– Szczęśliwi jak najedzone psy łańcuchowe wypuszczone na wolność poszliśmy zwiedzać wioskę. Mieścina okazała się potwornie droгим kurortem. Usiedliśmy w lodziarni i rozkoszowaliśmy się kolejną wspaniałą przygodą zesłaną nam przez nieprzewidywalny w swych zamysłach los – rozsiadł się wygodnie na krzesle, jak kiedyś w lodziarni.

– Ciekawe, czemu oni przyjmują pod swój dach zupełnie obcych ludzi? – zastanowiłem się głośno, marszcząc czoło i w skupieniu grzebiąc w lodach z bakaliami. – To przecież nierozsądne! Nie boją się, że ich okradnę, ją zgwałcę, a jego zamorduję? – Twoja mama parsknęła śmiechem, rozpryskując dokoła bitą śmietaną.

– Co ja takiego głupiego powiedziałem? – spytałem obrażony, wycierając serwetką plamę na koszuli.

– Uwielbiam cię! – śmiała się jak z najlepszego dowcipu, trzymając się za brzuch. – Ty i gwałt... ha, ha, ha, ha... oj, oj... bo pęknę ze śmiechu.

– Co cię tak bawi? – byłem na nią wściekły. – Co ty mi imputujesz, że nie jestem mężczyzną, że nie mam czym albo że bym nie potrafił?

– Błagam... ha, ha, ha... nie mów nic więcej... ha, ha, ha, bo ha, ha, ha... bo pęknę...

– Za kogo ty mnie masz? Za dupka?

Nigdy wcześniej nie wyśmiewała się ze mnie. Założyłem ręce, wydałem wargi. Było mi potwornie przykro. Znikła radość wspólnych wakacji. Czułem się wyśmiany i wzgardzony. Nawet lody przestały mi smakować. A ona ciągle się śmiała, aż z oczu kapały jej łzy. Nikt tak nie potrafi dokuczyć jak własny dentysta.

– Chodź na spacer – powiedziała, wstając od stolika. – Przepraszam, ale to było silniejsze ode mnie. Przestań się wreszcie boczyc. Naprawdę nie wiesz, za kogo cię mam? Mam

cię za najwspanialszego faceta na Ziemi. No uśmiechnij się wreszcie! Kocham cię! – Nogi się pode mną ugięły. Powiedziała KOCHAM. Nic nie rozumiałem. Jeszcze przed chwilą namawiała się ze mnie, a teraz mówi, że mnie kocha.

– Dlaczego? Za co? Czemu? – pytałem zdezorientowany.

– Dlaczego? Bo jesteś tego wart! Za co? Za to, jaki jesteś! Czemu? Bo nie potrafię inaczej. Czy teraz już wszystko jasne?

– Nic a nic. Jeszcze mi ciemniej.

– Pocałuj mnie wreszcie, zamiast zadawać pytania!

– Cóż miałem zrobić, skoro i tak moja głowa była pusta jak alejka, którą szliśmy? Nieraz się już całowaliśmy, ale tym razem to była namiętność i pragnienie, miłość i pożądanie... Pocałunkiem wyszała ze mnie całą złość i żal.

– Usiądźmy – zaproponowałem. Nogi miałem jak z waty. Serce biło mi jak u maratończyka, a w głowie hulał halny.

– Co z tobą? – zainteresowała się moim stanem.

– Proszę o czas dla drużyny... – wybełkotałem.

– Dobrze się czujesz?

– Nigdy nie czułem się lepiej – wracałem do formy. – Teraz powiedz, co cię tak rozśmieszyło. Proszę, zrób to tak, abym po pierwsze zrozumiał, a po drugie znów nie wyszedł na idiotę.

– Postaram się. Po pierwsze, dziś była nasza pierwsza wspólna noc i co ty zrobiłeś? Nic. Tylko mnie przytuliłeś. Nawet nie próbowałeś się do mnie dobrać – powiedziała spokojnie. Odebrałem to jako wymówkę.

– Myślałem, że jesteś zmęczona. Mówiłaś, że marzysz tylko o tuleniu się – zacząłem się tłumaczyć wśród nawracającego żalu i złości. – A teraz masz pretensje. Znów czuję się jak krety. Mogłaś powiedzieć, że masz chęć na petting, netting, albo żebym... – zakryła mi dłonią usta i na szczęście nie zdążyłem dokończyć zdania.

– Nocą dostałam najpiękniejszy prezent, jaki kobieta może otrzymać od mężczyzny – zaczęła szeptem. – Swoim zachowaniem pokazałeś, że naprawdę mnie kochasz. Czułam twoje

podniecenie, a jednak nie wykonałeś najmniejszego gestu, któryby w jakikolwiek sposób wiązał się z seksem. Myślałeś, że jestem śpiąca, zmęczona i pragnę tylko przytulenia. Moja potrzeba odpoczynku była dla ciebie ważniejsza od twojego pożądania. Leżeliśmy tak przytuleni do siebie. Zasnąłeś. Uświadomiłeś mi, że jestem dla ciebie przede wszystkim człowiekiem. Ty kochasz mnie bardziej, niż pragniesz. Nie mniej od ciebie tęskniłam w nocy do pieśczoł i pocałunków, ale w żaden inny sposób nie dowiedziałabym się, jak bardzo jestem dla ciebie ważna. Takiego poczucia wartości nie dałyby mi nawet najwymyślniejsze pieśczołoty. Dzisiejszej nocy uświadomiłam sobie, że cię kocham i zrozumiałam, jak bardzo cię... – usiadła mi na kolanach i całowała tak namiętnie, jakby się ze mną kochała... Nagle wróciła do przerwane go monologu.

– W kawiarni nie śmiałam się z ciebie, lecz ze swojej wyobraźni. Powiedziałeś, że nasi gospodarze są nierozsądni, przyjmując pod swój dach nieznan ych im ludzi, bo mógłbyś zgwałcić. Przedstawiłam sobie taką sytuację: napadasz obcą kobietę w lesie i... i ona mówi do ciebie: czy ty wiesz, wstrętny gwałcicielu, jak się będziesz źle czuł i jak straszne będziesz miał wyrzuty sumienia? Albo: pogniewam się na ciebie śmiertelnie, jeśli to zrobisz. Lub: jak chcesz, to gwałć, ale ja mam rzeźączkę... A tobie przechodzi zapał do gwałtu. Zaczynasz przeproszać... Co? Wyobraziłeś to sobie? Mam rację? A zresztą nasi właściciele nie są idiotami. Oni nas dobrze poznali dziś rano. Wczoraj ująłeś Marię tym, jak się mną zająłeś. Bez pytania zrobiłeś nam herbatę i poczęstowałeś ostatnimi pokruszonymi herbatnikami. Na dodatek twoje pytanie: „kim jest ten starszy facet?” było tak uroczo naiwne, jakbyś nie dostrzegł na palcu Marii diamentowej obrączki, takiej samej jak u jej męża. Dziś podczas śniadania zdałeś celująco egzamin i test na osobowość. Wykazałeś się znajomością fizyki i elektrotechniki. Rozwiązałeś prawidłowo chyba z pięć zadań logicznych. A gdy się okazało, że czytałeś *Pod kołami* Hessego, to nawet dziadka

powaliłeś na kolana. Marię kupiłeś już wcześniej, cytując fragment z *Poskromienia złośnicy*. Czego mają się jeszcze obawiać, skoro podałeś im nie tylko nazwę swojej szkoły, ale i nazwisko wychowawczyń?

– Oni mnie egzaminowali? – szczęka mi opadła ze zdumienia. – A ja, kretyn, poczułem do nich sympatię...

– Oni nas, a my ich. My też wiemy o nich dużo.

– Nic o nich nie wiemy.

– Jak to nic? Wiemy to, co dla nas najważniejsze! Są sympatycznymi ludźmi, są serdeczni, kulturalni, kochają się... Wiemy, że chcemy u nich mieszkać. Czy to mało? Gdyby on bił swoją żonę albo ona wyzywała go od staruchów, lub gdyby nam powiedzieli, że z litości nad żebrakami możemy przenocować, to zostałbyś?

– Nie, nawet gdyby nam mieli dopłacić, to nie nocowalibyśmy już u nich – odpowiedziałem szczerze.

– I jak się teraz czujesz?

– Jak idiota! Ja tego wszystkiego nie widziałem.

– Widziałeś tak samo jak ja, tylko z innej perspektywy. Gdybyś mógł cofnąć czas i teraz usiąść do śniadania, zachowałbyś się inaczej?

– Tak. Chyba nie. Raczej nie. Nie. Nie wiem... – nie mogłem się zdecydować.

– A gdybyś w nocy się domyślił, jak bardzo pragnę twoich pocałunków i pieszczot, to zachowałbyś się inaczej?

– Nie! Po tym, co mi powiedziałaś, to nie. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham.

– Już to wiem. Teraz chcę, żeby łączyły nas pieszczoty, dopóki nie będziemy obydwój gotowi na rozpoczęcie współżycia. Poczekasz jeszcze kilka dni?

– Oczywiście, ale dziś w nocy nie muszę już leżeć jak kłoda? Mogę dotknąć twoje...

– Nie! – przerwała mi zdecydowanie.

– Dlaczego? – spytałem rozczarowany.

– Bo nie mam zamiaru czekać do nocy. Teraz pragnę twoich pieśczoł. Dostyc tych spacerów na dziś. Chcę leżeć z tobą w łóżku. Naga...

Koło ich stolika przechodziła właśnie uśmiechnięta pielęgniarka z tacą. Zatrzymała się na chwilę.

– Przepraszam, czy nie widział pan skrzata na hulajnodze?  
– zapytała, śmiejąc się.

– Nie, ale siedem krasnoludków toczących małe białe talariki z napisem „Aspiryna” pytało o gabinet Królowny Śnieżki i małpki Fiki Miki. Powiedziałem im, żeby szukali na piątym piętrze, koło gabinetu Kota w butach – odpowiedział sanitariuszce ze śmiertelną powagą.

– Dzięki panu miałam bardzo miły dzień. Chwilę po spotkaniu z panem znalazłam chłopca i opowiedziałam mu o Czerwonym Kapturku z gipsem. Pozwolił sobie zdjąć opatrunek i nawet nie płakał. Życzę wam, aby i dla was ten dzień był szczęśliwy. – Pokazała w uśmiechu cały garnitur zębów i oddała się.

– Tato, co się tu dzieje? – spytała zdezorientowana córka.  
– A może ja o czymś nie wiem? Czym ty zaczarowałaś pielęgniarkę?

– Nic nadzwyczajnego, po prostu w bajkach rozpoczęła się przerwa semestralna i wiele postaci wyszło z ukrycia. Nadeszła pora... – zawiesił głos, jakby chciał powiedzieć coś nadzwyczajnego. – ...abyśmy wrócili do poczekalni.

– I znów mi nie opowiedziałeś... – stwierdziła z udawanym żalem.

– Ale w końcu opowiem. Czy naprawdę chcesz, żebym spłynął tak ważne chwile i przedstawił ci je jako anegdota? Bez towarzyszącej im oprawy? Bez tamtej atmosfery? Bez niecierpliwości czekania?

– Znów masz rację. Chcę w pełnej wersji. Chyba staję się wstrzemięzliwa, jak ty wtedy...

## Duch

Wrócili do poczekalni. Nad drzwiami sali operacyjnej wciąż świecił się napis „Nie wchodzić”. Usiedli. Ich oczekiwanie stało się teraz czekaniem pełnym nadziei, czekaniem na coś dobrego, co się miało wydarzyć.

– W drodze powrotnej zrobiliśmy zakupy – wrócił do przerwanej opowieści. – Nic nadzwyczajnego, chleb, miód, masło, kompot ananasowy, arbuz, śmietana, cukier, świeczki. Opowiadam ci najsmaczniejsze świństwa mojego życia... Ale dla ciebie miód to miód, a dla mnie miód to wspomnienie erotycznej psoty.

Ciekawi siebie bawiliśmy się swoimi ciałami, nawzajem poznając je i nasze reakcje. Przez trzy dni prawie nie wychodziłszy z łóżka. Przetrenowaliśmy wszystkie rodzaje pieszczoł, z wyjątkiem pełnego współżycia.

– I uważasz, że to było zdrowe?

– Nie wiem, córeczko. Wtedy często się zastanawiałem, czy nie robimy czegoś na opak, zamiast tak normalnie, jak większość ludzi. Nieraz rozmawiałem potem z kolegami w pracy, widziałem, że oczy robiły im się jak srebrne półdolarówki. Żadnemu z nich nigdy nie przyszłoby do głowy, że ananas może spełniać rolę centymetra do pomiaru długości, operując mało znaną jednostką: plaster. Żartowali sobie z moich opowieści, a jednocześnie zazdrościli mi jak cholera. A przecież nawet im nie wspominałem o niezwykłych harcach, miodzie i arbuzie... Dziś patrzę na to zupełnie inaczej. Uważam, że wszystko, co sprawia dwojgu ludziom przyjemność i radość, jest moralne. Najważniejsze to nie robić sobie krzywdy w życiu. Jeżeli żyrandol jest dobrze zamocowany, to czemu nie? – zażartował. – Nasza decyzja, aby jeszcze poczekać, sprawiła, że dzięki pieszczotom staliśmy się świadomi naszych ciał i reakcji.

Tak jak teraz jestem świadom, że mamę zaraz przewiozą dwa piętra wyżej.

– Tato, czy ty na pewno nie jesteś jasnowidzem?

– Nie, kochanie. „Nie wchodzić” właśnie zgasło, a to oznacza, że operacja się skończyła.

Wstali jak na komendę, i to dokładnie w chwili, kiedy drzwi bloku operacyjnego się otworzyły. Pielęgniarski wysunął z nich łóżko na kółkach. „Jak wózek w supermarkecie” – pomyślał, patrząc na kropłówkę zawieszoną wysoko jak chorągiewka z nazwą sklepu.

W windzie towarowej było wystarczająco dużo miejsca obok łóżka. Położył rękę na dłoni wystającej spod koca. Zaciśnęła delikatnie palce, jak kiedyś w karetce, w drodze do szpitala...

Przed salą intensywnej terapii pielęgniarski poprosił, aby poczekali. Powiedział, że ich zawoła po podłączeniu cewnika.

– Po trzech dniach w łóżku to...

– ...mama poczuje się lepiej – dokończyła zdanie.

– Na pewno – roześmiał się. – Myśmy też się poczuli lepiej. Nawet poszliśmy zwiedzać pobliskie atrakcje turystyczne.

Jedną z nich była kaplica zbudowana z ludzkich kości. Zrobiła na nas wrażenie nie liczbą czaszek, lecz namacalną świadomością przemijania zmuszającą do zachowania ciszy. Jednak po wyjściu stamtąd nie myślało się już o śmierci, ale o życiu toczącym się TERAZ.

– Dziwnie się czuję z myślą, że zostaną po nas tylko kości – odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

– No i duchy... – dodała twoja mama.

– Ale one ulecą... – odpowiedziałem.

– Wywoływałeś kiedyś duchy? – spytała.

– Nie, a ty?

– Wiele razy. Chcesz, zrobimy to dzisiaj.

Kupiliśmy papier, flamaster i świece. O zmroku zaczęły się przygotowania. Twoja mama wypisała półkoliście na brystolu

cały alfabet i cyfry od zera do dziewięciu. Porcelanowy talerzyk osmolila od spodu płomieniem świeczki, a potem palcem starła część sadzy tak, aby osmolenie miało kształt grota strzałki. Ta strzałka była kursorem wskazującym litery.

Opuszki palców należało położyć na talerzyku delikatnie, nie dociskając go, bo duchy nie są kulturystami. Nasze dłonie miały się ze sobą stykać, a łokcie nie mogły się opierać o stół. Po kwadransie nawoływania: „Duchu, duchu przyjdź, a jak przyjdiesz, to się porusz”, zdrętwiały mi ręce. Zabawa, w której nic się nie dzieje, przestawała mi się podobać. Zacząłem sobie pokpiwać, że duchy jeszcze śpią, albo że w stole jest gwóźdź i duch się skupia na żelazie, zamiast na talerzyku.

– Łowiłeś kiedyś ryby? – spytała twoja mama, robiąc przerwę, abym mógł się odprężyć.

– Oczywiście, uwielbiałem to – i opowiedziałem historię taakiego szczupaka.

– Zawsze coś złapałeś?

– No, nie zawsze...

– Z duchami jest jak z rybami, nigdy nic nie wiadomo. Spróbujmy jeszcze raz – zaproponowała.

– Duchu, duchu przyjdź, a jak przyjdiesz, to się porusz... – szeptaaliśmy razem. Patrzyłem na talerzyk jak na sławik. Wyteżałem wzrok, jakbym łapał płotki i czekał na najmniejsze drgnięcie wędki. Przez następny kwadrans nic się nie stało, tylko ręce nam zdrętwiały.

– Ty to chyba wierzysz w duchy – powiedziałem, rozcierając obolałe nadgarstki.

– A ty to nie?

– Jak na razie to nie...

– To za chwilę uwierzysz – obiecała.

Przy trzecim podejściu talerzyk dość szybko zareagował na nasze wołanie: „Duchu, duchu przyjdź, a jak przyjdiesz, to się porusz”. Poruszył się, ale na nasze pytania udzielał tak niezro-

zumiałych odpowiedzi, że twoja mama szybko podziękowała mu za współpracę. Coś się zaczęło wreszcie dziać!

– Duchu Platona, przyjdź, a jak przyjdiesz, to się porusz...  
– gardłowo zawołała twoja mama.

O, ten był chętny do rozmowy. Udzielał logicznych odpowiedzi, ale ja dalej nie wierzyłem, że to on porusza talerzykiem. Jako następnego, postanowiliśmy wezwać kogoś nieznanego.

– Duchu nieznanego mędrca, przyjdź, a jak przyjdiesz, to się porusz...

Talerzyk zaczął się poruszać. Zażądałem dowodu istnienia ducha.

D O B R Z E – pokazał talerzyk.

– Zrób coś prostego na początek, na przykład zgaś świeczkę – zaproponowałem.

N I E

– Czemu nie chcesz nawet zgasić świeczki?

B O T O Z A L A T W E

– Jak chcesz nas przekonać o swoim istnieniu?

P R Z Y J D E D O W A S

– Super! Kiedy? – strach mnie obleciał, ale trzymałem fason.

Z A 5 M I N

– OK, niech będzie, poczekamy – zgodziliśmy się łaskawie, zerkając na budzik stojący na półce. Była dwudziesta trzecia czterdzieści... – Czekamy pięć minut, ręce nam mdleją, talerzyka nie można puścić, łokci nie wolno oprzeć, a tu nic.

– Duchu, co z tobą? Miałaś przyjść.

Z A 3 M I N

– Obiecywałeś za pięć minut...

T O B Y L Y 2 M I N

– Czemu twierdzisz, że dwie minuty? Mamy zegar przed sobą i cały czas patrzemy.

M O J C Z A S P L Y N I E I N A C Z E J – przeczytaliśmy w odpowiedzi. Ciarki nas przeszły, dostaliśmy gęsiej skórki.

No dobra, czekamy dalej. Patrzymy na budzik, ale im bliżej dwunastej, tym mniej mam chęci na żarty. – Zniżył głos i mówił coraz wolniej: – Mija północ. Zerkam na drzwi i widzę, że zapomnieliśmy ich zamknąć. Każdy może wejść, nawet duch. Pomyślałem, że umarłbym ze strachu, gdyby teraz ktoś wszedł...

I w tym momencie... Rozlega się pukanie... Drzwi otwierają się... i... ukazuje się w nich głowa...

Drzwi od sali chorych otworzyły się. Sanitariusz wystawił głowę na korytarz i powiedział:

– Możecie wejść, ale tylko na chwilę. Pacjentka jest bardzo zmęczona.

Wstał natychmiast, ale córka nadal siedziała na krześle.

– No chodź, co z tobą.

– Już idę. Przez ciebie, zwariowany tatusiu, o mało mi serce nie wyskoczyło, gdy pielęgniarz uchylił drzwi.

Weszli do sali. Mama leżała przy oknie, podłączona do kroplówek, tlenu, aparatury kontrolnej, nawet pod łóżkiem zwiślały rurki i woreczki, jakby jej ciało było tylko drobnym elementem jakiejś ogromnej maszyny.

– Cześć! Wyglądasz z tą siecią przewodów jak pająk, który złapał ofiarę – powiedział na powitanie.

Chora uśmiechnęła się krzywo.

– O, nawet humor ci dopisuje. Myślałem, że z tobą kiepsko i dlatego jestem bez kwiatów, ale widzę cię kwitnącą. Nic tu po mnie. Poproszę, żeby Ida jutro przyniosła ci ode mnie jakieś zielsko. Co wolisz, kaktusy czy paprocie? Zostawię was same. Za długo dzisiaj nie plotkujcie. Do zobaczenia.

Pomachał dłonią i wyszedł na korytarz. Usiadł na krześle, naprzeciwko kopii *Trwałość pamięci* Salvadore'a Dali. Wpatrując się w sflaczały zegar na obrazie, przypomniał sobie inny szpital obwieszony reprodukcjami surrealistów.

– Mama ma dostać środek nasenny. Posiedźmy jeszcze chwilę. Jeszcze raz chcę na nią popatrzeć, jak zaśnie – rzekła Ida, siadając na krześle obok niego.

– Dobrze – zgodził się jak pielgrzym, któremu się nie spieszy.

– Tato, o mało nie dostałam zawału. Przez ułamek sekundy myślałam, że zobaczę ducha wychodzącego z sali. Powiedz, proszę, w jaki sposób udało ci się zsynchronizować twoje opowiadanie z otwarciem drzwi?

– Zapewne był to przypadek...

– Nie wierzę w przypadki w twoich opowiadaniach. Skąd wiedziałeś, kiedy pielęgniarz otworzy drzwi?

– Najpierw dostrzegłem jego aurę, przeniknęła przez drzwi... – wyszeptał tonem nawiedzonego psychopaty.

– Tato, jeśli nie chcesz, to nie mów, ale nie rób ze mnie idiotki... – obraziła się.

– No dobrze, powiem ci, ale przestań się już złościć. Obserwowałem smugę światła pod drzwiami. Zanim sanitariusz podszedł do drzwi, dostrzegłem cień pośrodku smugi...

## Kaseta

– Ale ty jesteś sprytny – stwierdziła z zachwytem dziecka przyglądającego się prostej sztuczce jarmarcznego iluzjonisty.

– Czy twoje opowiadanie też jest naciągane?

– Nie. Nie wiem, kto wtedy zsynchronizował otwarcie drzwi z wywoływaniem duchów, ale efekt był piorunujący.

– Co wy? Duchy wywołujecie po nocy, zamiast się kochać? – zapytała głowa właściciela, wciśnięta w uchylone drzwi. – Skoro nie śpicie, to może ze mną pogadacie. Maria poszła spać i nie mam się z kim napić. Można do was?

– Zapraszamy! – radośnie zawołała twoja mama, jakby spodziewała się tego gościa.

Stałem jak wryty.

– Flaszeczkę mam, zagrycha jest, jeno do lustra nie nawykłem pić. No co tak stoisz, jakbyś ducha zobaczył? Daj jakieś szkło, bo talerz widzę. – Wszedł do środka i podał mi blachę z sernikiem. Postawił na stole litrową butelkę whisky i usiadł na wolnym krześle. Poszedłem do kuchni, pokroiłem sernik na kawałki w kształcie rombów szerokich na dwa palce i ułożyłem je na talerzu. Za drugim razem, idąc po lód i szklaneczki, potknąłem się o plecak. Schyliłem się, wyjąłem dyktafon i kładąc go na półce, włączyłem nagrywanie.

– W wasze ręce, smarkacze! Obyście czasami wyszli z chałupy i popatrzyli z gór na doliny, a nie tylko powałę oglądali. – Wychylił do dna, a ja za nim, bo bardzo potrzebowałem lekarstwa na serce, które z wrażenia o mało mi nie wyskoczyło z piersi.

– Często się wam trafiają tacy niespodziewani wędrowcy? – spytała mama.

– W tym roku to już chyba ze sto osób pytało, czy nie mamy czegoś do wynajęcia. Ale jakoś nikt nie przypadł nam do

gustu. Trzymam ten pokój dla córki, żeby nie czuła się skrepowania, kiedy do nas przyjedzie. Nie wynajmujemy go obcym.

– To czemu zdecydował się pan nam go udostępnić?

– Jak tylko cię zobaczyłem, śliczna panienko... Chyba mogę się tak do ciebie zwracać, bo wnioskuję, że wy jeszcze przysięgi sobie nie składaliście. Gdy popatrzyłem na ciebie, to pomyślałem, że wyglądasz, śliczna panienko, jak Matka Boska szukająca noclegu. Postanowiłem uratować chrześcijaństwo. Kolejna religia wcale nie musiałaby być lepsza. Dlatego powiedziałem Marii, żeby was zatrzymała na jedną noc. Ona już wcześniej swoim kobiecym instynktem przeczuła gości. To jest jej dom. Wszystko, co miałem, jeszcze za życia przepisałem na Marię. Nic nie posiadam na stare lata, ale teraz mam wszystko, czego całe życie nie miałem.

– Wypijmy zdrowie Marii – odezwałem się wreszcie.

– Mało mówisz, gówniarzu, ale jak się odezwiesz, to coś mądrego z ciebie wychodzi. Zdrowie Marii! – powtórzył toast i znów wychyliliśmy do dna.

– Czemu zmieniliście zdanie i pozwoliliście nam zostać dłużej? – spytałem.

– Maria chciała. Śliczna panienka jej się spodobała, bo zapytała o krzak róży zasadzony pod latarnią i ani słowem nie wspomniała w czasie rozmowy o cenie pokoju. Nawet nie próbowała się tego dowiedzieć. Maria zaprosiła was na śniadanie, aby was lepiej poznać. I co zobaczyła? Dwójkę gołodupców o czystych sercach. Ona zna się na ludziach, bo mocno dostała po tyłku i więcej ją życie nauczyło przez dwadzieścia pięć lat niż mnie przez pół wieku.

– A kim Maria jest z zawodu? – zainteresowałem się.

– Gospodynią domową, wścibski gówniarzu! – odpowiedział ze złością.

– Nie musi się pan tak unosić. Jeżeli pan nie chce, to niech pan nie mówi. Ona tak pięknie opowiadała o Szekspirze... Pomyślałem, że pewnie jest profesorem anglistyki albo poetką.

Przecież to żaden wstyd być poetą – próbowałem załagodzić sytuację, nie pojmując jego irytacji.

– Jak jeszcze raz stwierdzę, gówniarzu, że chcesz obrazić Marię, to bez ostrzeżenia dam ci w pysk – powiedział zaczepnie, jakby chciał wszcząć pijacką bójkę. – Wypijmy jej zdrowie. Najwspanialszego anioła, jakiego spotkałem w życiu. Pijesz smarkaczu? – Wypiliśmy we dwójkę. Twoja mama nie tknęła kieliszka, patrząc na gospodarza jak kobra szykująca się do ataku.

– A ty, śliczna panienko, nie wypijesz zdrowia Marii?

– Nie! Nie będę z tobą piła, bo przyszedłeś tu, żeby się z nas naigrawać, a nie rozmawiać z nami – twoja mama rozmawiała z nim jak z równym sobie, zwracała się do niego na „ty”, mimo że mógłby być jej dziadkiem, nie tylko ojcem. – Masz prawo nas stąd w każdej chwili wyrzucić, ale nie masz prawa obrażać mojego chłopaka, nazywać go gówniarzem i podejrzewać, że chciał urazić Marię. On traktuje twoją żonę jak poetkę. Zachwyca się jej wiedzą, jakby była uczennicą Szekspira. On nie ma zielonego pojęcia, że Maria była kiedyś prostytutką. A nawet gdy się o tym dowie, to nadal będzie ją podziwiał, bo on patrzy sercem. Jasne?

Te słowa sparaliżowały go bardziej, niż mnie wystraszyło pojawienie się ducha.

– Życzysz sobie, abyśmy się teraz wynieśli? Zrobimy to natychmiast. W trzy minuty znikniemy z twojego życia. Czy rzeczywiście tego chcesz? Po to tu przyszedłeś? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz! – mówiła twoja mama.

Serce waliło mi, jakbym stał przed całą drużyną duchów. Oczami wyobraźni widziałem, jak pakujemy się w pośpiechu i wnosimy z tego domu.

Siedział zupełnie zdezorientowany, pocierając dłonią czoło. Złota Doxa na nadgarstku błyszczała w blasku świec, jakby nie była zegarkiem, lecz trzecim okiem upiora, umieszczonym na czole. Nalał sobie podwójną porcję alkoholu i wychylił do dna.

– Przepraszam cię, młody człowieku, za ten epitet. Przepraszam cię, śliczna panienko, że twojego mężczyznę nazwałem gówniarzem. Przepraszam was oboje, że przyszedłem do was, żeby zabawić się waszym kosztem. Przepraszam, że was nie doceniłem. Przepraszam Marię, że zwątpiłem w jej intuicję. Czy teraz, śliczna panienko, przyjmiesz moje przeprosiny?

– Tak, teraz tak. Teraz jesteś szczerzy i prawdziwy. Prosimy cię serdecznie, zostań z nami i opowiedz nam o sobie i o Marii, a my z radością zostaniemy jeszcze kilka dni pod waszym dachem. Wypijmy zdrowie Marii, najwspanialszej kobiety, jaką znamy.

Wypiliśmy do dna, zagryzając ciastem. Sernik okazał się ósmym cudem świata. Tak wspaniałego nigdy nie jadłem. Miał idealny smak i zapach i rozpląwał się w ustach, jakby zrobiono go z mgiełki, a nie z sera.

– Jak się domyśliłaś, śliczna panienko, że Maria była prostytutką? Powiedz, proszę... – pytał zaintrygowany.

– Też byłem w domu dziecka i też byłem gotowa zrobić wszystko... Rozumiesz, co znaczy „zrobić wszystko”, aby mieć własny krzak róży? Wystarczy wyjaśnień? Mam kochającego chłopaka. Niepotrzebny mi dziś krzak. Rozumiesz? A po drugie, to ty zareagowałaś nerwowo na pytanie o zawód Marii i w ten sposób potwierdziłaś moje przypuszczenia. A teraz, gdy już wszystko sobie wyjaśniliśmy, opowiedz nam tę historię, której nikomu jeszcze nie opowiadałaś.

Nasz duch wciąż siedział jak sparaliżowany i nie wiedział, co począć.

– Rozumiem – odpowiedział jak zahipnotyzowany. – Obchodziłem wtedy pięćdziesiąte urodziny... – rozpoczął. – Miałem szmal, miałem pozycję społeczną, miałem dom nad morzem, miałem jacht, miałem sportowy samochód, ale nie miałem miłości. Przyzwyczyłem się do samotnego życia i myślałem, że już tak zostanie do końca. Ta, którą kochałem nad życie, odeszła wiele lat wcześniej i do dziś nie wiem, czemu tak po-

stąpiła. Ona też chyba tego nie wie. Pracowałem, żeby zapomnieć i przygotować swojej córce start w życie. Miałem fascynującą, ale bardzo niebezpieczną robotę, która wiązała się z nieustannym napięciem. Koledzy bez mrugnięcia okiem byli gotowi oddać za mnie życie, a ja za nich. Nigdy nie brakowało forsy, alkoholu i dziewczyn. Nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że życie można zakończyć inaczej niż podczas akcji lub z prostytutką w łóżku. Po badaniach okresowych okazało się, że żyłem zbyt intensywnie i serce nie wytrzymało... Dostałem rentę inwalidzką. Nie widziałem już sensu w życiu. Nie planowałem przyszłości.

W urodziny poszedłem do burdelu. Stańto przede mną chyba z siedem prostytutek. Nie wiedziałem, którą wybrać. Jedną z nich się uśmiechnęła. Wybrałem ją.

– Jesteś tu pierwszy raz? – spytała, gdy wszedłem do jej pokoju. Przytaknąłem.

– Pewnie masz urodziny – domyśliła się.

– Tak, pięćdziesiąte – wyznałem.

– Chcę ci dać prezent, którego nigdy nie zapomnisz. – Zauważyła moje skrepowanie. – Wejdz jeszcze raz. Ale zanim znów wejdziesz, zostaw za drzwiami swoje smutki.

– Zrobiłem tak, jak sobie życzyła. Wszedłem i wszedłem jeszcze raz. Pocałowała mnie w usta, mówiąc: „Pomyśl o najpiękniejszym momencie w swoim życiu i kochaj się ze mną tak, jakbym ja była tamtą kobietą...”. Wypijmy jej zdrowie! – Zgodnie wychyliliśmy kieliszki i jak na komendę wszyscy troje sięgnęliśmy po sernik.

– Codziennie wracałem do tego burdelu i płaciłem za całą noc. Zabierałem Carmen, bo taki miała pseudonim, do teatru, na spacer albo na dancing. Późno w nocy odwoziłem ją pod dom. Nie tknąłem jej ponad dwa miesiące. Nie zastanawiałem się, co będzie dalej. Po prostu chciałem spotkać ją następnego dnia. Tak mijał dzień za dniem. Moje uczucie narastało, już nie potrafiłem tego przed nią ukryć...

Nie współżyliśmy ze sobą aż do dnia, gdy ona poprosiła mnie o rękę. To ona namówiła mnie na ślub. Ona chciała być ze mną. Nie przeszkadzało mi, że była prostytutką. To było bez znaczenia, bo przestałem oceniać wartość kobiet na podstawie ich podejścia do seksu. Maria jest ode mnie dwadzieścia lat młodsza. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś może mnie pokochać, bo sam już nie kochałem siebie.

Oboje wiemy, że ja umrę pierwszy, i to niedługo. Nie chciałem, żeby cierpiała po mojej śmierci. Nie chciałem jej marnować życia. Bardzo długo nie godziłem się na to małżeństwo. Lekarze nie obiecywali mi długiej starości. W końcu Maria wmówiła mi, że dla niej więcej jest warte kilka lat ze mną i bycie wdową niż samotne życie. Uwierzyłem jej. Teraz codziennie myślę o tym, co stanie się z Marią, gdy ja odejdę. Jak sobie ułoży życie? Zza grobu nie będę już miał wpływu na jej los. Nawet nie zdołam jej pocieszyć.

Sprzedalem dom nad morzem.

Przyjechaliśmy tu, gdzie nikt nas nie zna.

Dzięki niej dowiedziałem się, co to jest miłość.

Polubiłem siebie.

Maria często mi mówiła, że kiedy się idzie na grzyby z przekonaniem, że nie umie się ich zbierać, albo kiedy uczy się angielskiego, nie wierząc we własne zdolności do języków, to wraca się z pustym koszykiem i pustą głową.

Marii zawdzięczam moje najpełniejsze lata. Kiedyś nie dostrzegałem cudów, a dziś spotykam je co krok.

Marii zawdzięczam cud cieszenia się każdą chwilą otrzymaną w prezencie od życia, każdą radością, a nawet każdym smutkiem. Można przejść przez życie i nie zauważyć ani jednego cudu, jeśli się nie wierzy, że wyrastają one jak grzyby po deszczu...

– Albo pachną jak ten sernik... – dodałem rezolutnie i natychmiast ugryzłem się w język.

– A ty, śliczna panienko, nie bój się miłości pod żadną postacią i w żadnej formie. Ona jest największym cudem pośród najcudacznějších cudeniek. Wypijmy za wzrok pozwalający dostrzec cuda i cudeńka.

Wychyliliśmy kolejkę. W tym momencie sernik też skojarzył mi się z cudem. To był cud, a nie sernik!

– W miesiąc po zakupieniu tego domu Maria opowiedziała mi o krzaku róży, który rósł pod oknem sierocińca. Kiedy zasnęła, pojechałem tam i wykopałem go. Wróciłem przed świtem i zasadziłem go pod latarnią. Dostrzegłem cud, widząc łzy w jej oczach. Dwa dni prawie nie odchodziła od okna. Krzak przyjął się i rozrósł, jak wymarzony w dzieciństwie symbol szczęścia. Kilka dni później wysłałem na konto sierocińca przekaz pieniężny z dopiskiem: „Przeniosłam się do tej, która o mnie marzyła – Róża”. Za te pieniądze mogli sobie kupić tuzin takich krzaków.

Usłyszałem pisk dyktafonu. Kasetą się skończyła. Wstałem. Podszedłem do półki, przełożyłem kasetę na drugą stronę, a dla niepoznaki wróciłem z kolejną świeczką.

– Mówiłeś, że trzymasz ten pokój dla córki. Kiedy tu była ostatnio? – zainteresowała się twoja mama.

– Skąd ty wiesz, śliczna panienko, o co zapytać? Powinnaś zostać oficerem śledczym albo psychoterapeutką... Moja córka jest kilka lat od ciebie starsza. I bardzo wykształcona. Pisze doktorat z filozofii. Jest wspaniałą kobietą. Kiedy idzie po ulicy, to nigdy nie idzie sama. Trzy minuty przed nią idzie jej biust, a towarzyszy mu tłum potykających się facetów i pisk opon zderzających się samochodów. Przez wiele lat byliśmy z córką jak rodzeństwo, albo nawet jak bliźniaki. Wszystko mi o sobie opowiadała. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Wszędzie chodziliśmy razem, nawet na dyskoteki. W końcu poznała chłopaka i zakochała się, ale dalej byliśmy razem. Kochała swojego chłopaka i mnie. Każdego inaczej.

Przestałem istnieć dla mojej córki, kiedy zakochałem się w Marii. Nigdy tu nie była. Maria co tydzień sprząta ten pokój, mimo że tak samo jak ja wie, że nigdy jej nie zobaczymy. Ona nie potrafiła się pogodzić z moim wyborem i moim prawem do kochania innej kobiety. Początkowo bardzo mnie to bolało. Potrzebowałem lat, żeby zaakceptować jej prawo do własnych emocji, własnego widzenia świata i własnych przekonań.

Dzieci są tylko epizodem w życiu człowieka. Po to im dajemy życie, żeby kiedyś żyły swoim życiem. Bo one nie są przedłużeniem naszego istnienia czy powodem do dumy tylko dlatego, że niechcący spartaczyliśmy własne życie. Kochać to znaczy także pozwolić odejść. Miłość nie jest dożywotnim prawem dzierżawy i być może dlatego jest tak cenna.

Ty, młody człowieku, zapewne kochasz swoją matkę, a ona ciebie. Ale dorosłość to konieczność dokonywania wyborów. Jednym z kilku momentów przemiany chłopaka w mężczyznę jest ten moment, kiedy musi on wybierać między matką a kobietą, z którą sypia. Tylko opowiadając się po stronie dziewczyny, może stać się dojrzały. Matce należy być szacunek, a żonie miłość. Twoje pytanie: „Kim Maria jest z zawodu?” dlatego tak mnie wkurzyło, bo już wcześniej słyszałem je od mojej matki. Zadała je, by ośmieszyć Marię.

Wypijmy za moją matkę. Ona, chcąc z Marii zrobić dziwkę, zmusiła mnie do dokonania wyboru. Dopiero tamtego dnia, kiedy skończyłem pięćdziesiąt lat, stałem się mężczyzną... – zajęty sernikiem, nie zastanawiałem się nad sensem toastu. – Zaraz przytulę się do Marii, wdzięczny losowi, że pozwolił mi na takie szczęście pod koniec życia. Nie będę mu robił wymówek, że mógł to zrobić wcześniej. No bo niby jak. Gdy miałem dwadzieścia lat, Maria ssała jeszcze smoczek. Gdy moja ekszona poszła w siną dal, Maria dopiero uczyła się pisać „Ala ma kota”. Gdy miałem trzydzieści pięć lat, prokurator wsadziłyb mnie za uwodzenie nieletnich...

Młody człowieku, nie zastanawiaj się ani chwili dłużej. Poproś śliczną panienkę o rękę. W tajemnicy ci powiem, ona tego chce! Nie bądź takim dupkiem jak ja i nie czekaj, aż ona sama ci się oświadczy. A ty, śliczna panienko, podziwiaj swojego faceta za to, kim jest. Tylko w ten sposób stworzysz z niego mężczyznę. On bardziej od twojej cipki potrzebuje twojego zachwyty. Jeśli nie będziesz go podziwiać, zaczniesz nim pogardzać, a on z najwspanialszego faceta stanie się jednym z milionów dupków depczących tę planetę.

Kochajcie i mówcie o tym, nie licząc na to, że jutro jeszcze raz będziecie mogli to wyznać. Żyćcie dziś dla siebie, a nie dla wspomnień, zdjęć w albumach czy kartek pocztowych wysyłanych z wysp Hula-Gula.

– Co jeszcze jest konieczne, żeby chłopak dorósł i stał się facetem? – zainteresowała się twoja mama.

– Żydzi mówili, że mężczyzna musi zbudować dom, posadzić drzewo i napisać książkę.

– Co znaczyły te trzy symbole?

– Mądre zadajesz pytania, śliczna panienko. Pojęłaś w lot, że to są tylko symbole. Dom jest symbolem intymności i odpowiedzialności. Aby być mężczyzną, trzeba wziąć całkowitą odpowiedzialność za swój los. Jeśli chłopak będzie utrzymywał swoją rodzinę z pieniędzy tatusia albo z zapomogi socjalnej, to nigdy nie będzie miał szansy stać się mężczyzną. Tylko świadomość, że jeśli ON nie zarobi, to jego rodzina umrze z głodu, że to ON jest odpowiedzialny za jej los, da mu szansę stania się mężczyzną.

– Czy tak samo było z tobą? Kiedy poczułeś się odpowiedzialny za Marię?

– Maria, aby się wykupić z „zawodu”, oddała wszystkie zaoszczędzone pieniądze swojemu „opiekunowi”. Została bez grosza, zdając się na mnie.

– A co z tą intymnością domu? Czy tu chodzi o seks?

– Intymność to rozgraniczenie świata ścianami. Zaczyna istnieć coś wewnątrz, co jest wyłączną własnością rodziny, i coś cudzego, na zewnątrz. Wszelkie próby tworzenia wspólnot i komun spowodowały jedynie niedorozwój osobowości u face-tów wierzących w taką ideę wspólnoty.

Posadzić drzewo to symbol posiadania potomka i cierpli-wości. Tak jak potrzeba czasu, aby z sadzonki wyrosło drzewo, tak samo potrzeba czasu, aby z nasienia powstał dojrzały czło-wiek.

Napisać książkę to znaczy mieć coś do powiedzenia, mieć pasję nadającą życiu cel i sens. Siedzenie przed telewizorem z pilotem w dłoni i przełączanie kanałów nie jest pasją, ponie-waż nic nie tworząc, nie daje ani celu, ani nie wnosi sensu do życia. Picie alkoholu też nie jest pasją. I dlatego proponuję, że- byśmy wypili zdrowie Marii. Niech ma swoją pasję i potrafi cieszyć się życiem, gdy mnie zabraknie – wypiliśmy. Sięgnąłem po następny kawałek sernika. Tym razem skubałem go, rozko- szując się każdą okruszynką.

– Czy zarabianie pieniędzy może być pasją? – spytałem, zlizując z łyżeczki resztki sernika.

– Nie. Gromadzenie pieniędzy dla samego posiadania ma- jątku nigdy nie da szczęścia.

– A więc należy stać się zebrakiem, żeby być szczęśliwym? – spytałem przekornie.

– Młody człowieku, mówimy o dwóch różnych rzeczach. Jeśli chcesz kupić samolot, to pewnie będziesz musiał nazbierać dużo pieniędzy, ale twoim celem nadal pozostanie samolot. Jeśli natomiast będziesz pracował tylko po to, żeby mieć gruby portfel, a twoim celem stanie się jeszcze zasobniejsze konto w banku, to nigdy się nie dowiesz, co to jest szczęście. Nie licz pieniędzy, one nie są po to, żeby je gromadzić. Zbierane stają się tylko liczbą na koncie nieposiadającą żadnej wartości. Pie- niądze mają wartość tylko wtedy, gdy się je wydaje.

Jedyne, co ma nieprzemijającą wartość w życiu, to czas. Jeśli dajesz komuś swój czas, to dajesz mu część swojego życia, część siebie. Dowiesz się o tym, kiedy będziesz miał syna. Jeśli nawet dasz mu największą sumę pieniędzy, kupisz jacht i Ferrari, to i tak będziesz dla niego nikim, skoro brakuje ci czasu, żeby łączyć z nim ryby, grać w piłkę i rozmawiać.

Jeśli swojej dziewczynie dasz milion dolarów, ale nie znajdziesz czasu na wycieczkę w góry, to nigdy cię nie pokocha.

Jeśli swojej żonie będziesz dawał futra, brylanty i samochody, a nie siebie, to będzie tobą gardzić. Jak wiadomo, miłości nie da się kupić. Gdybym dawał Marii pieniądze, by nie musiała pracować jako prostytutka, ale nie spędzał z nią wieczorów, to może i byłaby zadowolona, lecz pogardzałaby mną.

Kobiety albo kochają, albo pogardzają – gdy zaczynają pogardzać, przestają kochać.

Dziewczyna staje się kobietą w momencie defloracji, a dojrzewa psychicznie, rodząc dziecko i karmiąc je.

Samcowi natura nie dała ani błony dziewiczej, ani ciąży. On ma szansę osiągnąć dojrzałość emocjonalną tylko w związku z kobietą. Nic mu nie pomogą tytuły naukowe, fakultety, książki, szkolenia i seminaria. Jeśli facet nie żył z kobietą, prawdziwą kobietą, pozostanie chłopcem.

– Czy kobieta może pomóc chłopakowi, aby dorósł i stał się mężczyzną?

– Oczywiście.

– A co ma robić? – spytała twoja mama.

– Postępować jak z psem.

– To znaczy jak?

– Dać pełną michę, bawić się z nim, patrzeć mu w oczy i mówić, jaki on mądry, gładzić po głowie, cieszyć się na jego widok, nauczyć go chodzić przy nodze, aportować, a najważniejsze: dać mu poczucie, że zawsze potrafi ją obronić. Czasami trzeba go spuścić ze smyczy, niech sobie pohasa i nacieszy się wolnością. Gdyby „matki Polki” właśnie tak postępowały ze

swoimi mężami, zamiast powtarzać jak litanie: „on jest dorosły i sam powinien wiedzieć”, to liczba rozwodów zmalałaby pewnie o dziewięćdziesiąt procent. No, kochani, koniec wykładu, zdrowie Marii!

Wypiliśmy szczerze jej zdrowie, bo przecież Maria upiekła to niezwykle zjawisko kulinarne.

– Już sobie pohasałem, poczułem wolność i wracam do budy, aby od rana merdać ogonem ze szczęścia na widok swojej pani. Dziękuję wam serdecznie. Znów się czegoś nauczyłem.

– Czego? – spytałem zaskoczony.

– Tego, że mój wiek nie upoważnia mnie do traktowania kogokolwiek z góry, bez względu na to, jak ten ktoś smarkato wygląda.

– Dziękujemy za przemiły wieczór – odpowiedzieliśmy chórem. – I proszę od nas podziękować Marii za wspaniałą sernik – dodałem, wręczając mu pustą blaszkę.

Skinął głową na pożegnanie i zamknął drzwi. A ja wyłączyłem dyktafon.

– Masz nagraną całość? – zapytała twoja mama. – Zorientowałam się, że nagrywasz dopiero wtedy, gdy dyktafon zapiszczał.

– Tak, mam całą rozmowę, od chwili kiedy wnieśliśmy kiełiszki.

– Chyba będziemy tego słuchać, i to nie raz. Ale nie dziś. Chodź spać.

– Za chwilę, tylko przykryję te dwa kawałki sernika, żeby nie wyschły do rana, i zdmuchnę świeczkę. No i jak tu nie wierzyć w duchy? – spytałem retorycznie, delikatnie opatulając sernik serwetką.

Na śniadanie zjedliśmy świeże bułeczki, które przyniosłem ze sklepu, a resztkę sernika wzięliśmy ze sobą w góry.

## Prześcieradło

– Fascynująca przygoda, ale wciąż nie opowiedziałeś mi o waszym „pierwszym razie” – zauważyła córka.

– Właściwie to wiesz już wszystko. Pozostało mi tylko postawić kropkę nad i. A więc cały następny dzień, aż do zachodu słońca, spędziliśmy w górach. Gdy wracaliśmy, już robiło się ciemno.

Wykapaliśmy się razem i poszliśmy do łóżka.

Leżeliśmy nago, tuląc się do siebie.

Twoja mama powiedziała „chcę”.

Wstałem.

Wyjąłem z szafy czyste prześcieradło. Mama też wstała, w przekonaniu, że chcę na tę uroczystą chwilę naszej inicjacji prześcielić łóżko.

Wziąłem ją za rękę i nadzy wyszliśmy z domku. Była gorąca bezksiężycowa noc. Niebo iskrzyło się gwiazdami jak brylantami. Poszliśmy na środek łąki, na której zamierzaliśmy nocować pierwszego dnia, gdy szukaliśmy noclegu. Uklękaliśmy na trawie jak do modlitwy. Polana stała się kościołem z kopułą z gwiazd i ołtarzem z gór.

Czuliśmy się częścią wszechświata.

Mamy prawo tu być i decydować o własnym życiu.

Razem rozłożyliśmy prześcieradło na trawie...

Z chłopaka i dziewczyny przeistoczyliśmy się w mężczyznę i kobietę.

*Wiedeń, 7 października 2003 r.*

# Rewers

## **Do księdza Bronisława Bozowskiego**

Można kochać i chodzić samemu po ciemku  
Z przyjaźnią jest inaczej - ta zawsze wzajemna

księżu Bozowski patronie przyjaźni  
z nosem swym i uśmiechem ukryłeś się w niebie  
ktoś dzwoni długo stuka  
znów pyta o ciebie

*ks. Jan Twardowski*



## Placebo

– Tato... – po długim milczeniu Ida odezwała się pierwsza.

– Słucham.

– Czy mama już wtedy malowała obrazy?

– Nie. Malować zaczęła dopiero po tygodniu pobytu w klinice.

– Na co była chora?

– Chodź, zobaczmy, jak się czuje.

Wstał. Powoli otworzył drzwi, jakby to był pokój dziecięcy, a nie sala szpitalna. Weszła tuż za nim. Przy łóżku pogrążonej we śnie chorej siedziała pielęgniarka i czytała książkę. Dała im znak, aby podeszli bliżej.

– Możecie spokojnie jechać do domu. Stan chorej jest stabilny, puls i ciśnienie w normie. Ela dostała środki nasenne i będzie spała do rana – uśmiechnęła się do nich. – Po szczegółowe informacje zgłóście się jutro do chirurga, ale dopiero po porannym obchodzie.

– Nic tu po mnie – powiedział, zamykając drzwi. – Jeśli chcesz, podwiozę cię do domu i pojedę...

– O nie! Nic z tego! Nie pozwolę ci odjechać! Dziś dokończysz to, co zaczęłaś, i odpowiesz mi na wszystkie pytania – zarządziła Ida tonem nieznoszącym sprzeciwu. I nagle jakby się przelęknęła swojej stanowczości, bo dokończyła już żartem: – Niech ci się nie wydaje, młody człowieku, że i tym razem uda ci się tak bez słowa zniknąć niewiadomo na jak długo z mojego życia. Nie będziesz jechał po nocy siedemset kilometrów, dzisiaj nocujesz u mnie. Gdzie zostawiłeś samochód?

– W garażu podziemnym.

– To dobrze, że przyjechałam metrem. Będziesz mógł snuć swoje wspomnienia także w drodze do domu.

– Ale ja już nie mam co wspominać... – otwierając jej drzwi samochodu, próbował zdewaluować to, co nie zostało wypowiedziane. – Wiesz już prawie wszystko.

– Obydwoje wiemy, że o najważniejszym nawet się nie za-jąknąłeś.

– Co masz na myśli? – miał nadzieję, że zapyta go o jakiś drobiazg, który on wyjaśni w kilka minut.

– Od paru godzin opowiadasz mi o mojej mamie i ani razu nie wymieniłeś jej imienia, a nawet nie powiedziałeś o niej „moja żona”. Byłam wściekła, kiedy cię zobaczyłam w poczekalni. Uważałam, że nienawidzisz mamy i przyjechałeś tu tylko po to, żeby się napawać widokiem jej choroby. Myślałam, że chcesz zobaczyć, jak umiera, żeby zemścić się za to, co ci zrobiła. Nie zauważyłam, żebyś się naprawdę o nią martwił. Ale gdy nastąpił kryzys, zobaczyłam, że się modlisz o jej zdrowie. Ty, niewierzący, modliłeś się o nią! Potem myślałam, że chciałeś się z mamą spotkać i poprosić ją o wybaczenie czegoś, czego mogę się tylko domyślać. Ale po operacji tego nie zrobiłeś, mimo że była przytomna. Nie powiedziałeś nawet „przepraszam”, jakbyś niczemu nie był winny. A przecież dobrze wiem, że w twoim życiu oprócz mamy była też inna kobieta.

– Nie ukrywam, że w moim życiu było wiele kobiet...

– Mnie nie chodzi o lata po rozwodzie. Mówię o czasie waszego małżeństwa.

– Kogo masz na myśli?

– Kochałeś ją?

– Tak, kochałem twoją mamę, przecież nie ukrywałem tego...

– Ja chcę się dowiedzieć, dlaczego zdradzałeś mamę?

– Z kim? – zapytał, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Nie rób ze mnie kretynki. Miałaś kochankę. Niechcący nawet wymieniłeś jej imię. Mówię o Belli. Kochałeś ją tak samo jak mamę czy może bardziej?

– Tak. Chyba nawet bardziej – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

– Czy kobieta, z którą teraz jesteś, to Bella?

– Nie. Bella od dawna nie istnieje.

– Bella rozbiła wasze małżeństwo?

– Nie, wprost przeciwnie, scalała je – zaczął się śmiać.

– Tato, nie oszukuj mnie. Nigdy nie uważałam cię za świętego. Dziś chyba mogłabym ci uwierzyć. Wykorzystaj to i nie kłam, chcę znać prawdę!

– Nie zależy mi na tym, co sobie pomyślisz, i jakie masz o mnie zdanie. Ale proszę cię, nie zarzucaj mi kłamstwa tak długo, zanim nie będziesz pewna, że mnie na nim przyłapałaś – powiedział, skupiając się na prowadzeniu samochodu wśród popołudniowego szczytu – większość rzeczy, sytuacji i emocji wydaje się nam inna niż jest w rzeczywistości. Jako dzieci nauczyliśmy się dzielić zdarzenia, ludzi, uczucia, a nawet zwierzęta na dobre i złe. Dorastając, zaczynamy rozumieć, że nie ma ani bezwzględnego zła, ani całkiem czystego dobra. Nic na tym świecie nie jest idealne. To, co dla mnie jest dobre, dla ciebie może być szkodliwe albo wręcz zabójcze. Jeśli w swoim opowiadaniu zrobię z siebie niewinnego aniołka, to możesz zniechęcić swoją matkę.

Chciałem ci opowiedzieć jak najwięcej, ale nie wszystko, bo musi jeszcze pozostać miejsce na twój własny osąd. Teraz zrozumiałem, że niezależnie od tego, ile się dowiesz, ten pusty margines i tak będzie istniał – wiedział, że na przekonania nie ma lekarstwa, a milczenie jest jak placebo. Działając w sposób oczekiwany przez pacjenta, powoduje także skutki uboczne i uzależnia. Aby ułatwić córce nabranie dystansu do emocji rozbudzonych pytaniami o zdradę, wpadł na pewien pomysł pozwalający mu nieco zyskać na czasie.

– Niech będzie tak, jak ty chcesz. Opowiem ci całą prawdę. Odpowiem na każde twoje pytanie. Proszę tylko, żebyś się zdobyła na kilka minut cierpliwości. Nieprzespana noc zaczyna mi

się dawać we znaki. Pozwól mi najpierw się umyć. Przygotuj mi duży kubek mocnej kawy. Nie osądzaj i nie oskarżaj, dopóki nie usłyszysz mojej wersji historii małżeństwa z Elą – miejsce do zaparkowania samochodu znalazł tuż pod samym wejściem do domu.

– Dobrze, tato – wróciła do spokojnego tonu, otwierając drzwi do mieszkania. – Ale ja też mam do ciebie prośbę. Chcę, żebyś sobie nalał pełną wannę wody, poleżał w pianie i wypoczął, abym potem mogła bez ograniczeń męczyć cię pytaniami. Sporo ich uzbierałam przez ostatnie lata.

– Daj mi tylko ręcznik – poprosił zamyślony i bez słowa zamknął za sobą drzwi do łazienki. W czasie kąpieli postanowił przygotować następną część wspomnień.

Piana przypominała zapachem chmurki na letnim niebie, gdy leży się na łące i patrzy w górę, a myśli płyną wolniej od obłoków...

Obudził się zmarznięty, lecz rześki. Wytarł ciało frotowym ręcznikiem chłonącym wodę jak bibuła atramentowe kleksy. Włożył czyste slipy i skarpetki, które zawsze woził ze sobą w neseserze, tak samo jak szczoteczkę do zębów i paszport.

Umył wannę, by nie zostawić po sobie śladu.

## Sen

Ida pobiegła po zakupy do osiedlowego sklepiku. Wprowadzie jajka były tu niemal dwa razy droższe niż w supermarkecie, ale miały zupełnie inny smak, podobnie jak zawsze świeży ser, śmietana i masło, które właściciel sprowadzał „prosto od chłopca”.

Szybko zrobiła ciasto. Zanim wyszedł z łazienki, przelała je do brytfanki i wstawiła do nagrzanego piekarnika. Wrzątkiem zalała kawę.

– Jesteś głodny? – spytała, niosąc kubki z aromatycznym płynem i nucąc coś pod nosem. – Zjesz coś?

– Później, na razie marzę tylko o kawie.

– Czekam niecierpliwie na dalszy ciąg – najwyraźniej poprawił jej się humor. – Myślę, że w wannie przygotowałeś sobie następny rozdział swoich opowieści, przejdź więc od razu do rzeczy i daruj sobie niepotrzebne dygresje.

– Uwielbiam cię, jesteś znakomitą, chociaż bardzo wymagającą słuchaczką.

– Miało być bez dygresji – strofowała go wesoło, jakby był jej synem.

– OK, wracam do wspomnień. Pamiętasz, mówiłem ci, że na naszej wyspie nie było prądu? Mieliśmy ponad setkę świec, które paliliśmy przed pójściem spać. To był trzeci albo czwarty wieczór naszej wielkiej przygody. Ela leżała już w łóżku, a ja jeszcze coś robiłem przy stole. Za oknem hałasowały cykady. Co jakiś czas przerywaliśmy błogą ciszę, mówiąc coś do siebie. Światło świecy oświetlało twarz mojej ukochanej żony. Ślicznie wyglądała z zamkniętymi oczami. Przypominała śpiącego aniołka. Chciałem jej to powiedzieć.

– Śpisz? – zapytałem.

– Śpię – odpowiedziała Ela.

– Jak to? Śpisz i mówisz? Czy to jakaś nowa zabawa w „udaję, że śpię”? – zażartowałem.

– Nie, to nie jest zabawa, ja śpię – powtórzyła spokojnie.

– Nigdy nie słyszałem, aby ktoś tak przytomnie mówił przez sen.

– O wielu rzeczach jeszcze nie słyszałeś – stwierdziła filozoficznie.

– Potrafisz mówić przez sen?

– Tak. Już dwa razy o to pytałeś.

– Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo wcześniej ci nie ufałam.

– Co takiego się stało, że dziś nagle zaczęłaś mi ufać? – zdziwiłem się, bo nic szczególnego nie pamiętałem.

– Dzisiaj nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło. Ufam ci już od kilku miesięcy.

– To dlaczego dopiero dziś rozmawiasz ze mną przez sen?

– Wcześniej nie było ognia.

– Jakiego ognia? Moje serce płonie! – bawiłem się tą niezwykłą rozmową, traktując ją jako żart.

– Nie było płomienia. Abym mogła mówić przez sen, musi być światło świecy albo ognisko.

– Rozmawiamy ze sobą całymi dniami, a ty nawet nie wspomniałaś, że potrafisz mówić przez sen.

– Ela nie mogła cię o tym poinformować.

– Czemu?

– Ela nie wie o tym.

– Jak to nie wie?

– Po prostu... nie wie... – mówiła tak, jakby była zupełnie kimś innym.

– To ty nie jesteś Ela? – nie rozumiałem, o czym mówi.

– Nie jestem. Jedyne, co nas łączy, to wspólne ciało.

– To kim ty jesteś? – głos mi się załamał, bo wreszcie dotarła do mnie niezwykłość sytuacji.

– Drugą osobowością zamieszkującą to samo ciało – poczułem jak pot spływa mi po karku.

– Kim w takim razie jesteś?

– Kiedyś byłam kapłanką u bogini ogniska domowego.

– Kim?

– Opiekunką rodziny.

– Jak się nazywasz?

– Wtedy nie miałam własnego imienia. W starożytności zwali mnie tak jak moją boginię: Westa lub Hestia.

– A jak ja mam do ciebie mówić?

– Mów tak, jak ci się podoba.

– To nazwę cię Ela B – próbowałem jeszcze żartować.

– Nie podoba mi się taka numeracja. Nie chcę mieć numeru... – Wykrzywiła usta w podkówkę.

– A jak ty byś chciała mieć na imię?

– Nazwij mnie Bellą.

– Fascynujące! – chciałem się jakoś zdystansować do tego, co usłyszałem, obrócić to w żart, bo to, co usłyszałem, przekraczało moje zdolności rozumienia świata. – Ale się ucieszysz, gdy rano opowiem ci twój sen.

– To nie jest sen.

– A co to jest? Żart?

– To nie jest kawał.

– OK. Jeśli wolisz nazwać to zabawą, to niech będzie zabawa. Ale się jutro ubawimy!

– Nie rób tego – powiedziała stanowczo.

– Czego mam nie robić?

– Nie opowiadaj Eli o moim istnieniu.

– Czemu nie? To zabawne...

– Dla Eli to wcale nie byłoby zabawne... – jej twarz wykrzywił grymas strachu.

– Oczywiście, że będzie. Ja ją znam!

– Tylko tak ci się wydaje. Wcale jej nie znasz. Ty tylko sobie wyobrażasz, jaka ona jest...

– Przecież jestem jej mężem – użyłem kretyńskiego argumentu.

– Ty wiesz tylko tyle, ile ona ci powie. Ja jestem w niej i wiem o niej wszystko.

– Jutro powiem o tym Eli. Może potrzebne będzie jakieś leczenie – pomyślałem głośno, wierząc we wszystkowiedzących lekarzy.

– Jeśli opowiesz Eli o moim istnieniu, zrobisz jej krzywdę – jej strach narastał.

– Jaką?

– Dla niej to będzie zbyt wielki szok.

– A wiesz, jaki to jest szok dla mnie? Moja żona mówi przez sen, jakby była kimś innym!

– Wiem. Ale ona nie przeżyłaby tego.

– Co ty znów insynuujesz?

– A jak ty byś się poczuł, gdyby cię ktoś poinformował, że twoje ciało zamieszkuje jeszcze inna osobowość? Myśląca inaczej, czująca inaczej, i na dodatek wiedząca o tobie wszystko, podczas gdy ty o niej zupełnie nic nie wiesz?

– Chyba bym zwariował! – powoli zaczynałem rozumieć sytuację.

– Tak by się stało, gdybyś opowiedział o mnie Eli. To, co dla ciebie jest tylko szokiem, Elę mogłoby doprowadzić do pomieszania zmysłów.

– Czy ty wiesz, o czym mówisz?

– Wiem. Ela nie tylko uznałaby, że jest chora psychicznie, ale popełniłaby samobójstwo.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo ja mam dostęp do Eli.

– Co to znaczy?

– Wiem o niej wszystko bez wyjątku.

– Wiesz także, co Ela myśli, co czuje, co widzi?

– Tak. Mam pełny dostęp do jej zmysłów, emocji i pamięci. Natomiast mówić jej ustami mogę tylko, gdy śpi i kiedy w pobliżu pali się ogień.

– Ona zupełnie nic o tobie nie wie?

– Nawet nie podejrzewa, że istnieję.

– Ela jest karmicielką pasożyta?

– Masz prawo tak sądzić, jeśli tak ci jest łatwiej.

– A czy ty mogłabyś porozmawiać z Elą, gdybyś chciała?

– Nie mam aktywnego dostępu do tej części jej mózgu, która jest odpowiedzialna za świadomość. Gdy Ela jest przytomna, ja jestem tylko obserwatorką tego, co się dzieje: tego, co ona widzi, co słyszy, co myśli i co czuje.

– Nie potrafię uwierzyć w to, co mi mówisz...

– Nie musisz. Może lepiej zakończmy tę rozmowę?

– Pojawiasz się w najpiękniejszym momencie mojego życia, gdy jestem szczęśliwy z kobietą, która jest moją żoną i...

– I niszczy twoje tak pięknie utkane szczęście... – dokończyła.

– Skąd wiedziałaś, że właśnie to chciałem powiedzieć?

– Bo ja wiem więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

– To znaczy co?

– Wiem o tobie trzykrotnie więcej niż Ela.

– Przecież ona wie o mnie wszystko!

– Ela wie tylko to, co ty pozwalasz jej o tobie wiedzieć.

– Jesteś duchem? Znajdujesz się także we mnie?

– Nie! Ja nie jestem duchem! Ja istnieję! – prawie krzyczała, buntując się przed uznaniem jej za zjawę.

– Ale twierdzisz, że potrafisz czytać w moich myślach?  
– poczułem, że za chwilę szlag mnie trafi.

– Może ci się tak wydawać, ale tak nie jest.

– To dlaczego twierdzisz, że znasz mnie lepiej niż Ela?

– Potrafię dostrzec więcej faktów, zinterpretować je i wyciągnąć wnioski.

– Daj przykład czegoś, co ty wiesz, a nie wie o tym Ela.

- A nie będzie to dla ciebie zbyt dużym wstrząsem?
- No proszę, zadziw mnie czymś!
- Nie jesteś jeszcze wystarczająco zszokowany? – kpiła.
- Jestem, ale nie żałuj sobie, niewiele może mnie teraz zaszkodzić.
- Skoro nalegasz...
- Nalegam!
- Za chwilę pójdziesz zapalić papierosa.
- Już teraz chętnie bym zapalił, ale nie mam papierosów – kłamałem jak z nut. – Czy Ela ma gdzieś ukryte papierosy? Powiedz, gdzie!
- Oszukujesz! Mimo ustaleń, jakie robiliście z Elą przed wyjazdem, zabrałeś na wyspę co najmniej paczkę papierosów – powiedziała z uśmiechem, który był oznaką pewności.
- Skąd wiesz, że skłamałem? – spytałem bardziej zacieka-wiony niż wściekły, że odkryła moją tajemnicę.
- Kiedy wypowiadałeś słowa „nie mam”, zmienił ci się ton głosu i zrobiłeś mniejszy odstęp między tymi słowami.
- Ty słyszysz to, co jest niesłyszalne?
- To się nazywa postrzeganie podprogowe. Widzę i słyszę tylko to, co widzi Ela, ale potrafię kojarzyć fakty.
- Czy Ela wie o papierosach?
- Nie, ona się nie domyśla.
- Wiesz także, co ona myśli?
- Tak. O Eli wiem dużo więcej, niż ona wie o sobie.
- Skąd wiesz, że mam schowane papierosy? Nie mogłaś tego poczuć, bo jeszcze nie paliłem. Nie mogłaś ich zobaczyć, bo nawet ich nie wyciągnąłem. Skoro jesteś taka spostrzegawcza, to powiedz, gdzie jest ta paczka.
- Jedna z par frotowych skarpetek w rogu półki jest nieco większa od innych.
- Czy to znaczy, że nie byłbym w stanie cię okłamać?
- To mało prawdopodobne, aby ci się udało. Tylko gdybyś robił to nieświadomie, bo wtedy nie zadrzy ci głos.

– Za to ty możesz mnie oszukiwać ile dusza zapragnie? Ta zabawa przestaje mi się podobać.

– Ja cię nie mogę okłamać...

– Czemu nie?

– Nie potrafię. Niezależnie, jak bardzo bym chciała. Ja po prostu nie potrafię kłamać.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – dopiero to okazało się dla mnie prawdziwym szokiem.

– Dokładnie to, co usłyszałaś. Nie jestem w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa kłamstwa. Najwyżej mogę przemilczeć coś, czego nie chcę powiedzieć.

– Mam w to uwierzyć?

– Zrobisz, jak zechcesz.

– Mam mętlik w głowie i tysiące pytań.

– Pytaj.

– Powiedz mi, jak to jest być w cudzym ciele.

– Chyba podobnie musi się czuć sparaliżowany niemowa – odpowiedziała po chwili zastanowienia.

– Ela przecież mówi.

– Ona mówi za siebie. Ona mówi to, co ona myśli, a nie to, co ja chciałabym powiedzieć.

– Ty myślisz inaczej niż Ela?

– Zupełnie inaczej.

– Ela jest dla ciebie obcą osobą?

– Zamieszkujemy to samo ciało. Jestem od niej uzależniona.

– To było wymijające – zauważyłem, z zadowoleniem przyłapując ją na eufemistycznej odpowiedzi.

– Czasami wydaje mi się obca.

– Czy ty lubisz Elę?

– Niekiedy jest mi bardzo bliska. Wiem, co myśli, co czuje, jak bardzo cię kocha...

– Ale czy ją lubisz?

– W taki sposób jakby była moją młodszą siostrą. Nieraz wkurza mnie nieprzeciętnie. Kiedyś niepokoiłam się o nią.

– A teraz już się o nią nie martwisz?

– Odkąd poznała ciebie, jestem o nią dużo spokojniejsza.

– Czemu?

– Bo jesteś odpowiedzialnym, choć nieco zwariowanym chłopakiem. Potrafisz o nią zadbać, a więc jednocześnie dbasz też o mnie.

– Czy Ela mnie naprawdę kocha?

– Tak – i po sekundzie przerwy dodała: – Na swój sposób.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zrozumiałem, że coś przede mną ukrywa.

– Nic więcej nie chcę powiedzieć. To wasza sprawa.

– A jaki ty masz stosunek do mnie?

– Na dziś wystarczy pytań – rzekła stanowczo.

– Czy to znaczy, że jeszcze kiedyś będziesz ze mną rozmawiać?

– Zawsze, jeśli tylko zechcesz.

– Co mam wtedy zrobić, żeby porozmawiać?

– To samo, co dziś. Wystarczy zapalić świeczkę, kiedy Ela zaśnie i zawołać mnie.

– A więc nie jest to nasza ostatnia rozmowa?

– Nie. Chyba, że nie utrzymasz jej w tajemnicy i opowiesz o moim istnieniu, wtedy więcej się do ciebie nie odezwę.

– Nikomu?

– Nikomu, bez wyjątku!

– Chyba miałaś rację, muszę zapalić, bo rozum mi się lasuje.

– To idź, ale nie gaś świeczki. Zgasisz, kiedy wrócisz... Proszę...

Wydłubałem ze skarpet ukrytą paczkę papierosów. Poszedłem na brzeg morza oglądać niebo jaśniejące przed wschodem słońca. Wypaliłem jedną po drugiej ze cztery fajki, bezskutecznie próbując dojść do ładu z tym, co usłyszałem od śpiącej Eli.

Ale zamiast ładu poczułem jeszcze większy chaos. Wyobraziłem sobie, jak ja bym się czuł w roli drugiej osobowości zamieszkującej czyjś mózg. Jak sparaliżowany niemowa nie mogący nawet popełnić samobójstwa. Przeraziło mnie to, że we mnie także może być jakiś inny facet, o którego istnieniu nie mam pojęcia.

Czułem, jak mi czaszka pęka od myślenia.

Wróciłem do domku i zanim zgasilem świeczkę, pocałowałem swoją żonę w czoło.

– Dobranoc, Bell – wyszeptałem.

– Dobranoc – odpowiedziała również szeptem.

Przytuliłem się do Eli-Belli. Miała mokry policzek. Pasożyt płakał!

– Czemu beczysz?

– Ze szczęścia. Dziś tego nie zrozumiesz. Kiedyś ci powiem...

Nie zapytałem, kiedy. Zapraǳnałem usnąć i natychmiast zasnąłem.

Zamilkł. Patrzył na córkę rozcierającą czoło palcami i próbował zgadnąć, co myśli. Z odrętwienia wyrwał Idę dzwonek dochodzący z kuchni. Wstała i poszła bez słowa, zabierając po drodze puste kubki po kawie.

Siedział w fotelu z zamkniętymi oczami. Zwątpił, czy dobrze zrobił, opowiadając jej to wszystko. Może i tym razem już za chwilę będzie musiał to odwołać, aby nie doszło do tragedii...

## Owsianka

Po kilku minutach córka wróciła, niosąc dwie szklaneczki i butelkę whisky.

– Tatusiu, ta historia z duchami, którą mi opowiedziałeś w szpitalu, zrobiła na mnie piorunujące wrażenie, ale była niczym wobec tego, co od ciebie usłyszałam przed chwilą. Mam chęć napić się z tobą za zdrowie mamy. Co ty na to?

– Bardzo chętnie. Też mam smak.

Napełniła kieliszki i wypijała jakby to był kompot, a nie alkohol.

– Opowiadaj dalej. Teraz to nawet może być z dygresjami, już mi jest wszystko jedno. Ale ostrzegam, gdybyś wpadł na pomysł, żeby przerwać, nie kończąc, to chyba bym cię ukatrupiła.

– Czym, jeśli wolno spytać? – przekomarzał się z nią jak z dzieckiem dla rozładowania niedobrego nastroju.

– Zadusiłabym cię gołymi rękami albo poduszką.

– A gdybym odjechał, aby uniknąć uśmiercenia?

– A jak myślisz, po co ci dałam alkohol? Po to, żeby mieć pewność, że zostaniesz na noc – roześmiała się serdecznie.

– Mądrze pomyślane, nie wpadłem na to.

– Dzięki za komplement. Czy już rozładowałeś napięcie i możesz wrócić do opowieści?

– Mogę...

– No to wróć wreszcie!

– OK. Wracam. Następnego dnia Ela ledwo się mnie dobuildziła. Śniadanie całkiem wystygło, zanim zwlokłem się półprzytomny z wyrka. Chyba patrzyłem na nią jakoś inaczej, bo zapytała, czemu przyglądam się jej tak dziwnie.

– Czy ty wiesz, że potrafisz mówić przez sen? – spytałem, mieszając łyżką w jakiejś mleczno-odżywczej breji.

– Co?! – wytrzeszczyła oczy i zamarła z łyżką pełną kleistej papki.

– No, rozmawiasz przez sen... – zacząłem, patrząc we wzorki, jakie zostawiała łyżka w budyniowatej masie, i natychmiast pożałowałem.

– Uważasz mnie za wariatkę? A może ja już zwariowałam i nic o tym nie wiem? – zacisnęła palce na łyżce, którą niosła do ust.

– Wczoraj, gdy spałaś, próbowałem z tobą rozmawiać... – starałem się wycofać rakiem.

– Co ci opowiedziałam? Mów natychmiast! – z łyżki skapywała jej na nogi biała breja, a ona wcale tego nie czuła. Zrozumiałem. Bella miała rację. Jeszcze chwila i rozpęta się piekło. Należało natychmiast zmienić front.

– No dzisiejszej nocy ponad dwie godziny próbowałem rozmawiać z tobą, bo chciałem się dowiedzieć, czy masz takie zdolności – gdybym teraz zaprzeczył, to by mi już nie uwierzyła. Mówiłem jakby od niechcienia, namiętnie wiosłując tę zimną zupę, jakbym naprawdę był głodny.

– Dlaczego? Żeby mnie upokorzyć i zrobić ze mnie kretynkę? Chciałeś sobie udowodnić, że jestem nienormalna? – rozkrzyczała się, wymachując ręką i rozpryskując dokoła śniadaniową ambrozję.

Gdybym nie czuł się winny, zażądałbym, żeby się uspokoiła. Pewnie w innym przypadku stwierdziłbym rozbijając szczerze, że zachowuje się jak wariatka, ale czułem, że teraz doprowadziłbym tym do tragedii. Udawałem więc, że wszystko jest w porządku i że nie dostrzegam jej reakcji.

– No mówię przecież, że gadasz przez sen... – zabulgotałem z gębą zaklejoną niejadalną masą.

– Co ja mówiłam!? – wydarła się na mnie.

– No przecież ci mówię, że po dwóch godzinach moich prób wymamrotałaś w końcu „daj mi spokój” i odwróciłaś się

tyłem – patrzyłem w talerz, bojąc się, że Ela wyczuje w moim głosie kłamstwo.

– Dlaczego to zrobiłeś? Co chciałeś sobie udowodnić? Wymagam leczenia? Tak?! Znalazłeś powód, żeby mnie zamknąć w wariatkowie?! – wrzeszczała skrzekliwym głosem, waląc łyżką w talerz.

– Jak to, po co? Nie rozumiesz? Poświęciłem pół nocy, żeby sprawdzić, czy mówisz przez sen. Mam nadzieję, że dziś wieczorem, gdy zasnę pierwszy, to ty choć przez kwadransik popróbujesz pogadać ze mną. Skoro ty nie potrafisz rozmawiać podczas snu, to może uda ci się wycisnąć ze mnie jakieś tajemnice. To byłoby fascynujące, nie uważasz?

– Ja nie mam zamiaru robić z ciebie idioty! To tobie zależy, żeby uczynić ze mnie wariatkę i unieważnić nasze małżeństwo! – wykrzykiwała bezsensowne oskarżenia, ale przestała wreszcie machać rękami, co i tak już było bez znaczenia, bo wszystko dokoła upaprała kleistą papką.

– O nie, tego już za wiele! Wiesz, co ci powiem? – wkurzyła mnie nieprzeciętnie swoją insynuacją. Na szczęście w ostatniej sekundzie się powstrzymałem. Udając, że nie słyszę jej zarzutów, przeszedłem do ataku, który przestał być pozorowany. – Czuję się rozczarowany i naprawdę wściekły. Miałem nadzieję, że zechcesz poświęcić choćby pół godzinki swojego cennego snu, aby się przekonać, czy może choć ja mam takie rzadko spotykane zdolności.

– Chciałbyś być chory umysłowo? – spytała podniesionym głosem. Najwidoczniej uspokajała się. – Po co chcesz to wiedzieć?

– Co to ma wspólnego z chorobą umysłową? A może to ty się boisz? Mogłabyś powiedzieć coś, czego nigdy nie wyjawiałabyś na jawie? Ja się nie boję, bo nie mam nic do ukrycia. Nie zdradziłem cię. Nie mam żadnych nieznanych ci grzechów ani tajemnic przed tobą. Śpiąc, na pewno tak samo cię kocham całą swoją duszą. Skoro nie chcesz nawet spróbować, bo ci na to nie

pozwała „twoja etyka”, to nie. Bez łaski. Szkoda tylko, że w tak osobistych sprawach nie mogę liczyć nawet na własną żonę. Może kiedyś poproszę kogoś innego, żeby znalazł dla mnie godzinę czasu w nocy i dowiedział się w końcu, czy gadam przez sen i czy potrafię powiedzieć coś ciekawego... – zamknąłem temat, jednocześnie kończąc breję udającą jedzenie.

Kuchnia wyglądała tak, jakby ktoś włął do wentylatora kaszkę mianą. Nie miałem zamiaru uczestniczyć przy sprzątnięciu tego pobojuwiska, bałem się, że nie wytrzymam i skomentuję ten chlew. Powiedziałem, że muszę odwiedzić toaletę. Pobiegłem do wygodki, aby dać jej czas na doprowadzenie domu do porządku.

Zemdliło mnie po tym śniadaniu.

Wymiotując w kiblu wstrętą owsianką, zrozumiałem, jak niebezpiecznie blisko podszedłem do granicy piekła. Od tej chwili wiedziałem, że jeśli nie chcę więcej odczuwać strachu przed własną żoną, to będę musiał unikać wszelkich aluzji dotyczących chorób umysłowych i kawałów o wariatach. Gdy wróciłem z toalety, w kuchni nie było już śladu po śniadaniu. Najwyraźniej kobiety zdolne są nie tylko do robienia chaosu, ale i do sprzątnięcia.

Dzień minął spokojnie. Po południu wszystko wróciło do normy, znów byliśmy nadzy, weseli, szczęśliwi i kochaliśmy się w morzu...

Wieczorem, kładąc się spać, błagałem Ełę, żeby spróbowała mnie nakłonić do rozmowy przez sen. Zgodziła się zadziwiająco łatwo. Może zmieniła swoje nastawienie, a może chciała się czegoś ode mnie dowiedzieć?

Zasnąłem bez problemu.

Następnego dnia obudziłem się pierwszy, wyspany jak mops. Na śniadanie usmażyłem swoje ulubione naleśniki z dżemem truskawkowym.

Ela też wstała w dobrym humorze. Opowiedziała mi, jak ponad dwie godziny próbowała ze mną rozmawiać, ale ja wymamrotałem tylko „daj mi spać” i „śpij, kochanie”.

Byłem „strasznie rozczarowany”. Nawet zaczęła mnie pocieszać, żebym się nie martwił, bo przecież mam inne zdolności. Udawanie zawiedzionego okazało się nad wyraz łatwe. Swoją bezsensowną otwartością, czyli kretyńskim opowiadaniem cudzych tajemnic, zapewne spowodowałem, że Bell już nigdy nie zechce ze mną rozmawiać. Nie próbowałem wracać do tematu rozmawiania przez sen. Ela też do niego nie wracała. Przez kilka lat naszego małżeństwa, wspominając każdy szczegół tamtego miesiąca, nigdy nie poruszyliśmy tematu rozmowy przez sen. Dostałem nauczkę. Dowiedziałem się już, jak Ela wygląda i działa w amoku. Poznałem ten grymas twarzy i ten wzrok, którego można się było naprawdę przestraszyć.

Gdybym był Forestem Gampem, zapewne skwitowałbym tę historię złotą myślą w rodzaju: „Nie wlewaj owsianki do wentylatora”.

## Traviata

Gnębiło mnie to, że Bella nie odezwie się już więcej, bo nie dochowałem tajemnicy, a ja miałem do niej tyle pytań. Im więcej myślałem, tym więcej miałem tych pytań.

Nadszedł wieczór. Ela poszła wcześniej do łóżka i od razu zasnęła. Chyba długo próbowała poprzedniej nocy wciągnąć mnie w rozmowę przez sen. Usiadłem w tym samym miejscu przy stole i zapaliłem świeczkę.

– Dobry wieczór, Bellu, bardzo chciałbym z tobą porozmawiać – mówiłem spokojnym, łagodnym tonem, zupełnie jak do dziecka. Wiedziałem, że nie łatwo będzie ją przeprosić: – Masz żal do mnie. Wiem. Złamałem twój zakaz mówienia, ale nie do końca. Nie wspomniałem o twoim istnieniu. Mimo to poczuwam się do winy, bo ci nie uwierzyłem. Chyba przerosła mnie ta historia albo nie byłem przygotowany, żeby udźwignąć taką tajemnicę. Zdaję sobie sprawę, że być może już nigdy się do mnie nie odezwiesz. Okazałem się takim niedowiarkiem, ale musisz przyznać, że nieźle wybrnąłem z awantury przy śniadaniu. Pomimo przerażenia zachowałem zimną krew. Co z tego, że potem zwymiotowałem ze strachu? Ta owsianka i tak była niejadalna.

Ela niczego nie podejrzewa. Prawdopodobnie dziś w nocy długo próbowała nawiązać ze mną kontakt. Jeśli chcesz mnie ukarać, to proszę, wybierz jakąś inną formę kary, ale nie milcz! Zrobię wszystko, co zechcesz, aby móc z tobą jeszcze choć raz porozmawiać.

Znasz mnie. Wiesz, jak jestem uparty i godzinami mogę prowadzić swoje monologi. Przekonasz się. Będę gadał do ciebie, aż w końcu uwierzysz, że nikomu nie powiem o twoim istnieniu. Kiedyś nadejdzie taki dzień, w którym mi przebaczysz. Dziś chcę ci tylko powiedzieć „przepraszam”.

Na początku uważałem cię za pasożyta zamieszkującego w mojej żonie. Kombinowałem, jak cię zniszczyć, aby uwolnić Elę od ciebie. Przez te dwa dni, które minęły od naszej rozmowy, myślałem tylko o tobie. Wyobrażałem sobie, jakby to było, gdybym to ja był drugą osobowością. Gdybym zamieszkiwał cudze ciało, miał dostęp do wszystkich informacji, miał możliwość korzystania z inteligencji, a nie mógł komunikować się ze światem. To byłoby potworne. Nikt nie mógłby wiedzieć o moim istnieniu. Tak bezgranicznego poczucia samotności nie jest w stanie doświadczyć chyba nawet rozbitek na bezludnej wyspie... I nagle, po latach izolacji, trafia się jakiś człowiek. Zaufałaś, w nadziei, że nie zrobi ani tobie, ani tej drugiej osobie krzywdy. Nie jest ważne, co on sobą reprezentuje, kim jest. Mógłby być niewiele czującym, prostym drwalem, którego interesuje tylko piłka nożna i jasne piwo. To tak jakby urodzony w więzieniu, zamknięty w izolatce i skazany na dożywocie więzień miał odwiedziny. Cieszyłby się nawet z ironii, chamstwa i złośliwości swojego gościa. Mogąc zaistnieć, radowałby się nawet z epitetu „pasożyt”.

Tak potraktowałem cię w czasie naszej rozmowy. Wykorzystywałem swoją przewagę. Bo to ja miałem przewagę, ja w każdej chwili mogłem zgasić świeczkę, wstać, odejść. Ty mogłaś tylko zamilknąć.

Wyobraziłem sobie, jak upiorne musi być istnienie, gdy świat widzi się jedynie cudzymi oczami. Jest się zmuszonym do oglądania tasiemcowych seriali. Ale trudniej znieść, kiedy nie można dokończyć interesującej książki, bo ktoś uważa ją za nudną i zamyka w połowie zdania. Trzeba słuchać disco polo, bo osoba dysponująca zmysłami je uwielbia. Ale i to jeszcze można znieść. Dużo gorsza chyba musi być sytuacja, gdy ona nienawidzi opery i wyłącza radio w połowie arii. Jak paniczny strach się przeżywa, gdy ona prowadzi samochód z nadmierną szybkością, a nie można nawet poprosić, żeby zwolniła. Jak się jej czasami nienawidzi za to, że pali papierosy, upija się, ćpa

albo zadaje się z facetami, do których ty odczuwasz niechęć, pogardę lub wstręt. I nic, zupełnie nic nie możesz zrobić.

Cóż daje posiadanie inteligencji takiej jak Einstein, wiedzy jak Biblioteka Narodowa, jeśli nie można się nimi podzielić, opowiedzieć, podyskutować. Jedyna linia obrony to bycie cynikiem zimnym jak gład, wyzutym z wszelkich uczuć.

Bo jeśli taka ukryta osobowość ma na dodatek bogate wnętrze, to sądzę, że jedynym jej pragnieniem jest przestać istnieć. Wtedy największym marzeniem staje się samobójstwo. Ale nawet ono nie jest możliwe, bo nie jest się w stanie poruszyć ręką. Taka sytuacja musi być wielokrotnie gorsza niż sytuacja człowieka sztucznie podtrzymywanego przy życiu, bo tamten chociaż ma nadzieję, że niedługo umrze.

Nie odezwiesz się jednak do mnie? Czemu chcesz sama siebie ukarać za to, że mi zawierzyłaś? Jest mi bardzo przykro, że Ela nie wyszła za mąż za kogoś innego. Za człowieka, który potrafi utrzymać język za zębami.

Ty mną gardzisz i nienawidzisz mnie. Tym bardziej że rzeczywiście możesz mnie znać od podszewki i nie raz słyszałaś, jak okłamywałem Elę. Jak mówiłem jej, że ją kocham w chwilach, kiedy tego nie czułem. Gdy mówiłem, że wszystko jest OK, a drażniła mnie swoją niedojrzałością. Gdy przytakiwałem jej, nie próbując nawet wytłumaczyć swojego zdania, bo uważałem, że i tak nic nie zrozumie.

Szkoda, że nie dorastam do twojego ideału. Mam nadzieję, że zupełnie dobrze pasuję do Eli, a dla ciebie pozostanę tylko przelotnym incydentem. Rozumiem twoją niechęć do mnie i akceptuję ją.

Czy Ela w swoim napadzie szału obudziła w tobie nadzieję, że nasze małżeństwo nie będzie wieczne? Może następnym mąż Elżbiety będzie bliższy twojemu sercu?

Wybacz mi.

Co? Wyczułaś kłamstwo w moim głosie? Nic nie powiesz? Miałem nadzieję, że cię sprowokuję i nie będę musiał posuwać się do ostatecznego argumentu.

Bella, nie zmuszaj mnie do tego. Nie chcę, żeby cię to zabolalo. Wiem, że mnie słyszysz, wiem, że myślisz, wiem, że czujesz. Zdradziłaś się z tym, że przeżywasz. Los nie oszczędził ci nawet tego. Nie jesteś zimnym głazem narzutowym z moreny czołowej. Odezwij się, zanim powiem coś, czego obydwójce będziemy żałować. Chcesz czas na zastanowienie? OK. Idę zapalić papierosa.

Wyszedłem na dwór. Była piękna noc. Tam były tylko piękne noce. Położyłem się na wznak i powoli paliłem papierosa, patrząc w gwiazdy. Słuchając szumu morza, uśmiechałem się. Uwierzyłem, że Bella odezwie się do mnie. Wiara nie tylko czyni cuda, ale także usta okrasza uśmiechem... Byłem tak szczęśliwy, jakby ze mną rozmawiała, jakby to nie był tylko mój monolog.

Wróciłem do domu i usiadłem na łóżku obok swojej żony. Ująłem jej dłoń w swoje dłonie.

– Bella, nie pozwolę ci odejść. Nie pozwolę ci milczeć!

A wiesz dlaczego? Opowiadałem ci przed chwilą swoje wyobrażenie, jak to znajduję się w twojej sytuacji. Przedstawiłem sobie, co ja bym czuł, jak potworne wydało mi się znoszenie tych wszystkich przykrości, głupot i bezsensownych zachowań Eli.

Ale jest coś o wiele gorszego.

Nie do zniesienia, nie do wytrzymania, nie do przeżycia musi być taka sytuacja, gdy się kocha i nie można tego powiedzieć...

Znalazłem jeden sposób, w jaki mogę cię przeprosić za wczorajszą rozmowę przy śniadaniu. Zabiorę cię na *Traviatę* Verdiego i przez wszystkie trzy akty będę trzymał za rękę. Ela będzie szczęśliwa, a ty dostaniesz w zamian moją tajemnicę

i do końca życia będziesz mogła wspominać ten wieczór w operze.

Zamilkłem na chwilę, aby mogła sobie wyobrazić arię z trzeciego aktu. Z zamkniętych oczu wypłynęły jej łzy.

– Bellu, ty zakochałaś się we mnie! Kochasz mnie bardziej, niż potrafisz milczeć. Tylko dlatego odezwałaś się do mnie przedwczoraj, żeby mieć nadzieję, że kiedykolwiek będziesz miała szansę mi to powiedzieć. Jeśli to, co teraz powiedziałem, nie jest prawdą, to masz prawo milczeć, ale jeśli jest prawdą, to twoje milczenie będzie kłamstwem.

Wiemy, co znaczyły twoje łzy. Przedwczoraj przez chwilę czułaś się szczęśliwa. Wreszcie mogłaś zaistnieć dla kogoś. Czy to nie było wspaniałe? Obydwoje wiemy, co znaczą twoje łzy teraz. Twoje największe, nieprawdopodobne, niemożliwe, nieosiągalne marzenie spełnia się właśnie w tej chwili.

Nachyliłem się i delikatnie musnąłem jej wargi. Zadrżały.

– Kocham cię, Bell – powiedziałem, świadom tego, co mówię. – Ty wiesz, że nie skłamałem. Proszę, nie próbuj kłamać milczeniem. Proszę, odezwij się...

– Kocham cię... – wyszeptała ledwie słyszalnie.

Położyłem się koło niej, trzymając ją za rękę. Moje uszy były mokre od łez. Tak zaczęła się piękna i niezwykła miłość mojego życia.

Zamilkł na moment.

– Nalej mi, proszę... – wypił do dna, jakby to był kompot...

## Konduktor

– Jesteś drugą osobą, która dowiedziała się o istnieniu Belli. Tamtej nocy byłem przekonany, że nikomu tego nie opowiem.

– A więc już kiedyś złamałeś zakaz Belli?

– Tak.

– Komu powiedziałaś?

– To było w rok po ślubie. Życie z twoją mamą nie było usłane różami. Gdyby nie Bella, rozwiódłbym się już po kilku miesiącach, albo nie żył. Lekarze nie potrafili jej pomóc. Używali mądrze brzmiących terminów naukowych, które ich zdaniem wszystko tłumaczyły, tylko że w niczym nie mogły pomóc. Wtedy nie było jeszcze selektywnych inhibitorów wychwyty zwrotnego serotoniny, a trójpierścieniowe nie pomagały.

– Ale co stwierdzili lekarze? Jaka była ich diagnoza?

– Dwubiegunowe zaburzenie afektywne.

– Co to jest? – zapytała z widocznym zainteresowaniem.

– Choroba.

– Nigdy o niej nie słyszałam. Proszę, powiedz tak, żebym zrozumiała.

– Słyszałaś o niej pod nazwą cyklofrenia.

– Czym się to objawiało? – ciekawość Idy rosła.

– Życiem na huśtawce. Nigdy nie wiedziałem, co mnie czeka, gdy wracając z pracy, otwierałem drzwi naszego mieszkania. Wielka rozpacz czy cudowna zabawa? Czasami stany depresyjne przechodziły w maniakalne w ciągu kilku minut. Ale najgorsze było równoległe występowanie obu tych skrajności. To brzmi nieprawdopodobnie, ale ja poznałem to wymieszanie piekła z niebem, przy którym samo piekło to bułka z masłem.

Marzyłem o krótkich momentach ustawienia huśtawki w najniższym położeniu. Tęskniłem za chwilami powszechnie

uważanymi za nudę. Poznałem niekompetencję, bezradność i obojętność wielu lekarzy. Gdy kolejny cyrulik w gabinecie obwieszonym dyplomami jak ruski wojak medalami wyrecytował mi z powagą w głosie swoje motto etyki lekarskiej: „Człowiek jako lekarz jest zwolniony z głębszego zaangażowania”, przestałem konowałów uważać za rarogów. Czytałem wszystko na temat psychiatrii, co mi wpadło w ręce. Oczywiście nie mogłem tego robić w domu, aby znów nie wlać owsianki do wentylatora. Książki trzymałem w pracy, w szafce na ubrania albo u kolegów.

Na początku grudnia wysłano mnie na dwudniowy kurs na południe Polski. Cieszyłem się na myśl, że wreszcie będę miał kilka spokojnych godzin w pociągu i dokończę dopiero co rozpoczęty *Rytm życia* Antoniego Kępińskiego. Książkę udało mi się ukryć pod swetrem, gdy Ela pakowała mi walizkę. Firma opłaciła mi miejsce w pierwszej klasie i rozkoszowałem się niemal pustym wagonem. Ale gdy pociąg ruszył, do mojego przedziału wszedł starszy mężczyzna i usiadł naprzeciw mnie. Skinęliśmy sobie głowami na powitanie i wsadziłem nos w książkę. On chyba też coś czytał, ale nie zwracałem na niego uwagi, pochłonięty fascynującą lekturą. Dopiero gdy konduktor dotknął mojego ramienia, zorientowałem się, że sprawdzają bilety. Aby wyjąć z kieszeni płaszcz miejscówkę, odłożyłem na półeczkę przy oknie książkę obłożoną dla niepoznaki w gazetę. Niefortunnie spadła na ziemię, otwierając się na stronie tytułowej. Zmieszałem się, ale co mnie może obchodzić, że jakiś dziadek zobaczył, co czytam. Skoro i tak przerwano mi lekturę, to sięgnąłem po kanapki z suchą kiełbasą. Facet niby to patrzył w okno, a jednak przyglądał mi się. Pomyślałem, że to chyba pod wpływem lektury ja sam zaczynam czuć się inwigilowany.

– Znałem go – odezwał się mój towarzysz podróży, gdy wyrzucałem papier śniadaniowy do kosza.

– Kogo? Konduktora? – spytałem zdezorientowany.

– Nie, Antoniego – odrzekł z uśmiechem.

– Aha, Antoniego! – byłem przekonany, że dziadkowi coś się poprzestawiało w głowie i chce mi opowiedzieć o świętym Antonim. Po wielu wizytach u psychiatrów byłem przekonany, że świat aż się roi od chorych na głowę.

– Kępińskiego – wyjaśnił. – To był niezwykle człowiek.

– Pan? – Gdybym nie przełknął wcześniej ostatniego kęsa kanapki, to z pewnością bym się udławił.

– Wielu jego pacjentów po jego śmierci odebrało sobie życie – powiedział jakby od niechcenia.

Miałem przed sobą człowieka, który znał osobiście autora *Schizofrenii*. W ciągu sekundy dziadek-idiota przemienił się w skarb. Natychmiast odłożyłem książkę.

Ponad godzinę opowiadał mi o Antonim, o jego życiu i przypadkach, z jakimi się spotykał. Słuchałem zauroczony. Mówił nie tylko o schizofrenii, ale i o trudnościach w leczeniu dwubiegunowych zaburzeń afektywnych.

– A ty, młody człowieku, co sądzisz o psychiatrach?

– Bez ogródek przedstawiłem mu swoją negatywną opinię. Zgodził się ze mną i nawet podał przykłady jeszcze gorszego kretynizmu lekarzy niż te, z którymi ja się spotkałem. Wypytywałem o różne sprawy, ale tak delikatnie, żeby się nie zorientował, co mnie najbardziej interesuje. Mój towarzysz podróży okazał się skarbnicą wiedzy na każdy temat. O najtrudniejszych przypadkach mówił tak lekko i zrozumiale, jakby to była grypa czy katar. W końcu nie wytrzymałem:

– Czy spotkał się pan kiedyś z rozdwojeniem jaźni?

– Oczywiście. Ta przypadłość wcale nie jest taka rzadka, jak się powszechnie sądzi – odpowiedział, jakby nie chodziło o chorobę, lecz o znajomość języka obcego.

– A czy może mi pan opowiedzieć o jakimś przypadku?

– Najdziwniejszy splot osobowości wielokrotnej spotkałem u trzydziestoletniej kobiety. Była mężatką. Jej ciało zamieszkiwały najróżniejsze postaci. Najmłodszy był dziewięcioletni

chłopak, najstarsza – kobieta w wieku emerytalnym. Większość tych osobowości żyła ze sobą w stanie permanentnej niezgody. Tylko nieliczne pozostawały w wielkiej komitywie. Ale były też takie, które nie wiedziały o istnieniu innych, i żyły w przeświadczeniu, że są jedynymi osobowościami tej kobiety. Dla jej męża było to na początku ogromnym szokiem. Przez pół roku nie mógł się połapać, kto z kim plotkuje, kto kogo zna, z kim należy trzymać sztamę, a z kim iść do łóżka, żeby następnego dnia nie być posądzonym o pedofilię czy skłonności homoseksualne. Ale z czasem się przyzwyczaił, a nawet polubił tę jej niezwykłość.

– Ile ona miała tych osobowości?

– To nie była stała liczba. Niektóre pojawiały się tylko na krótki okres, aby zaraz zniknąć. O ile pamiętam, pewnego dnia jej mąż doliczył się dwudziestu trzech postaci.

– Jak to możliwe? – doprawdy rudno mi było uwierzyć w tę historię.

– Skoro przeciętny człowiek wykorzystuje jedynie około trzy do czterech procent potencjału swojego mózgu, to co z resztą? Jest martwa?

– Udało się ją wyleczyć?

– Co pan ma na myśli? – spytał z udawanym zdziwieniem.

– No, usunąć te niepotrzebne osobowości – dla mnie sprawa była oczywista.

– A które według pana były niepotrzebne? Bo ja nawet gdybym mógł odegrać rolę sędziego, nie podjąłbym się orzekania, kto jest potrzebny, a kogo należy usunąć.

– To w jaki sposób można pomóc takiej chorej?

– Do dziś nie jestem przekonany, czy zwielenokrotnienie jaźni w ogóle można nazwać chorobą.

– I co się stało z tą kobietą?

– Została poddana terapii grupowej, a raczej jej osobowości zostały poddane tej terapii, aby wreszcie zaczęły komunikować

się ze sobą, zamiast plotkować i walczyć o przywództwo w stadzie.

– I co?

– Po kilku tygodniach terapii zapanowała zgoda.

– Czy ona nadal żyje?

– Tak. Niedawno spotkałem ją przypadkowo. Szła z mężem. Była w zaawansowanej ciąży.

– Wyleczono ją? – spytałem zdziwiony, nie rozumiejąc jego stanowiska.

– Tak, „została wyleczona” – roześmiał się. – Ma siedem osobowości.

– Jak to?

– Obydwoje z mężem uznali, że chcą tworzyć większą rodzinę – odparł wesoło.

– Jaka jest przyczyna rozdwojenia jaźni?

– Ogólnie uważa się, że najczęstszym powodem bywa jakiś traumatyczne przeżycie w dzieciństwie.

– A więc jednak to jest choroba?

– Niezupełnie. Nie wiemy, ile człowiek ma osobowości, a ile powinien mieć. Najczęściej ujawnia się tylko jedna i to zazwyczaj wystarcza do życia.

– Ale ta kobieta jednak była leczona – upierałem się.

– Niezupełnie. Terapia była potrzebna, aby przywrócić ład w jej życiu i akceptację tego, kim jest. Skoro czuła się szczęśliwa, mając siedem osobowości, to wspaniale. Niektórzy nie potrafią w swoim życiu dojść do ładu z jedną duszą.

– Po co w jej przypadku mózg tworzył kolejne postaci?

– Możliwe, że w ten sposób poszukiwała szczęścia, miała nadzieję, że następna postać będzie szczęśliwa. Możliwe, że nie chciała przyjąć pełnej odpowiedzialności. Możliwe, że przyczyna była jeszcze inna. A ty z iloma osobowościami masz do czynienia?

– Z dwiema – odpowiedziałem machinalnie, zapominając o tajemnicy.

– Kochasz obydwie? – pociągnął mnie za język, jakby znał moją historię.

– Tak – przyznałem

– I masz problem moralny?

– Tak.

– Czy one też cię kochają?

– Tak. Jestem przekonany, że obie mnie kochają. – na wszystkie jego pytania odpowiadałem twierdząco.

– To na czym polega twój problem? Na tym, że na siłę chciałbyś, aby była jedna? Wytłumacz mi, proszę, bo nie bardzo rozumiem...

– No chyba tak powinno być, że się kocha tylko jedną?

– Czy wiesz, którą?

– Nie. Teraz już nie. Kocham obie – wyznałem jak na spowiedzi.

– One są zupełnie różne z charakterów?

– Zgadza się.

– I jedna z nich wie więcej niż druga?

– Tak.

– Jedna z nich zabroniła ci o tym opowiadać?

– Skąd pan to wie?

– Nie domyślasz się, czemu?

– Niezupełnie...

– Ona lęka się zagrożenia ze strony psychiatrów uważających się za bogów mających prawo tworzyć świat według własnych wyobrażeń i kryteriów, co jest zdrowe, a co chore. Dlatego tak zafascynował cię Kępiński, bo on nie uważał się za rarys. Antoni do końca życia zachował pokorę wobec umysłu człowieka.

Poczułem wielką sympatię do tego faceta. Nie potrafiłem się powstrzymać, żeby nie podzielić się z nim moją tajemnicą.

– Wiem, że nie spotkam pana nigdy więcej i że pan nie zagraża żadnej z nich. Czy mogę panu opowiedzieć swoją historię?

– Chętnie jej wysłucham – zgodził się przyjaźnie.

Opowiedziałem mu o Eli i Belli, w najdrobniejszych, jeszcze nieznanym ci szczegółach. W milczeniu oczekiwałem jakiejś porady.

– Zazdroszczę ci, młody człowieku. Z nieznanym nikomu powodów los dał ci niezwykły prezent, którego wartość zdołasz docenić dopiero po latach.

– Mój problem nazywa pan prezentem? – zdziwiłem się.  
– Wolałbym być z jedną zdrową kobietą.

– Przed chwilą powiedziałeś mi, że kochasz obie kobiety. Ilu mężczyzn na świecie może legalnie mieć dwie żony?

– Niewielu, w każdym razie nie w Europie – przyznałem.

– Sam widzisz, że jesteś wybrańcem losu.

– Ale co ja mam robić?

– Tylko się cieszyć i jeszcze raz się cieszyć.

– To wszystko, co mi pan ma do powiedzenia? – poczułem się rozczarowany.

– Czy myślałeś już o powiększeniu rodziny?

– Pan chyba żartuje? Dziecko z kobietą chorą na cyklofrenię?

– Bardziej obawiałbym się o twój stan zdrowia, bo człowiek czytający Kępińskiego tak, jakby to był kryminal, musi być wariatem – roześmiał się serdecznie i sięgnął po walizkę.

– Czemu nazwał mnie pan wariatem? – czyżby na koniec chciał mnie urazić?

– Wariat pochodzi od łacińskiego *varius*, czyli inny. Ty jesteś inny, choćby dlatego, że zostałeś wybrany przez los.

Świat zawirował mi przed oczami, jakbym był poza światem i mógł patrzeć innymi oczami. Ten cudotwórca w kilka sekund z pechowca zamienił mnie w wybrańca losu.

– Czuję się tak, jakby mi ktoś zdjął z pleców wór kamieni. Jestem wdzięczny losowi, że pozwolił mi pana spotkać.

– A ja jestem przekonany, że jeszcze się kiedyś spotkamy.  
– Uścisnął mi serdecznie dłoń na pożegnanie i wysiadł.

Po chwili przyszedł konduktor i złośliwie poinformował, że pociąg ma dziewięć godzin postoju na tej stacji.

Wysiadłem.

Idąc ku ośnieżonym szczytom Tatr, radośnie wymachiwałem neseserem. Jakoś niezwykle lekko mi się szło. Nawet nie zapytałem, kim był ten prestidigitator zamieniający wór kamieni w skrzydła u ramion. Zapragnąłem wyznać Eli, że ją kocham także pod Giewontem. Podszedłem do telefonu i zadzwoniłem.

– Spotkałeś jeszcze kiedyś tego człowieka? – spytała córka.

– Tak. Jego przepowiednia spełniła się w tym roku, i to w dniu twoich imienin. Byłem na konferencji w Gdyni. Oczywiście zapisałem się na wszystkie możliwe wykłady. Szczególnie cieszyłem się na warsztat „Grupa Balinta”, prowadzony przez nestora polskiej psychoterapii. Wreszcie spotkam człowieka legendę. Poznałem go natychmiast. To był znajomy z pociągu, jedyny człowiek, który znał prawdę o Belli.

– I co, nie wytrzymałeś? Przypomniałeś mu się?

– Ależ ty mnie dobrze znasz! Oczywiście! Po zajęciach podszedłem do niego.

– Panie profesorze, wiele lat temu jechaliśmy w jednym przedziale z Warszawy do Zakopanego. Przegadał pan ze mną całą drogę. Dzięki tamtej rozmowie zmieniło się moje nastawienie do życia, a mój problem przestał istnieć. Wreszcie mam okazję podziękować panu, panie profesorze.

– Pan jest tym młodzieniaszkiem, który czytał Kępińskiego, jakby to był kryminal? – przypomniał sobie.

– Pamięta pan? – ucieszyłem się. – Nie jestem młodzieniaszkiem, mam już wnuczkę.

– Został pan lekarzem... I jak panu smakuje ten chleb?

– Czuję się potrzebny... ale jest i druga strona medalu. Niestety większość pacjentów zapomina nawet podziękować. Szczególnie ciężko jest mi wtedy, gdy ci, którym poświęciłem wiele energii i uwagi, znikają bez wieści, a jeszcze tak niedawno gotowi byli oddać wszystko, żeby pokonać chorobę. Powró-

ciwszy do zdrowia, nawet nie przyślą głupiej kartki z jednym jedynym słowem: „dziękuję”.

Popatrzył na mnie znad okularów i powiedział z uśmiechem:

– To znaczy, że jest pan znakomitym terapeutą. Nie dość, że odchodzą, to nawet zapominają o chorobie. Czyż to nie jest najwspanialsze potwierdzenie skuteczności i podziękowanie, jakie może dostać lekarz?

– Ma pan rację, Mistrzu, ale w takim razie nigdy nie dorównam panu, bo ja nie odszukałem pana przez dwadzieścia siedem lat.

Uśmiechnął się i uściśnił mi dłoń.

Poklepał mnie po ramieniu jak kolegę po fachu.

Sześć dni później profesor Stefan Leder zmarł nagle. Miał osiemdziesiąt cztery lata.

– A teraz nalej mi kielicha, abym chociaż w ten sposób uczcił tego wspaniałego człowieka. Zdarzają się w życiu takie spotkania, które nagle zmieniają jego bieg. Rozmawiałem z nim dwa razy i w obu przypadkach czułem, jakby mi zdjął ciężar z pleców i przypiął skrzydła.

Wychylił kieliszek do dna.

## Ptak

– Tylu wspaniałych ludzi odchodzi... – stwierdziła Ida melancholijnie.

– Gdyby nie odchodzili, to na tej planecie niedługo nie byłoby gdzie usiąść, zostałyby tylko miejsca stojące – stwierdził ze smutkiem i oboje się roześmieli.

– Opowiedziałeś mi wcześniej bajkę o śpiącej królewnie Belli, którą pocałunkiem obudziłeś do życia. Zachowałeś się jak dyplomowany książę i od tamtej nocy rozmawialiście ze sobą. Czy to wszystko?

– Nie, to był prolog...

– Co było potem? Opowiedz, proszę.

– A nie chcesz pójść spać? Już jest późno.

– Tatusiu, rozumiem, że jesteś zmęczony i chcesz się położyć, ale ja nie zasnę.

W oczach miał figlarne iskierki. Uśmiechał się zupełnie inaczej niż człowiek zmęczony.

– Świnia jesteś, a nie ojciec! – wykrzyknęła radośnie. – Aktor ze spalonego teatru! Dobrze wiesz, ile bym dała, żeby usłyszeć resztę, a robisz przerwy na reklamę w najciekawszych momentach opowieści.

– Dziękuję szanownej widowni w teatrze jednego widza, za aplauz ze świnią i wracam do przerwanej przedstawienia. Akt drugi, scena czwarta: rzecz się dzieje na wyspie. Nadchodzi kolejny wieczór po niezwykle udanym dniu. Zapalam świeczkę i czekam, aż Ela zaśnie głębokim snem.

– Śpisz? – pytam nieśmiało i czekam w niepewności.

– Śpię... – usłyszałem odpowiedź Belli.

– Czy już zawsze będziesz ze mną rozmawiać?

– Tak, zawsze. Zrozumiałam, że mnie kochasz.

– Czy to znaczy, że ty też nie zdradzisz nikomu treści naszych rozmów?

– Kochając, nie zdradza się. Ale ja mogę mówić tylko za siebie.

– Czy to znaczy, że Ela mnie kiedyś zdradzi?

– Nie wiem i nie mam zamiaru grać roli jasnowidza.

– A potrafisz?

– Tak.

– Jesteś w stanie przewidzieć przyszłość, ale nie chcesz tego robić?

– Tak. To znaczy dokładnie to, co zrozumiałeś.

– Możesz mnie o tym przekonać?

– To bardzo męczące. Zrobię to, jeśli bardzo chcesz.

– Powiedz, co będzie za rok.

– Ty sobie nie zdajesz sprawy, jak to strasznie męczy. To jest wykroczenie, którego nie wolno mi robić bezkarnie. Im dalej zaglądam w przyszłość, tym bardziej boli...

– No to chociaż powiedz, co się stanie jutro.

– Poczekaj, niech się skupię.

Nastąpiła długa cisza. Czekałem cierpliwie. Twarz Belli wykrzywił grymas bólu.

– Ptak... – wyjęczała.

– Co to znaczy?

– Nic więcej nie wolno mi powiedzieć.

– Kto ci zabrania?

– Nie pytaj, bo i tak ci nie odpowiem – powiedziała to takim tonem, jakby była poddawana torturom. – Proszę cię, postaraj się więcej nie zadawać mi pytań o przyszłość.

– Dobrze, ale o przeszłości wolno ci mówić.

– Tak, o przeszłości mogę. Tylko nie wykorzystuj przeciwko nikomu tego, czego się ode mnie dowiesz. Niezależnie od tego, czego się dowiesz. Przyrzekasz?

– Przyrzekam. Opowiedz mi o przeszłości Eli.

– Co chcesz wiedzieć?

– Coś, czego jeszcze nie wiem.

– Chcesz ogólnie, czy szczegółowo?

- Szczegółowo.
- To zajmie wiele nocy.
- Nie szkodzi, przecież mamy czas...

Tej nocy usłyszałem pierwszą część historii życia Eli. Poznanie jej rodziców. Wielka miłość ojca do matki. Oświadczyzny ojca, których nie przyjęła, bo kochała innego. Bolesne rozczarowanie, kiedy tamten ożenił się z inną. Ponowne oświadczyzny, tym razem przyjęte. Skromny ślub. Narodziny Eli i najszcześniejsze dwa lata życia, zakończone tragiczną śmiercią ojca.

Potem był koszmar: zaniedbywanie przez matkę, dom dziecka, tęsknota za ciepłem, za przytuleniem, za byciem chcianą... Głód. Bicie. Samotność. Paraliżujący strach. Beznadziejność sytuacji małej bezbronnej dziewczynki, która wcale się na ten świat nie prosiła...

Opowiadała to w najdrobniejszych szczegółach, spokojnym tonem reportera. Nie wytrzymałem napięcia. Rozpłakałem się. Nie potrafiłem powstrzymać szlochów... Emocje były tak silne, jakby to nie była opowieść, lecz rzeczywistość, którą sam przeszedłem. Nie mogłem się uspokoić. Czułem fizyczny ból niechcianego dziecka.

Bella milczała. Nie próbowała mnie uspokajać.

Wyszedłem na papierosa.

Pomogło.

Zasnęliśmy przytuleni do siebie.

Następnego ranka nie mogłem o niczym innym myśleć. Po obiedzie zapytałem Elę, co sobie przypomina ze swojego dzieciństwa i co wie o swoich rodzicach. Jej opowiadanie potwierdziło fakty, które poznałem w nocy. Nie pamiętała żadnych szczegółów z wczesnego dzieciństwa z wyjątkiem jednego momentu, kiedy mając niecałe dwa latka, bawiła się z ojcem. Ze wspomnień Eli można by stworzyć obraz zupełnie szczęśliwego dzieciństwa. Ale im szczegółowiej opowiadała, tym więcej luk

było widocznych w jej pamięci. Jakby ktoś wydłubał z kolorowej mozaiki wspomnień wszystkie czarne kamyki.

Ela stała mi się bliższa niż do tej pory. Inaczej patrzyłem na jej zachowanie, na jej wybryki, na jej humory. Poznając jej przeszłość, pokochałem ją jeszcze bardziej.

Im lepiej kogoś znamy, tym głębszą miłością potrafimy go darzyć, i to niezależnie od tego, czy dowiemy się o pozytywnych, czy o negatywnych jego cechach.

Z niecierpliwością czekałem na zachód słońca. Pragnąłem usłyszeć dalszy ciąg opowieści. Usiadłem na skale, gdy słońce było jeszcze wysoko, jakby moje czekanie z filiżanką w dłoni mogło przyspieszyć nadejście zmroku i chwilę, w której zapytam: „śpisz?”.

Na horyzoncie pojawił się jacht. Białą trójkąt żagla przesłonił czerwoną tarczę słońce. To był cudowny widok. Podniosłem do oczu lornetkę i o mało nie trafił mnie szlag. Żaglówka nazywała się PTICA.

## Matka

Położyłem się z Ela do łóżka i przytuliłem ją w nadziei, że szybko zaśnie. „Udało się” – pomyślałem, słysząc jej równy, spokojny oddech.

Nadszedł oczekiwany moment.

– Śpisz?

– Śpię – odpowiedziała natychmiast.

– Dziś Ela opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, ale ty przecież wiesz o tym... – zorientowałem się, że niepotrzebnie ją informuję o czymś tak dla niej oczywistym. – Zastanawia mnie jedno. W jej wspomnieniach nie ma tego horroru, który dominuje w twoim opowiadaniu. Wasze wspomnienia różnią się diametralnie! Ona swoje najmłodsze lata uważa, jeśli nie za bardzo szczęśliwe, to w każdym razie za udane. Czy ona kłamie?

– To się nazywa *wyparcie*. Przeżywając jakieś traumatyczne zdarzenia, mózg robi wszystko, aby świadomość nie miała do nich dostępu i nie mogła rozpamiętywać ich w nieskończoność. One istnieją zepchnięte do podświadomości. Ja jednak mam do nich dostęp.

– Może rzeczywiście lepiej nie znać całej prawdy o sobie. Chyba nie byłbym normalnym człowiekiem, gdybym przeżył to, co Ela.

– Nie gdybyś przeżył, ale gdybyś to pamiętał. To nie przeżycia decydują o naszym obrazie świata, lecz wspomnienia, które potrafimy przywołać. Ty też pamiętasz tylko dobre chwile swojego dzieciństwa, te traumatyczne odeszły w niepamięć.

– O nie! Tym razem nie zgodzę się z tobą. Ja miałem bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Moja matka kochała mnie nad wszystko. Może nawet była nadopiekuńcza. Do połowy podstawówki byłem prawdziwym maminsynkiem, nigdzie się nie ruszałem bez matki. Może nawet miałem zbyt szczęśliwe dzie-

ciństwo. Dlatego tak bardzo poruszyła mnie wczorajsza historia niechcianego dziecka.

Bella milczała.

– Śpisz? – zapytałem.

– Śpię – odpowiedziała natychmiast.

– To czemu się nie odzywasz, skoro spisz? – spytałem kretyńsko.

– Bo nie wiem, co powiedzieć.

– Co powiedzieć? Przecież nie zaprzeczysz, że mieliśmy różne matki, a więc i zupełnie różny start w życie. Moja matka mnie kochała, a Eli matka nie kochała jej.

Bella milczała.

– Śpisz? – zapytałem.

– Śpię – odpowiedziała natychmiast.

– No co, czy nie mam racji? Odpowiedz. Obraziłaś się? Nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Proszę, nie pytaj! Nie każ mi mówić – poprosiła błagalnym tonem. – Wiesz, że nie potrafię kłamać, nie wykorzystuj tego.

– Ty wiesz coś, co dotyczy mojego dzieciństwa? Czy czegoś nie chcesz mi powiedzieć?

Znów zamilkła.

– Odpowiedz mi, proszę.

– Tak.

– Moje dzieciństwo było inne, niż myślę? Odpowiedz!

Milczała

– Odpowiedz, proszę – nalegałem.

– Tak.

– Skąd to wiesz? Czyżbyś była w moim ciele, kiedy byłem mały?

– Nie.

– To skąd wiesz?

– Z twoich opowiadań. Z twoich reakcji. Z twoich zachowań.

– Co wiesz?

Milczała.

– Ja chcę się dowiedzieć, co wiesz.

Milczała.

– Nagle mnie olśniło. Bella nie tylko nie umie kłamać, ale również nie potrafi pozostawić bez odpowiedzi moich próśb. Spróbowałem jeszcze raz z użyciem tego słowa-zaklęcia.

– Proszę, powiedz mi, czego się dowiedziałas – wymówiłem swoje abrakadabra.

– Błagam, nie proś mnie więcej, bo nie potrafię milczeć, słysząc słowo „proszę”. Nie chcę ci zrobić krzywdy – przyznała się do tego, co właśnie odkryłem.

– W jaki sposób możesz mi zrobić krzywdę? – spytałem, i dodałem z naciskiem: – Proszę, odpowiedz...

– Mogłabym niechcący zniszczyć twój obraz matki. Ty ją kochasz, a...

– ...a ona mnie – dokończyłem zdanie Belli. – Zawsze mnie kochała, chyba nawet za bardzo... Jesteś innego zdania?

Milczała.

Dzięki tej ciszy zrozumiałem, że myśli inaczej, a zdanie, które za nią dokończyłem miało brzmieć zupełnie inaczej. Ale jak?

– Przerwałem ci w pół słowa. Proszę, dokończ zaczęta myśl: „Ty ją kochasz, a...”

– Ty ją kochasz, a ja nie jestem przekonana, czy już nadszedł czas, abyś otworzył oczy. Kiedyś sam wszystko zrozumiesz, bez mojej pomocy...

Nie odzywaliśmy się przez kilka minut.

Postanowiłem już nie prosić jej o odpowiedź. Sam mogłem ją znaleźć, skoro to była tylko kwestia czasu. Bella czekała, świadoma, że to, co się za chwilę stanie, będzie momentem przełomowym w moim życiu.

– Jeżeli nie jesteś duchem, a wytworzyłaś sobie jakiś inny obraz mojego dzieciństwa tylko na podstawie moich opowiadań

i reakcji, to i ja będę w stanie to zrobić, jeśli popatrzę na siebie twoimi oczami. Boisz się, że mój świat mógłby się zawalić, tak?

Milczała, bo nie użyłem zaklętego „proszę”.

– Chcę zobaczyć, jaki obraz sobie wytworzyłaś, niezależnie od tego, jaki on jest. Proszę cię, abyś odpowiadała na moje pytania tylko „tak” i „nie”. Czy boisz się, że ten obraz mógłby mnie przerazić?

– Tak.

– Czy on jest zupełnie inny niż mój?

– Tak.

– Od czego mam zacząć, żeby stworzyć sobie ten obraz? – spytałem retorycznie. – OK! Już wiem. Zacznę tak, jak ty wczorajsze opowiadanie o Eli, od narzeczęstwa moich rodziców. Aby sprawić matce przyjemność, ojciec pojechał po jej ulubioną płytę do wytwórni odległej o trzysta kilometrów. Mój ojciec szalenie kochał moją matkę. Zgadza się?

– Tak.

– Moja matka miała innego chłopaka, ale z jakichś powodów nie pobrali się. Uważasz, że biorąc ślub z moim ojcem, nadal kochała tamtego?

– Tak.

– Chyba masz rację. Kiedyś znalazłem jej list do ojca, w którym mętnie tłumaczyła mu, dlaczego na wspólnym zgonie się dopiero po ślubie. Czy z tego wynika, że nie kochała go na tyle mocno, aby to było podstawą do wspólnego życia?

– Tak.

– Była chorobliwie o niego zazdrosna, a jednocześnie zawsze wypowiadała się o nim z pogardą. NIGDY go nie kochała? – położyłem nacisk na słowo „nigdy”.

– Tak.

– Urodziłem się w domu, w małym mieszkanku na trzecim piętrze czynszowej kamienicy. Zaraz potem ojciec kupił nam piękne mieszkanie. Nie, to nie było zaraz potem. To było cztery

lata później. Co się działo przez te cztery lata? Nie wiem. Ale ty też nie wiedziałaś, przecież ci nie opowiadałem. Nie dojdę do tego. Potem była szkoła... Nie. Wcześniej opowiadałem o przedszkolu, w którym bez przerwy płakałem. Chyba po trzech dniach mama się poddała i więcej nie próbowała mnie tam odprowadzać. Wiesz, czemu tak strasznie płakałem?

– Tak.

– To i ja muszę wiedzieć. Niech sobie przypomnę. Gdy się pojawiała, natychmiast przestawałem płakać. Inne dzieci nie płakały, tylko ja. One się nie bały. Ja się bałem, że tam zostanę i że mama mnie nie odbierze. Może wcześniej byłem w żłobku. Uważasz, że już wcześniej zostawiła mnie gdzieś na dłużej i tam wytworzył się ten lęk?

– Tak.

– Pewnie u babci na wakacjach? Nie dojdę tą drogą... Spróbuję inaczej. Mama zawsze mnie kochała. Bardzo często mi to mówiła. Wcale nie pragnąłem nawet tego słyszeć, ja wolałem się do niej przytulić. Byłem przylepą. Zawsze było mi mało jej ciepła. Ona swoją miłość wyrażała jedynie słowami?

– Tak.

– Chyba masz rację... W gruncie rzeczy nie pamiętam jej pieszczot. Była ze mnie dumna. Chwaliła się mną i moimi osiągnięciami przed innymi, ale mnie nigdy nie pochwaliła. To ja nie potrafiłem bez niej żyć, a nie ona beze mnie... Pamiętam, jak kiedyś pomyślałem, że gdyby umarła, to wyskoczyłbym przez okno, żeby się zabić. Ale przecież ona tyle dla nas robiła. Nieraz mówiła, że chce od nas tylko wdzięczności za swoje poświęcenie. Myślisz, że to było z jej strony poświęcenie?

– Tak.

– Kiedyś powiedziała: „gdybym miała tylko jedno dziecko, to ułożyłabym sobie życie...” Ona miała jakiegoś faceta?

– Tak.

– Ale kiedy? To musiało być jeszcze przed moim przedszkolem. Mój ojciec był wtedy za granicą. Miała bardzo ciężko.

Czuję, jak mnie zalewa pot... To się zaczyna zgadzać... Powiedziała kiedyś, że nie ułożyła sobie życia, bo nie mogła oddać żadnego z nas do domu dziecka. Tamten facet nie godził się na dwoje dzieci. A więc oddała mnie do przytułku?

– Tak.

– Ale potem odebrała?

– Tak.

– Wiesz czemu?

– Tak.

– Powiedziałem to wczoraj, jak opowiadałaś o pobycie Eli w domu dziecka?

– Tak.

– Co takiego mówiłem? Nie mogę sobie przypomnieć. Wczoraj się strasznie rozryczałem i nie mogłem opanować tego płaczu. Byłem w stanie odczuwać to, co odczuwała Ela w domu dziecka?

– Nie.

– Jak to nie? Przecież zupełnie wyraźnie, niemal fizycznie odczułem wczoraj strach, zagubienie i głód. Głód? Ale ja nigdy nie zaznałem głodu, zawsze miałem nadwagę. Nie. Nie zawsze. Dopiero w szkole. Wcześniej pamiętam, jak babcia nazywała mnie niejadkiem. Karmiąc mnie, opowiadała mi bajki. Jedną łyżką za dużo i rzygałem. O Boże! Wczorajsza opowieściami o przytułku wywołała u mnie reakcję, którą wziąłem za empatię! Ale to wcale nie było tylko współodczuwanie! Wyobrażając sobie położenie Eli, nie mogłem powstrzymać szlochu, bo ja to czułem... Ja to przeżyłem!!! Tak?

– Tak.

– Zrobiło mi się gorąco... Ja odczuwałem tak silnie tęsknotę, że nie chciałem jeść i mało nie umarłem z głodu... Tak?

– Tak.

– Zabrała mnie z domu dziecka tylko pod presją rodziny, znajomych i sąsiadów. Nie mogłaby już grać roli wspaniałej matki, gdyby jej dziecko zmarło w przytułku. To samo powtór-

rzyło się w przedszkolu, tam też nie mogłem nic jeść. Później bała się, że umrę, a ona utraci aureolę matki Polki poświęcającej się dla dzieci, z którą obnosiła się jak ze sztandarem. Bała się, że prawda wyjdzie na jaw, i pozwalała, żebym był maminynkiem. Ona bała się tylko o swoją opinię?

– Tak.

– Duszno mi. Potrzebuję powietrza. Muszę się przejść. Chcę być sam. Idę zapalić...

Wyszedłem na dwór.

Kręciło mi się w głowie. Napływały nowe wspomnienia. Szczegóły i zastyszane słowa układały się w spójną całość. Powstawał obraz mojej matki – odarty z rzekomej miłości, w którą tyle lat wierzyłem. Zupełnie inna, lecz wreszcie prawdziwa historia.

Tak samo jak Ela byłem niechcianym i niekochanym dzieckiem. Gdybym się tego domyślił kilka lat wcześniej, to pewnie z rozpaczyny natychmiast popełniłbym samobójstwo. Teraz, kiedy patrzyłem na siebie oczami Belli, miało to już inny wymiar. Wszedłem do wody i odpłynąłem kilkadziesiąt metrów od brzegu.

W oddali majaczyło okno rozświetlone blaskiem świeczki stojącej na stole. Było niczym latarnia morska wskazująca kierunek ku stałemu lądowi. Mogłem wrócić, mogłem się utopić... Wszystko mogłem!

Rozkoszowałem się słowem „M O G E”.

Po raz pierwszy NIC NIE MUSIAŁEM!

Poczułem wielki spokój, jaki może odczuwać tylko człowiek WOLNY.

Śmiałem się...

Uwolniłem się od lęku utraty miłości.

Śmiałem się...

Przez wiele lat lękałem się utracić coś, czego nigdy nie miałem.

Śmiałem się jak wariat...

Bałem się, nie mając nawet latawca, że ktoś ukradnie mi helikopter.

Jeszcze wilgotny od wody nachyliłem się nad swoją żoną i pocałowałem ją w usta.

Uśmiechnęła się.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko i patrzyłem na jej twarz oświetloną migotliwym płomieniem.

– Zrobiłaś wspaniałą robotę. Od początku wiedziałas o tym?

– Przeczuwałam wcześniej. Upewniłam się wczoraj, gdy szlochałeś jak dziecko...

– Czemu mi tego po prostu nie powiedziałaś?

– Bo albo byś zaprzeczył, albo nie byłbyś w stanie tego znieść i znów „wlałbyś owsiankę do wentylatora”. Sam musiałeś to zrozumieć.

– Dzięki tobie pozbyłem się wreszcie zgniłej pępowiny, którą uważałem za złotą nić łączącą mnie z miłością. Dziękuję.

Poczułem się tak lekko, jakbym nic nie ważył. Zasnąłem, siedząc nago w fotelu.

Świeczka wypaliła się do końca. Obudził mnie chłód poranka i słońce wpadające przez okno.

## Sernik

– Powiedziałaś chłód, a ja na śmierć zapomniałam. Pewnie już dawno wystygł. – Córka zerwała się z krzesła i pobiegnęła do kuchni.

Wróciła po kilku minutach z dwoma kubkami gorącej czekolady i tacą z sernikiem pokrojonym w romby szerokie na dwa palce.

– O! Sernik! – ucieszył się. – Kiedy zdążyłaś go upiec?

– Kiedy się kąpałeś – odrzekła z dumą. – Dlatego prosiłam, żebyś się nie spieszył.

– Zaskakujesz mnie.

– Spróbuj, może będzie ci smakował – powiedziała z udawaną obojętnością, spodziewając się komplementów.

Odgryzł duży kęs i zastygł w bezruchu, jakby w środku było coś nieoczekiwanego, z czym nie mógł się nie liczyć.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona. – Natrafiłeś na coś?

– Nieprawdopodobne...

– Co, niedobry? – była zdezorientowana.

Przełknął. Jak detektyw szukający śladów marihuany ogłądał, wahał i rozcierał między palcami okruch sernika.

– Mnie smakuje, a ty możesz nie jeść – naburmuszyła się jak dziecko, obserwując jego zabiegi badawcze.

– Smakuje?! To najlepszy sernik świata!

– Twoje zachowanie było dość niezwykle, bo...

– Skąd znasz ten przepis? – przerwał jej w pół zdania.

– Sama go wymyśliłam – odetchnęła z ulgą, dodając z dumą: – Zupełnie sama.

– To niemożliwe!

– A jednak to prawda.

– Nie mogłaś się tego nauczyć od mamy. Ela piekła zupełnie przyzwoite serniki, ale dodawała do nich rodzynki, moczone w rumie. Tu nie ma ani rumu, ani rodzzynek.

– Bo nie lubię rodzzynek.

– Ale kto ci podpowiedział pomysł z bakaliami i zapachem arakowym?

– A to już jest moja inwencja twórcza.

– W nim nie ma grama mąki pszennej. Twoja mama zawsze dodawała trzy łyżki tortowej...

– Zgadza się. Zmodyfikowałam sernik mamy, aby był lepszy.

– I użyłaś budyniu śmietankowego, a nie waniliowego!

– Poznałeś po zapachu? – dziwiła się coraz bardziej.

– Masłem wysmarowałaś tortownicę i posypałaś mąką ziemniaczaną, a nie bułką tartą?

– Tak. Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz się na pieczeniu? Sam też robisz serniki?

– Tylko jedna osoba na świecie, oprócz mnie, znała ten przepis.

– Nikt nie zna tego przepisu! Sama go wymyśliłam! – zaprzeczyła zupełnie już zdezorientowana.

– To jest ten sam sernik... – zasępił się.

– To jest mój sernik! – upierała się bliska płaczu.

– Tak on jest twój, bo ty go upiekłaś. To jest najwspanialszy sernik świata!

– Uff, a już myślałam, że jest niedobry.

– Ale skąd ty znasz ten przepis?

– To mój przepis!

– Masz rację, jest dokładnie taki sam.

– Niemożliwe. Nikt nie wie, jak go robię!

– Przekonać cię, że ja wiem?

– Nie uda ci się, bo od początku do końca sama go wymyśliłam.

– Żółtka utarłaś z cukrem gruboziarnistym, a pod koniec dodałaś sok z połowy cytryny.

– Tak. I to ma być dowód?

– Kupiłaś paczkę z piętnastoma jajkami. Jedno z nich...  
– zamknął oczy, jakby czytał w jej myślach. – ...trzecie od lewej włożyłaś do lodówki, jeszcze zanim zaczęłaś rozbijać jajka?

– Tato! Nie widziałeś, jak go szykowałam. Nie mogłeś policzyć skorupkę. Nie zaglądałeś do lodówki. Tato! Ty jednak jesteś jasnowidzem!

– Nie. Ja widziałem, jak ten sernik był przygotowywany.

– Przecież byłeś w łazience. Słyszałam, jak się kapałeś!

– Nie dziś. Ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne.

– O nie! Teraz mnie tak nie zostawisz! Nie wykpisz się tym swoim „nieważne”!

– Dobrze... Opowiem ci, ale najpierw zjem jeszcze jeden kawałek.

– Możesz zjeść nawet cały, ale ja chcę się dowiedzieć, skąd wiedziałeś, że jedno jajko schowałam do lodówki, i to właśnie trzecie od lewej?

Jadł w milczeniu, wolno przeżuując. Twarz łagodniała mu z każdym kęsem.

– Masz rację. Jeden kawałek to za mało. Daj mi whisky do popicia.

Zjadł jeszcze dwa kawałki i wychylił szklaneczkę whisky.

– W naszej firmie wszystko robiło się na ostatnią chwilę. Kontrakt mieliśmy niemal w kieszeni, ale na dwa dni terminem przetargu okazało się, że brakuje jednego rysunku, który miał przygotować nasz kontrahent. Projekt był utajniony i ktoś z naszej firmy musiał odebrać go osobiście. Nikomu nie chciało się jechać taki kawał drogi, więc losowaliśmy. Wypadło na mnie.

Wyjechałem wcześniej rano i obiecałem Eli, że wrócę na noc. Była piękna pogoda, cudowne babie lato. Słońce oświetlało zrudziałe dębowe liście, jakby...

– Teraz będziesz mi opowiadał o pogodzie, zamiast odpowiedzieć, skąd wiesz, że trzecie jajko od lewej włożyłam do lodówki? – przerwała rozdrażniona. – Chcesz, żebym się wściekła? To dlatego tak wolno przeżuwałeś sernik, żeby przygotować sobie rozwlekłą historyjkę o jesiennej pogodzie?

– Nie, kochanie. Opowiadanie będzie krótkie. Postaram się, abyś nie żałowała czasu, który poświęcisz na wysłuchanie tej historii. Ale pogoda odegrała w niej ważną rolę. A sernik rzeczywiście jadłem wolno, ale tylko dlatego, żeby rozkoszować się każdym kęsem. Twój sernik jest boski!

Bardzo dobrze mi się jechało i jeszcze przed południem dotarłem na miejsce. Wszystko było przygotowane, brakowało tylko mojego podpisu na formularzu odbioru. Po kilku minutach mogłem już wracać. Popatrzyłem na mapę i postanowiłem wrócić inną drogą. Chciałem nasycić się widokiem cudownie kolorowych jesiennych gór. Rudziejące w słońcu drzewa, jakby pomalowane dukatowym złotem, odbijały każdy promień. Co? Już nie przerywasz moich opisów przyrody?

– Zaczisnęłam zęby i czekam cierpliwie, aż się skończą. Jeśli przerwę, to pewnie jeszcze dołożysz chmurki jak baranki na szafirowym niebie przypominające kształtem roześmiane twarze prezydentów Stanów Zjednoczonych, zdobiące zielone banknoty i tak dalej... i w kółko Macieju.

– Wygrałaś. Koniec relacji o florze. Przechodzę do raportu zdarzeń. Miałem kilka godzin w zapasie i mogłem zachwycać się widokami albo zwiedzić jakieś miasteczko. Włączyłem radio, ale polskie stacje nadawały muzykę poważną, a czeskie ludową. Otworzyłem schowek i na chybił trafił wyciągnąłem kasetę. Wydała mi się z wyglądu znajoma, ucieszyłem się, że drogę przyjemnią mi ulubione przeboje. Włączyłem ją. Było to

nagranie nocnej rozmowy z gospodarzem zrobione w przeddzień moich oświadczeń.

– Czy to była ta jedyna kasetka z rozmową, wyżebrana od mamy w czasie oświadczeń? – zaciekała się.

– Tak, właśnie ta. Celnie to ujęłaś. Słuchałem jej wiele razy i dlatego tak dokładnie mogłem przytoczyć tamtą rozmowę z gospodarzem w roli ducha. Ale od kilku miesięcy nie miałem chęci na powtórne przeżywanie tamtych chwil. Problemy z Elą zniechęcały mnie i przesłaniały wspomnienia. Wyłączyłem magnetofon. Jednak pomyślałem, aby odwiedzić tamtą miejscinę i zajrzeć do Kaplicy Czaszek, już zakiełkował w mojej głowie. Spróbowałem go odpędzić jak uprzykrzoną muchę, ale to nic nie pomogło. Nie mogłem skupić się na niczym innym. Byłem tak blisko....

Sprawdziłem na mapie.

Po paru minutach znalazłem boczną dróżkę do kurortu. Policzyłem w pamięci. Naddawałem kilkadziesiąt kilometrów, ale i tak miałem spory zapas czasu. Tego dnia wszystko układało się po mojej myśli, a na dodatek słońce oświetlało nieopisanie piękne krajobrazy.

Po drodze kupiłem kwiaty. Od razu znalazłem dom na skraju miasteczka i z szerokim uśmiechem na pysku zadzwoniłem do drzwi...

Otworzyła mi Maria. Była w czerni. Z trudem ją poznałem. Wychudła i postarzała się w ciągu roku o kilka lat. Patrzyła na mnie mętym wzrokiem. Chciałem zostawić kwiaty i odejść. W końcu dotarło do niej, kim jestem.

– Wejdz. Stefan zmarł w lipcu.

Zatkało mnie.

– Proszę przyjąć... – zacząłem standardowe kondolencje.

– Lepiej nie kończ – przerwała mi. – Słyszałam to dziesiątki razy. Rzygać się chce...

– Przepraszam...

– Nie przepraszaaj – ucięła krótko. – Skoro już jesteś, to napij się ze mną kawy.

Wszedłem do środka. W domu panował nieład. Wszystko wydało mi się jakieś szare, jakby od jego śmierci nie sprzątała i nie wycierała kurzu.

Postawiła na stole kawę i cukierniczkę.

– Nie mam nic do kawy, tylko cukier. Nawet nie mam pokruszonych ciasteczek – przypomniała sobie okruchy z plecaka, którymi ich wtedy częstowałem. – Nic już nie mam.

– Może skoczę do sklepu i kupię coś do jedzenia – zaproponowałem. Nie jadłem obiadu, ale chyba i tak nic bym nie przełknął.

– Nie jestem głodna, a snu w sklepie nie sprzedają. Stefan zmarł nagle – dodała, nieskładnie mieszając wątki. – Na zawał. Od jego śmierci nie spałam dłużej niż dwie godziny. Nie pomagają nawet prochy.

Mimo brudnych szyb dostrzegłem ogromny zapas pastylek nasennych na szafce nocnej. Widocznie próbowała różnych środków uspokajających.

Tak szybko, jak to jest możliwe tylko w górach, nastąpiła zmiana pogody. Nagle pociemniało. Zerwała się wichura i zamieć śnieżna. Siedzieliśmy prawie po ciemku. Byłem wściekły na siebie, że niepotrzebnie nadrobiłem taki kawał drogi. Liczyłem w myślach, jak długo będę się włókł w śnieżycy, zanim dotrę do domu. Dopilem kawę.

– Muszę jechać – wypowiedziałem standardowe pożegnanie.

Nie zatrzymywała mnie. Wstała machinalnie razem ze mną i odprowadziła mnie do drzwi.

– Dziękuję, że chciałeś nas odwiedzić – starała się zachować pozory kurtuazji.

– Nie wiedziałem...

– Nie kończ. Idź już.

– Do widzenia – powiedziałem, odchodząc.

Nie odpowiedziała.

Na dworze szalała burza śnieżna. Malucha stojącego za płotem prawie nie było widać. Dobiegłem do niego i wskoczyłem do środka. Gruba warstwa śniegu zakleiła okna i lusterka wsteczne. Przez zamieć majaczyło światelko w domu Marii.

Jak tu się wszystko zmieniło – pomyślałem. – Wtedy, w lecie, było tu zupełnie inaczej, no ale wtedy nie było śniegu. Teraz dokoła było biało i wydawało mi się, że jakoś pusto. Aby ruszyć z miejsca, musiałem oczyścić szyby ze śniegu. Zastanawiałem się, czy znajdę w bagażniku skrobaczkę. Zakląłem siarczyście i wysiadłem, żeby jej poszukać. Byłem tylko w sweterku, nie wziąłem ze sobą nawet kurtki. Oczywiście nie znalazłem niczego, co nadawałoby się do odgarnięcia śniegu. Po kilkunastu sekundach wiatr przewiał mnie na wskroś. Wsiadłem do samochodu, żeby odtąjać. Zerknąłem na licznik, wskazywał sto trzydzieści jeden tysięcy trzysta kilometrów. Wpadłem na pomysł, aby zamiast skrobaczki użyć pustego pudełka po kasecie. Wziąłem je do ręki. Kasetą była zatytułowana *Krzak róży*. Kiedyś wszystkim swoim nagraniem nadawałem takie poetyckie tytuły, jakże pasujące do skrobania szyb. Popatrzyłem na ogródek. Przed domem było pusto. Co się stało z ogromnym krzakiem róży, który użyczył mi siedmiu najpiękniejszych kwiatów, abym się oświadczył Eli? Zamknąłem auto i jeszcze raz zastukałem do drzwi. Tym razem poznała mnie natychmiast, mimo śnieżnej czapy na głowie.

– Co się stało? Samochód nie chce zapalić? – spytała przytomnie.

– Co się stało z krzakiem róży, który rósł przed domem?  
– odpowiedziałem pytaniem.

Spojrzała na mnie jak na wariata.

– Przeniosłam go na cmentarz i zasadziłam na grobie Stefana.

Zrozumiałem, że moje obawy nie były bezpodstawne. Maria planowała przeprowadzkę. Jej ukochany krzak już tam na

nią czekał. Nawet nie robiła zakupów i pewnie nie łykała pastylek nasennych, tylko je zbierała...

Na stole wciąż stały puste filiżanki.

– Czy może mnie pani jeszcze poczęstować kawą?

– Dobrze – powiedziała i wyszła do kuchni. Po chwili wróciła z filiżanką kawy i postawiła ją przede mną.

– Proszę posłuchać... – wstałem od stołu i włożyłem kasetę do odtwarzacza. Nastawiłem ją dość głośno.

Z początku była zupełnie zdezorientowana i wściekła na mnie. Siedziała jak sparaliżowana i słuchała. Rozbeczała się na cały głos w momencie, gdy Stefan opowiadał o krzaku róży. Przeraził mnie ten płacz. Chciałem zatrzymać taśmę.

– Nie wyłączaj! – krzyknęła przerażona, jakby to nie była kasetą, lecz seans spirytystyczny, którego nie da się powtórzyć.

– Koniec? – spytała, gdy skończyła się pierwsza strona.

– Jest jeszcze druga część.

– Włącz – poprosiła. – Proszę, nie zwracaj uwagi na moją rozpacz. Od dnia jego śmierci nie potrafiłam płakać.

Przełożyłem kasetę na drugą stronę. Za oknem utworzyły się zaspę po kolana, a ja ciągle tkwiłem w miejscu, zamiast być już w połowie drogi.

– Proszę, pozwól mi tego posłuchać jeszcze raz – wyszeptała, gdy magnetofon się wyłączył.

Za drugim razem reagowała spokojniej. Śmiała się z żartów Stefana i płakała, gdy opowiadał o swojej bliskiej śmierci. Słuchałem razem z nią, zamiast wstać i odjechać, zostawiając ją sam na sam z głosem Stefana.

Minęła następna godzina...

Wstałem.

Popatrzyła na mnie jakoś dziwnie i powiedziała szeptem domokrażcy sprzedającego niezwykle skuteczny preparat odchudzający:

– Nie będę się z tobą targować. Powiedz tylko, ile chcesz za to nagranie. Zapłacę każdą cenę. Nie wymieniaj zbyt małej

kwoty, abys potem nie żałował. Mam konto w banku za granicą. Jeśli zechcesz, ten dom także przepiszę na ciebie. Tylko sprzedaj mi tę kasetę. Błagam.

Zakręciło mi się w głowie. W oczach zamajaczył mi neseser pełen banknotów z wizerunkiem prezydenta Franklina. W ciągu jednego wieczoru mogłem się stać bogaty. Wiedziałem, czego od niej zażądam

– Każdą? – spytałem z niedowierzaniem.

– Każdą! Żadna nie będzie dla mnie za duża. Jeśli chcesz, dodatkowo zrobię ci loda z połknięciem. Wiesz, że byłem prostytutką – odpowiedziała beczelnie.

Nadal była piękną kobietą, świadomą swojej urody i pragnień facetów.

– Chcę, żebyś mi dała przepis na sernik, który upiekłaś tamtego wieczoru – powiedziałem to takim tonem, jakbym żądał seksu, i przeszedłem na „ty”, nie pytając ją o zgodę.

Popatrzyła na mnie jak na idiotę.

– Nie chcesz pieniędzy? Możesz w jednej chwili stać się bogaty – zdziwiła się.

– Usłyszałem, co do mnie powiedziałaś. Nie jestem głuchy. Wy nie wzięliście od nas ani grosza za kwaterę. Stefan przewidział, że przyjdzie taki moment, kiedy i ja dam coś, co dla mnie nie będzie miało większej wartości, a dla obdarowanej osoby będzie bezcenne i uratuje jej życie. Jego słowa stały się dla mnie przepowiednią. Tak mi zapadły w pamięć, że zostałem nawet honorowym dawcą krwi.

Zaśmiała się serdecznie swoim dawno zapomnianym perlстым śmiechem.

– Dziś brzmi to jak prorocstwo Stefana. Ale wtedy nawet nie przypuszczałem, że kiedyś będę mógł się odwdziżyć właśnie tobie.

– Mam wrażenie, że to on cię tu przysłał...

– A ja mam wrażenie, że on przysłał tę nawalnicę. Gdyby nie śnieżyca, prawdopodobnie nie zauważyłbym braku róży, a następnym razem już bym cię tu nie zastał.

– Kiedy się domyśliłeś?

– Dopiero kiedy powiedziałaś „przeniosłam krzak róży”. Zrozumiałem, że i ty planujesz tam się przenieść.

– Postanowiłam to zrobić dzisiaj nocy. Pokrzyżowałam moje plany.

– Tak jak moje ta śnieżyca. Nie wiem, ile czasu będę teraz jechał do Warszawy.

– Zaraz się dowiemy – podeszła do telefonu i wykręciła krótki numer.

– Ile czasu potrzeba na dojazd do Warszawy? – powiedziała do słuchawki... – Już jesteśmy odcięci od świata. Od dwóch godzin drogi są nieprzejezdne aż do Wrocławia. Dobrze, że zostałeś, utknąłeś w gigantycznym korku. Do rana ich nie odśnieżą. Musisz zostać tu na noc – poinformowała mnie o sytuacji na drogach.

– Cholera!

– Co się stało?

– Stracimy kontrakt, jeśli czegoś nie dostarczę do dziewiątej rano.

– To raczej mało prawdopodobne, nawet jeśli przestanie padać.

– Wiem. Gdybym pojechał prosto, to najpóźniej za trzy godziny byłbym w domu. Pozwól mi zadzwonić do Eli.

– Dobrze, poinformuj ją o sytuacji, a ja wyskoczę do sklepu.

– Może ja pójdę?

– Nie! – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zadzwoniłem.

Tak jak się spodziewałem, zaliczyłem pierwszą część piekielnej awantury. Nic nie pomogły wyjaśnienia. Do Eli nie docierały żadne argumenty. Nie interesowały ją nieprzejezdne

drogi. Uważała, że od dawna planowałem zdradę, a teraz barszkuję w najlepsze z jakąś cizią i nie chce mi się wychodzić z ciepłego wyrka. Miałem powyżej uszu jej bezsensownych oskarżeń. Wiedziałem, że po powrocie nie ominie mnie druga część bezpodstawnych zarzutów, a te będą jeszcze gorsze. Od wielu dni powstrzymywałem się od palenia. Na stole leżała otwarta paczka papierosów. Zapaliłem...

Wróciła Maria z dwiema siatkami pełnymi zakupów.

– Nie odchodź, pomożesz mi – powiedziała, gdy zaniósłem produkty do kuchni.

Nie wiem, jak ona to wszystko zdobyła. Wtedy w sklepach prawie niczego nie było, a ona wyjmowała z toreb luksusowe towary. Przyniosła nawet Jasia Wędrowniczka.

– Skoro możemy tylko czekać, aż śnieg przestanie padać, zróbmy coś sensownego.

Nie mogłem się mylić, w jej głosie usłyszałem radość.

– Nalej po szklaneczce, aby nam się przyjemnie pracowało.

– Z wodą czy z lodem?

– Czy ja wyglądam na taką, co rozcieńcza? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Otworzyłem lodówkę. Była zupełnie pusta, tylko w zamrażalniku leżał samotny pojemnik z lodem.

Napełniłem szklaneczki.

– Aby nie było zakalca! – wychyliła do dna.

Wydawała mi różne polecenia, tłumacząc jednocześnie proporcje i kolejność, w jakiej należało dodawać produkty. Otworzyła opakowanie z jajkami i trzecie jajko od lewej, z górnego rzędu, włożyła do lodówki.

Gdy wsadzaliśmy do nagrzanego piekarnika tortownicę z sernikiem, butelka była już w połowie pusta. Potem Maria smażyła kotlety schabowe panierowane w wiórkach kokosowych, a ja oglądałem wiadomości. Ich główny tematem była klęska żywiołowa. Cała południowo-zachodnia Polska była nieprzejezdna. Na drogach panował nieprawdopodobny chaos.

Ciężarówki zatarasowały wiele dróg w górach, bo nie mogły wjechać pod górę. Wiele miejscowości było odciętych od świata. Nawałnica przesuwiała się szybko na wschód, paraliżując coraz większe obszary kraju. Władze zamierzały ogłosić stan klęski żywiołowej. Prawdopodobieństwo, że następnego dnia uda mi się dotrzeć do Warszawy, spadło do zera.

– Czym się teraz martwisz? – spytała, widząc moją zatroskaną minę.

– Sytuacją.

– No, ale w tej chwili to konkretnie czym?

– Tym, że nie mam ze sobą nawet pidżamy – i zacząłem się śmiać.

– Szczęśliwi ci, co martwią się o koszule nocne, gdy na dworze szaleje zamieć, powiedziałyby Stefan... – naśladowała jego sposób mówienia.

Usiedliśmy do stołu.

Jedzenie było wyśmienite, a języki już nam rozwiązały „czerwony Jasio”.

– Jak ci, poeto, smakuje kolacja z mewką? – spytała zadziornie.

– Może kiedyś byłaś, ale nie jesteś!

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Bo prostytutka nie potrafi tak kochać jak ty...

– Co ja?

– Nadal kochasz Stefana, a nie jego pieniądze. Gotowa byłaś wszystko oddać za jego głos na kasecie.

– A co, żałujesz, że nie wzięłaś pieniędzy?

– Nie.

– Kłamiesz! Widzę, że czegoś żałujesz!

– Szkoda mi trochę... Można było upiec dwie pieczenie...

– spróbowałem się wykpić przysłowiem.

– Żałujesz, że nie zażądałeś seksu?

– Nie!

– No to mów jasno, o co ci chodzi. Szkoda, że co?

– Że nie poprosiłem cię, żebyś i ty opowiedziała mi o swoim życiu.

– A co chcesz wiedzieć?

– Opowiedz, jak tam jest?

– Gdzie?

– W domu publicznym... – wykrztusiłem.

– Po co?

– Zwykła ciekawość. Nigdy tam nie byłem i pewnie nigdy się nie odważę.

– Ty chyba jednak jesteś prawdziwym poetą... – uśmiechnęła się do mnie jak do syna.

Sernik się piekł, a Maria opowiadała mi o swojej przeszłości, o kobietach pracujących w domu publicznym, o klientach... Miała niezwykle dar opowiadania. Zręcznie przeplatając smutne historie anegdotami, potrafiła każdą zakończyć jakimś morałem lub puentą. Starczyłoby tego na kilkutomową powieść obyczajową.

Zerknęła na zegarek. Wyjęła ciasto z piekarnika i postawiła na parapecie, aby szybciej ostygło.

– Teraz wiesz już więcej o burdelu, niż gdybyś tam był. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Czy to prawda, że w domu publicznym często umierają klienci? – zdobyłem się na odwagę.

Popatrzyła na mnie uważnie, jakbym był handlarzem narkotyków, który chce jej sprzedać trefny towar. Potem długo obserwowała latarnie za oknem.

– Bardzo rzadko. Prawie nigdy. To są wyjątki. Stefan nieraz żartował, że chciałby zakończyć życie w łóżku z prostytutką. Dostał zawału, kiedy się kochaliśmy. Umarł tak, jak tego pragnął – wyznała szeptem, patrząc za okno.

Na dworze było zupełnie cicho. Wichura ustała. Śnieg nadal sypał ogromnymi płatami.

– Teraz jestem pewna! To jednak twoja robota, ty sukinsynu – powiedziała ze śmiechem do portretu Stefana. – To jest wystarczający powód! Mam prawo to zrobić!

Zdjęła ze ściany obraz z jego podobizną i odwróciła go. Z tylnej ścianki oderwała szary papier. Podeszła z nim do telefonu i wybrała numer.

– Mąż mi powiedział, że jak znajdę się w potrzebie, mam zadzwonić pod ten numer i podać hasło. „Rosenstrauch” – odczytała napis na odwrotnej stronie obrazu. – Czekam. Tak. Ulica Przemian 34. Zrozumiałam. – Odłożyła słuchawkę.

Pokroiła sernik na romby szerokie na dwa palce.

– Czemu kroisz ciasto w romby, a nie jak wszyscy w prostokąty? – zapytałem.

– Bo Stefan mi powiedział, że w taki sposób pokroiłeś sernik tamtego wieczora.

To był ten sam sernik. Ósmy cud świata. Rozpływał się w ustach. Nie potrafiłem ukryć zachwytu. Rozkoszowałem się każdym jego kęsem. Nie mogłem się powstrzymać. Zjadłem cztery kawałki. Maria tylko jeden.

– Jedz, cały jest dla ciebie.

W oknie mignęła czyjaś sylwetka. Potem ktoś zapukał do drzwi. Maria poszła otworzyć. Przybysz ubrany był w biały kombinezon z kapturem bez żadnych dystynkcji. Na nogach miał białe buty narciarskie. W rękę trzymał krótkofalówkę.

– Witaj, Mario. Słyszałem, że masz problem. Jaki? Opowiedz, proszę – powiedział ciepło.

– Chcę, żeby najszybciej jak to tylko jest możliwe ten mężczyzna wraz ze swoim samochodem znalazł się w Warszawie.

– Ten kremowy maluch to pana własność? – przybysz zwrócił się do mnie.

– Tak – potwierdziłem, lekko zawstydzony, że nie mam jaguara.

– Dobrze, że to nie Mercedes. Proszę poczekać.

Zakpił ze mnie albo się ucieszył. Nie byłem przekonany. Wyszedł, ale po dwóch minutach pojawił się z powrotem.

– Za dwadzieścia dwie minuty niech pan będzie gotowy do drogi.

Chciałem wyjść, żeby odśnieżyć samochód. Powstrzymał mnie gestem dłoni i znów gdzieś wyszedł. Po kwadransie na drodze coś się zaczęło dziać, chyba wojsko ciężkim sprzętem odśnieżało ulicę.

– Zjedz jeszcze kawałek – powiedziała Maria, jakby wizyta tamtego faceta i ruch za oknem nie miały znaczenia. – Dziękuję ci za prezent.

– Drobiazg – odparłem, myśląc o kasecie.

– Życie nie jest drobiazgiem. No, pora na ciebie – Maria przytuliła mnie, całując w policzek.

Wszedł inny mężczyzna w białym kombinezonie, ten nie miał narciarskich butów. Podał mi coś w rodzaju białego worka, w jakim dzieci noszą kaptcie do przedszkola.

– Niestety musi pan to założyć na głowę, panie Andrzeju – zwrócił się do mnie po imieniu.

Zaciągnął sznurek na dole worka i zawiązał go na węzeł. Wyprowadził mnie pod rękę i wsadził do samochodu terenowego.

– Ale ja muszę wziąć nesoser.

– Proszę się o nic nie martwić. Maria przekazała mi już pana nesoser.

Jechaliśmy z dziesięć minut po bezdrożach, strasznie trzęsło. Potem leciałem helikopterem. Ale nawet wtedy nie pozwolono mi zdjąć worka. Z zasłyszanych rozmów niewiele się dowiedziałem. Piloci podawali tylko krótkie komendy w obcym języku. Nie wiem, ile czasu lecieliśmy, bo alkohol zrobił swoje i zasnąłem.

Obudziłem się, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Facet, który mówił do mnie po imieniu, pomógł mi wysiąść i kazał mi się oprzeć o dach jakiegoś samochodu.

– Tą drogą do końca, a potem w lewo. Do widzenia, panie Andrzeju. Szerokiej drogi! – i odszedł, nie zdejmując mi worka z głowy.

Kilka minut szarpałem się ze sznurkiem zawiązanym na węzeł. W tym czasie helikopter wystartował. Musiałem się przytrzymać samochodu, żeby mnie podmuch nie przewrócił. Gdy wreszcie udało mi się zerwać worek z głowy, śmigłowca nie było już widać. Ze złością cisnąłem worek na ziemię. Stałem na polanie obok mojego pocziwego malucha. Dookoła był las. Dojechałem tak, jak mi kazał, do drogi asfaltowej i skręciłem w lewo. Po obu stronach szosy były rzadkie zabudowania. Zobaczyłem światła jakiegoś miasta. Ucieszyłem się, że za chwilę zobaczę tablicę z napisem „Wrocław” i zdążę na rano do firmy. Nagle przypomniałem sobie, że w wiadomościach pokazywali Wrocław cały zasypany śniegiem, a dokoła mnie nie było ani śladu śniegu.

To była Warszawa!

Parkując przed domem, zerknąłem na licznik, pokazywał sto trzydzieści jeden tysięcy trzysta trzynaście kilometrów. Dochodziła północ.

Ela powitała mnie piekielną awanturą. Uważała, że gdyby mi nie zrobiła tamtej awantury przez telefon, to zostałbym do rana u jakiejś głupiej dziwki, a tak pewnie zdążyłem strzelić tylko jeden numerek. Kpiła sobie z rozmowy telefonicznej, ze śnieżycy i z zablokowanych dróg. Uważała mnie za kłamcę. Używała najgorszych słów, a repertuar miała bogaty.

Nie odzywałem się. Nie mogłem przecież w żaden sposób udowodnić tego, co przeżyłem. Gdzieś w lesie został płócienny worek, który zerwałem z głowy. Nawet gdybym pojechał go szukać i znalazł, dla niej i tak nie byłby to wystarczający dowód. Zacisnąłem wargi, bojąc się odezwać. Wiedziałem, że jeśli poczuje ode mnie alkohol, do rana nie skończy z wymówkami.

Poczekalem, aż zaśnie.

Zapaliłem świeczkę.

Musiałem się z kimś podzielić swoją przygodą. Opowiedziałem ją w najdrobniejszych szczegółach. Tak jak teraz tobie.

Bella słuchała, nie przerywając. Myślałem, że ona też uzna całą tę historię za zmyśloną i zacznie mnie podejrzewać o zdradę.

– Co, nie wierzysz mi?

– Wierzę. Przecież wiesz, że ja wiem, kiedy kłamiesz. Podczas tej opowieści tylko raz skłamałeś, mówiąc: „kupiłem Marii trzy róże”.

– Kupiłem siedem – przyznałem skruszony.

– Bardzo dobrze zrobiłeś, to szczęśliwa liczba. A co się stało z resztą sernika? – zapytała.

– Ostatnie cztery kawałki zostały na stole.

– A nesesor?

– Wyjęli mi z ręki, zakładając worek na głowę. Potem znalazłem go w maluchu.

– Zaglądałeś do środka?

– Nie.

– To zajrzyj.

Otworzyłem nesesor.

W środku było metalowe pudełko po duńskich cukierkach. W nim, na serniku, leżało zdjęcie krzaka róży rosnącego przed domem Marii. Na odwrocie był napis: „Pragnę, żebyś miał go na pamiątkę po Stefanie – Maria”.

– To co ja mam teraz zrobić z tym sernikiem? Zasuszyć jak kiełbasę? – zażartowałem, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

– Daj mi spróbować – poprosiła Bella.

Wyjąłem porcję sernika i małutkimi kawałkami karmiłem nim śpiącą żonę.

– Wspaniały. To raczej jest uczta duchowa, a nie sernik – stwierdziła. – Ale ty też zjedz.

Wziąłem następny kawałek.

I...

Pod sernikiem leżał złoty zegarek. Niezwykle rzadki egzemplarz. Specjalna edycja wyprodukowana z okazji siedemdziesięciopięciolecia firmy „Doxa”. Marzenie, na które nigdy nie było mnie stać.

Mam go do dziś.

## Upiór

– Nieprawdopodobna historia, zupełnie jak z perskiej bajki o latającym dywanie – skomentowała Ida.

– Masz rację. Ale życie z twoją mamą bardziej przypominało kryminał niż bajkę.

– Często robiła ci sceny zazdrości?

– A co dla ciebie znaczy często? Czy raz na miesiąc to często? Czy codziennie to często? Czy co godzinę to często?

– odpowiedział całą serią pytań.

– Uważasz, że robiła te sceny bez powodu?

– A jaki powód może być wystarczający do robienia scen?

– Często zdradzałaś mamę?

– Czyżbyś się jeszcze nie domyślała?

– Czego?

– Nie słyszysz tego, co mówię?

– A co mówisz?

– Dalej uważasz, że ta rozmowa prowadzi do jakiegoś celu?

– A ty uważasz inaczej? – Najwyraźniej nie wiedziała, o co mi chodzi.

– Zauważyłaś, że od pewnego czasu tylko zadajemy sobie pytania, nie odpowiadając na nie?

– Czy ty to robisz specjalnie?

– A jak uważasz?

– Uważam, że robisz mnie w balona...

– Oczywiście – przyznał uczciwie.

– Po co?

– Bo jeśli zadajesz pytanie i nie interesuje cię odpowiedź, to znaczy, że masz swoje własne zdanie, którego nie chcesz zmieniać – wyjaśnił jej.

– To po co bym pytała?

– Aby utwierdzić swój pogląd, a nie po to, by go zweryfikować albo dowiedzieć się czegoś nowego. Ty nie chcesz zmieniać swojego zdania o mnie i dlatego nie czekasz na odpowiedź. Masz prawo.

– Do czego mam prawo?

– Masz prawo uważać mnie za babiarza, który nic innego nie robi, tylko ugania się za spódniczkami i zdradza swoją mamę na prawo i lewo.

– Wcale tak nie uważam.

– Masz również prawo uważać mnie za świętego, który nigdy nawet nie popatrzył na inną kobietę.

– Też tak nie uważam.

– To jak uważasz?

– Nie wiem. Sama nie wiem...

– Co by się stało, gdybym się okazał inny niż obraz, jaki ci przedstawiała twoja matka?

– Inny, czyli lepszy?

– Tak.

– To moja mama wydałaby mi się...

– Kłamcą? – odważył się wreszcie powiedzieć to, co od dawna leżało mu na wątrobie.

– Niezupełnie... Ale masz rację, boję się...

– Domyślasz się, czego się boisz?

– Już nie wiem, co mam myśleć.

– A chciałabyś we mnie widzieć upiora? – spytał bez związku.

– Tato, nie męcz mnie...

– Czym cię męczę?

– Pytaniami...

– Zadawanymi czy przemilczanymi? A może ty się czegoś boisz?

– Boję się tego!

– Czego?

– To straszne... – zasłoniła twarz przed czymś niewidzialnym.

– Możesz się tego pozbyć, jeśli chcesz... – zrozumiał, że problem Idy jest dużo poważniejszy, niż mu się początkowo wydawało.

– Nieraz próbowałam, ale on wraca.

– Czy on ma moją twarz?

– On nigdy nie miał twojej twarzy...

– Kto?

– Ten upiór ze snu... To boli... Ja nie chcę... – rozplakała się. Zwinęła się na fotelu w kłębek. Głowę wtuliła w kolana, jakby to miało ją przed czymś uchronić. Cała się trzęsała ze strachu.

Nie wiedział, co się z nią dzieje. Ida nigdy ani słowem nie wspomniała mu o swoich lękach. Siedział przez chwilę zaskoczony, nagle coś zaświtało mu w głowie. Przeraził się. Usłyszał, jak mu wali serce. To, co przeżywała jego córka, musiało być stokroć silniejsze.

Wstał z fotela. Stał naprzeciwko Idy, w odległości, w której ona mogła czuć się bezpiecznie.

– To nie byłem ja! – powiedział bardzo głośno.

Usłyszała jego głos i przestała się trząść.

– To nie byłem ja! – powtórzył.

Powoli uniosła głowę i popatrzyła na niego zdziwiona.

– To nie byłem ja! – powtórzył po raz trzeci. – Teraz jesteś bezpieczna! Otwórz oczy!

– A kto to był? Czy ty wiesz, kto to był? – spytała.

– Najpierw wstań.

– Po co?

– Wstań powolutku z fotela i zrób to tak delikatnie, aby ten lęk został na fotelu – powiedział. – Wyjdź z tej emocji i stań prosto.

– Przecież to niemożliwe!

– Wstać to jest łatwa rzecz. Możesz to zrobić.

– Wstała.  
– Czy czujesz dywan pod nogami?  
– Czuję.  
– Czy widzisz mnie wyraźnie?  
– Widzę.  
– Czy słyszysz, co do ciebie mówię?  
– Tak, słyszę.  
– Skoro mnie słyszysz, to znaczy, że możesz usiąść na krześle, zostawiając na fotelu tamto uczucie.

Usiadła.

– Tam na fotelu została zapłakana Ida, a ja rozmawiam z tobą siedzącą na krześle. Czy możesz obserwować jej zachowanie i rozmawiać ze mną?

– Tak.

– Czy chcesz, aby ona już nigdy więcej się nie bała?

– Ale ja nie potrafię się nie bać...

– Nie ty – powiedział spokojnie, lecz stanowczo. – Ty siedzisz przede mną i przyglądasz się Idzie, siedzącej na fotelu. Nie możesz się bać, bo nie jesteś Idą, to ONA odczuwa lęk. Ty jesteś tylko obserwatorem. Widzisz ją?

– Tak – popatrzyła na pusty fotel.

– Jeżeli wygodniej ci jest obserwować Idę w wyobraźni, z zamkniętymi oczami, to możesz je zamknąć. Jak wygląda Ida?

– Siedzi skulona i drży. Potwornie się boi.

– Czego się boi Ida?

– Ja się...

– Nie ty! Ty nie jesteś teraz Idą! – poprawił córkę, aby zdysocjowała się od lęku. – Co ją przeraża?

– Ona się boi upióra – odpowiedziała córka i zamknęła oczy.

– Co to za upiór?

– On jest potworny.

– Kiedy go spotkała? – zmienił pytanie, skoro nie chciała opisać zjawy.

– On przychodzi w nocy...  
– Czy on przychodzi na jawie, czy kiedy Ida śpi?  
– On przychodzi tylko we śnie.  
– I co się wtedy dzieje?  
– Budzę się z krzykiem i...  
– Nie ty. Ty jesteś tylko obserwatorem. Co się dzieje z Idą?  
– Budzi się z krzykiem i już nie może zasnąć. Potwornie się go boi.

– Kogo przypomina ten upiór?  
– Za każdym razem jest kimś innym. Kimś, kogo znam...  
– Nie ty. Ty jesteś tylko obserwatorem. Skąd Ida go zna?  
– Ida zna jego twarz, ale nie wie skąd.  
– Czy ten upiór jest kobietą, czy mężczyzną?  
– Zawsze jest mężczyzną.  
– Co w nim jest takiego strasznego?  
– Bo on się zmienia.  
– Jak się zmienia? Opowiedz jakiś sen, który Ida zapamiętała.

– Każdy sen jest taki sam. Ida śni, że leży w łóżku i do jej pokoju wchodzi mężczyzna, podchodzi do niej. Ale gdy podchodzi, zmienia się w kogoś innego. Tak jakby to był trick komputerowy transformacji twarzy. Wyciąga do niej rękę i dotyka jej. Ja to czuję...

– Nie ty!

– Ida czuje, jak on ją dotyka. Wtedy upiór umiera w straszliwych cierpieniach. Zmienia się w odrażającego trupa, z którego wyłażą robaki, albo zalewa Idę krwią, albo rozsypuje się w proch, albo spala... Czy ja byłam...

– Nie ty!

– Czy Ida była wykorzystywana seksualnie?

– Nie wiem. Nie cały czas byłem z Idą, gdy była mała...

– Ona też tego nie wie. Chyba to wyparła, ale upiór istnieje. Ona boi się zasnąć, bo wtedy on znów przyjdzie.

– Czy Ida chce, żeby ten sen nigdy więcej się już nie powtórzył?

– Bardzo chcę.

– Zapytaj Idę, czy ona też chce.

– Ona kiwa głową. Bardzo chciałaby zasnąć bez lęku.

– Powiedz Idzie, że może na zawsze pożegnać upiora.

– Ale Ida nie wie jak.

– Zaraz jej to powiem, ale najpierw poproś, żeby Ida usiadła wygodnie na fotelu i rozluźniła się – zamilkł na chwilę, aby dać córce wystarczająco dużo czasu na wyobrażenie Idy siedzącej swobodnie. Przyglądał się, jak napięcie córki maleje. – Czy już?

– Tak, ale Ida mówi, że w to nie wierzy.

– Powiedz jej, że jeśli szuka wiary, to niech idzie do kościoła. Ja nie jestem księdzem. Ale jeśli Ida chce się uwolnić od upiora, to niech robi to, co ty jej powiesz.

– Usiadła.

– Czy Ida trzyma nogi na podłodze tak samo jak ty?

– Nie. Założyła nogę na nogę i macha nią.

– Każ jej, aby usiadła tak samo jak ty. Gdy to zrobi, to powiedz mi o tym.

– Już.

– Czy się rozluźniła?

– Tylko trochę, bo wciąż się boi.

– Jak wygląda u Idy ten lęk? Gdyby jej lęk był czymś materialnym, to co by to było? Przyjrzyj się dokładnie. Co widzisz?

– To jest jak czarna peleryna.

– Powiedz, że może ją zdjąć z siebie i położyć po swojej lewej stronie. Zdjęła?

– Tak.

– Co się u Idy zmieniło?

– Ona się przestała bać – na twarzy córki pojawiło się zdziwienie.

– Świetnie. A teraz poproś Idę, aby wyobraziła sobie, że przed nią jest pancerna szyba, przez którą nie przeniknie żaden upiór, nawet całkiem malutki. Za tą szybą, w bezpiecznej odległości, stoi fotel. Niech zaprosi na ten fotel upiора. Powiedz mi, gdy Ida to zrobi.

– Już zrobiła.

– Czy czuje się bezpiecznie?

– Tak.

– To niech teraz usunie pancerną szybę, aby porozmawiać z upiorem.

– Ona nie może tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo jest sparaliżowana.

– Co spowodowało paraliż Idy?

– Strach. Taki sam, jaki odczuwa we śnie.

– Gdzie Ida ma ten lęk? Jak wygląda ten paraliżujący lęk u Idy? Przyjrzyj się.

– Ona ma metalową obręcz na gardle.

– Co ta obręcz symbolizuje?

– Posłuszeństwo. Bezwzględne posłuszeństwo...

– Powiedz, że może ją zdjąć i położyć obok czarnej peleryny.

– Już zdjęła.

– Co zyskała, zdejmując obręcz?

– Może mówić. Nareszcie potrafi powiedzieć NIE.

– Czy to jest OK?

– Bardzo OK – córka uśmiechnęła się.

– Czy może odsunąć pancerną szybę?

– Nie.

– Czemu?

– Bo wciąż jest sparaliżowana.

– Co ogranicza jej ruchy?

– Nic nie widzę.

– Przyjrzyj się dokładnie, bądź bardzo uważna.

- Ona ma sztylet w sercu! – rzekła przerażona.
- Co symbolizuje jest ten sztylet?
- Nie wiem.
- Zapytaj Idy.
- Mówi, że nie wie...
- To spytaj, co ten sztylet Idzie ogranicza?
- Ona mówi, że nie może kochać tak bardzo, jakby tego chciała, że nigdy wystarczająco mocno nie pokocha swojego dziecka.
- Powiedz jej, że może ten sztylet wyjąć i położyć obok peleryny. Niech to zrobi bardzo delikatnie.
- Już.
- Co się zmieniło u Idy?
- Uśmiecha się. Cieszy się.
- Czy może teraz odsunąć szybę pancerną?
- Tak. Ona się już nie boi tego upiora.
- To teraz powiedz jej...
- Nie!
- Co nie? – spytał zaskoczony.
- Ja już nie chcę być obserwatorem! Ja chcę się znów stać

Idą!

- To wstań i usiądź na fotelu, i się stań Idą.
- Córka przesiadła się na fotel.
- Kim jesteś?
- Jestem znów Idą!
- Co czujesz?
- To niezwykle! Nie czuję już strachu przed upiorem!
- A co czujesz?
- Złość.
- Gdzie ona jest i jak wygląda?
- Czuję, jakbym miała kamień w brzuchu.
- Chcesz go nosić?
- Nie!
- To wyjmij go i połóż obok peleryny.

- Jak mam to zrobić?
  - Tak samo, jak wcześniej robiła to Ida. W wyobraźni.
  - Już wyjęłam!
  - Co zyskałaś?
  - Spokój!
  - Czy to jest OK?
  - Bardzo OK – powiedziała z radością.
  - To teraz przyjrzyj się upiorowi siedzącemu naprzeciwko.
- Czy między tobą a nim jest coś, co wygląda jak połączenie?  
 Jakieś linki, sznurki, taśmy?
- Skąd ty to wiesz, tato?
  - Później ci wytłumaczę, a teraz powiedz, co widzisz.
  - Między jego dłońmi a moimi piersiami jest coś, co wygląda jak rozciągnięta guma do żucia. To jest wstrętne – skrzywiła się z odrazą.
  - Odczep ją od piersi i oddaj upiorowi.
  - Już.
  - Oddałaś?
  - Tak.
  - Powiedz mu, że nie chcesz go nigdy więcej widzieć.
  - Powiedziałam mu!
  - Jak się zachowuje upiór?
  - On płacze.
  - Czy chcesz się dowiedzieć, dlaczego?
  - Chcę.
  - To go zapytaj.
  - On mówi tylko „ja nie chciałem”, i płacze.
  - Możesz mu powiedzieć, że mu wybaczasz. Każ mu zabrać ten płaszcz, obrożę, kamień i sztylet i niech sobie idzie na zawsze... Poszedł?
  - Nie.
  - Zapytaj go, dlaczego nie chce odejść.
  - On mówi, że obroża nie jest od niego.
  - To niech zostawi obrożę, a zabierze resztę. Zabrał?

- Tak.
- Zostawił tylko obrożę? Czy jeszcze coś?
- Tylko obrożę.
- Poszedł?
- Tak. Nie ma go! Naprawdę już go nie ma! – ucieszyła się.
- Zaproś na fotel tę osobę, która obdarowała cię obrozą.
- To mama – ze zdziwieniem powiedziała Ida.
- Oddaj jej.
- Już.
- Wzięła?
- Tak, ale bardzo niechętnie.
- A co mama ma twojego?
- Nie rozumiem...
- Przyjrzyj się mamie, czy ona nie ma czegoś, co należało do ciebie, kiedy byłaś mała, a teraz tego nie masz.
- Ma! Ona ma moją radość!
- Każ jej ją oddać. Oddała?
- Tak, ale niechętnie.
- Powiedz mamie, żeby sobie poszła.
- Już.
- Jak wygląda ta radość u ciebie?
- Ona jest jak złoty pył Dzwoneczka z *Piotrusia Pana*.
- Co teraz możesz?
- Mogę się cieszyć życiem!
- Czy to jest OK?
- Bardzo OK.
- A teraz bądź bardzo uważna. Przyjrzyj się sobie i sprawdź po kolei od głowy aż po czubki palców u nóg, czy nie masz jeszcze czegoś.
- Nie, chyba już nic nie mam.
- Zrób to bardzo dokładnie, centymetr po centymetrze. Popatrz także do środka siebie, czy nic ci nie przeszkadza.
- Coś mam na dłoniach, ale to jest bardzo przyjemne.
- Co to jest?

– To są rękawiczki. Ale one są takie miłe i ciepłe. Proszę, nie każ mi ich wyrzucić.

– Nie obawiaj się, nic ci nie każę. Powiedz, co wartościowego dają ci te rękawiczki.

– Czuję się w nich bezpieczna.

– A co ci ograniczają?

– Myślę, że nic mi nie ograniczają. No może trochę czucie.

– Proszę, abys je na chwilę zdjęła i położyła koło siebie, aby poczuć, jak to jest bez rękawiczek.

– Już. Zdjęłam – wykonała gest zdejmowania rękawiczek.

– Zatrzyj ręce, poruszaj palcami i sprawdź, jak się bez nich czujesz.

– To niezwykle! – zawołała zdziwiona. – One ograniczały serdeczność!

– A co z poczuciem bezpieczeństwa?

– One dawały tylko takie wrażenie, ale to było złudne i fałszywe. Ja już nie chcę więcej nosić tych rękawiczek.

– Czego nie mogłabyś robić, gdybyś je nadal nosiła?

– Nie mogłabym przytulać swojego dziecka.

– Kto cię ubrał w takie świństwo?

– Boję się powiedzieć...

– Do kogo należą te rękawiczki?

– Tatusiu, ja je dostałam od ciebie... – odpowiedziała niepewnie, jakby bała się jego reakcji.

– To mi je oddaj – rzekł, wyciągając dłonie, aby mogła w nie włożyć swoje ograniczenie.

– Co odzyskałaś? – spytał wesoło.

– Zaufanie.

– Czy to jest OK?

– Cholernie OK, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo OK!

– Jak się czujesz?

– Cudownie – po policzkach Idy płynęły łzy radości.

– To czemu beczysz?

– Ze szczęścia!

– To teraz zatrzymaj mocno dłonie, tak aby były gorące, i przyłóż je do twarzy.

Zatarła ręce i siedziała w bezruchu, przyciskając dłonie do policzków

– Na koniec powiedz do siebie „dziękuję” i powolutku wróć do rzeczywistości.

– Dziękuję – wyszeptała.

Czekał w milczeniu, aż otworzy oczy.

– O rany! – zdziwiła się, rozglądając po pokoju.

– Co się stało? – spytał, chociaż wiedział, co odpowie.

– Jakoś tu inaczej...

Wstała z fotela i podeszła do ojca siedzącego na krześle.

Usiadła mu na kolanach, objęła go za szyję i przytuliła się, jakby znów była małą dziewczynką.

– Tatusiu, dziękuję ci. Od wielu lat nie czułam się tak szczęśliwa jak teraz – szepnęła mu do ucha. – Jak ty zabrałeś tego upióra? On znikł na zawsze

– Skąd wiesz, że nie wróci?

– Jego już nie ma! Nie powiedziałam ci wszystkiego: ja go widziałam tylko w snach, ale jego obecność czułam cały czas, także i w dzień. Próbowалаm się od niego uwolnić, na wiele sposobów, ale nic nie skutkowało. A teraz go nie ma. Poszedł sobie!

– Czy wiesz, czego symbolem był ten upiór?

– Chyba zaczynam się domyślać. Wydaje mi się, że to był upiorny pogląd mamy, iż każdy facet zmienia się w łajdaka. Często to powtarzała. Chyba jej uwierzyłam. Czy ja też nie będę umiała zaufać?

– Ty nie jesteś Elą! Ty jesteś TY. Może będziesz ufać, a może będziesz chorobliwie zazdrosna. Nie wiem tego.

– Nie chciałabym być taka jak mama... Ona była zazdrosna o wszystkich, nawet o mnie. Często traktowała mnie jak rywalkę, a nie jak córkę... – zamyśliła się. – To nie była miłość.

– Gdy staniesz się matką, dając miłość swojemu dziecku, możesz jednocześnie dać ją sobie i wynagrodzić niedostatek miłości macierzyńskiej w dzieciństwie.

– Wiem. Mówiłeś już, że im więcej się daje miłości, tym więcej się jej ma. A teraz wytłumacz mi, czemu ja nosiłam twoje rękawiczki.

– Bo wtedy byłem za słaby i nie potrafiłem zachować się normalnie.

– Kiedy? Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwiła się. – Twoja mama nie uwolniła się nigdy od swoich fobii z dzieciństwa, spowodowanych przeżyciami, które wyparła, i z czasem zaczęła mnie z nimi personifikować.

– Wytłumacz mi to, proszę, bez tych twoich psychologicznych zwrotów.

– W miarę jak rosłaś, Ela robiła się coraz bardziej trudna. W końcu zaczęła mnie podejrzewać o pedofilię. Każdy mój czuły gest skierowany do ciebie brała za molestowanie seksualne. Zagroziła mi nawet sprawą sądową, jeśli zobaczy, że cię dotykam. Nie wolno mi cię było nawet przytulić czy wziąć na kolana.

– A ja myślałam, że ty mi nie pozwalasz siadać na kolanach, bo mnie nie lubisz!

– Uczucia nie da się przekazać jedynie słowami i wzrokiem. Miłość to nie tylko wyrazy i spojrzenia, ale również dotyk i przytulenie.

– Uważałam cię za zimnego i nieczułego.

– W ten sposób wytworzyło się w tobie złudne poczucie bezpieczeństwa. Bo jeśli nie ma kontaktu, to zagrożenie nie istnieje. Nie ma również czułości. Ale brak jakiegokolwiek kontaktu cielesnego spowodował, że nie mogłem ci przekazać tego, co do ciebie czuję.

– Dlatego powiedziałeś, że nie ty byłeś upiorem?

– Byłem pewien, że nawet, jeśli miałeś jakiś przykry kontakt erotyczny w dzieciństwie, to na pewno upiór nie mógł mieć

mojej twarzy. To był najprostszy sposób, aby wyrwać cię z tego stanu.

– Zawsze marzyłam, żeby siedzieć ci na kolanach tak jak teraz. Jestem szczęśliwa jak dziecko. Czuję się jak nowo narodzona! Jak to zrobiłeś?

– Ja nic nie zrobiłem. To nie ja, ty to zrobiłaś. Ja ci tylko podpowiedziałem, jak to zrobić.

– Dobra, dobra... Bujać to my, a nie nas. Skąd znasz tę technikę?

– To stara indiańska metoda.

– Kto cię tego nauczył? Przecież ty nigdy nie byłaś w Ameryce.

– Ja nie byłem, a ty jeszcze się nie domyślasz?

– Nie. No powiedz, kto?

– Czy ty wiesz, która jest godzina? Pora spać.

– O nie! Nic z tego. Nauczyłeś mnie mówić NIE. Teraz nie pozwolę ci zasnąć. Zrobię ci kawę, a ty przygotujesz kolejną rozwlekłą historyjkę. Tak będzie, jak mówię! Nic mnie nie obchodzi, że jesteś zmęczony. Czuję się tak, jakby po raz pierwszy „nie”, które mówię, rzeczywiście znaczyło NIE.

– A ja czuję, jakbyś po raz pierwszy mówiła TAK i wiedziała, co to oznacza.

– Masz rację. Coś w tym jest.

– Jeśli nie używamy słowa NIE, to nasze TAK jest bez wartości.

– Masz rację. Proszę o czas dla drużyny na toalety odwiedziny... – zrywała, wstając z kolan i całując go w czoło.

– Nie ma sprawy, zrób mi kawę – zripostował natychmiast.

## Rakietnica

– Tym razem zrobiłam ci z mlekiem, aby nie padło ci serce od kofeiny przy kolejnej opowieści. O ile cię znam, ta też nie będzie krótka – postawiła przed nim kubek z kawą.

– Nie mam innego wyjścia, muszę pić, co mi podajesz. Skoro najwspanialszą córkę świata spłodziłem z kobietą uznaną przez psychiatrów za ciężko chorą na nieuleczalną cyklofrenię, to pozostaje mi się tylko cieszyć, że nie zaparzyłaś mi ziółek.

– Robiąc kawę, domyśliłam się, od kogo znasz tę technikę pracy z wyobraźnią. Jeśli Bella żyła w starożytności, to zapewne także wśród Indian.

– Brawo! Zgadłaś!

– No to opowiadaj dalej.

– Na czym to ja skończyłem?

– Świeczka zgasła, a ty zasnąłeś nagi w fotelu – przypomniała mu przerwane opowiadanie.

– Następnego dnia po południu uciąłem sobie drzemkę i wyspałem się na zapas. Gdy tylko Ela zamknęła oczy, od razu zapytałem:

– Śpisz?

– A Bella odpowiedziała śpię – zakpiła córka.

– A właśnie, że nie! Nie śpię – usłyszałem w odpowiedzi głos Eli. – Mam tylko zamknięte oczy, czemu pytasz? Jeszcze raz chcesz sprawdzić, czy mówię przez sen?

– Chciałbym ci opowiedzieć bajkę na dobranoc – zrobiłem się na tyle ostrożny, że natychmiast wymyśliłem jakąś słodką opowiastkę o kapłance pilnującej świętego ognia. Nie pragnąłem prowokować dalszych podejrzeń. Dopiero gdy zasnęła na dobre, spróbowałem znów. Tym razem z oczekiwanym rezultatem.

– Witaj, Bell.

- Lubię, gdy tak do mnie mówisz – rzekła na powitanie.
- Wiem, dlatego tak mówię.
- Skąd wiesz? – zdziwiła się.
- Bo gdybym ja był Bell, też bym lubił. Po prostu cholernie się cieszę, że możemy porozmawiać.
- Czego chciałbyś się dowiedzieć dzisiejszej nocy?
- Za co mnie pokochałaś?
- Za twoje chrapanie w tonacji durowej – zachichotała.
- Proszę, odpowiedz poważnie.
- Za to jaki jesteś, za to jak kochasz Elę, za twoją odpowiedzialność i wierność.
- Skąd wiesz o mojej wierności?
- Zauważyłabym natychmiast najdrobniejsze oznaki zdrady. Ty idąc z Elą ulicą, nie oglądasz się na za innymi kobietami. Ty nawet nie dostrzegasz znajomych.
- I to wystarczyło?
- Nie.
- Kiedy zrozumiałaś, że mnie kochasz?
- Gdy rozplakałaś się w kinie na *Piotrusiu Panie*. To był dla mnie najtrudniejszy moment. Ela powiedziała, żebyś się przestał mazać i zachowywał się jak facet, bo dzieci się z ciebie śmieją. Nie masz pojęcia, jak cierpiałam. Wtedy zapragnęłam cię przytulić. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek pocałujesz mnie, a nie Elę. Bałam się, że zwariuję, jeśli zacznę o tym marzyć.
- Nadal się boisz?
- Nie. Teraz wiem, że mnie kochasz. Jestem szczęśliwa.
- Ja też – przyznałem otwarcie.
- A co cię smuci?
- Skąd wiesz, że coś mnie gnębi?
- Słyszę to w twoim głosie.
- Zapomniałem, że przed tobą nic się nie ukryje.
- No to opowiadaj o swoim problemie.
- Czy jest możliwe, abyśmy się kiedyś ze sobą kochali?

– Tak. Teoretycznie jest to możliwe, jeśli oboje tego będziemy chcieli, ale ty masz problem moralny. Uważasz, że w ten sposób zdradziłbyś Elę.

– Tak.

– No to nie zdradzaj.

– Ale ja ją już zdradziłem psychicznie. Kochając się wczoraj z Elą, myślałem o tobie.

– Wiem o tym. Ostatnim razem patrzyłeś na nią inaczej.

– I co ja mam teraz zrobić? Kocham Elę i kocham ciebie. Z nią brałem ślub, a nie z tobą. Chciałbym się z tobą kochać, gdyby to nie było zdradą.

– A jeśli to jest zdradą, to zrezygnujesz z kochania się ze mną?

– Tak. Będzie nas łączyła tylko miłość platoniczna. Ona też jest piękna.

– Pieprzysz głupoty, ale za to też cię kocham.

– Nie rozumiem. Wytłumacz mi, proszę.

– Kocham cię za twoją moralność i odpowiedzialne decyzje. Na rozpoczęcie współżycia zdecydowałeś się dopiero wtedy, kiedy byłeś pewien swojego uczucia.

– Ale teraz wiem, że nie skrzywdziłbym ani ciebie, ani siebie, a jednak nie potrafię zaproponować ci współżycia.

– Ja ci w tym nie pomogę.

– Wiem, że nie potrafisz.

– Mylisz się. Potrafię pomóc ci podjąć decyzję, ale nie zrobię tego, bo nigdy bym nie wiedziała, jak bardzo mnie pragnęłaś. Jestem kobietą i chcę być zdobywana, a nie podawać się sama na tacy.

– Przepraszam cię za tę rozmowę, ale swoimi wątpliwościami przekroczyłem jakąś granicę i nigdy już nie będzie między nami pełnej szczerości.

– Znowu jesteś w błędzie. Będzie. Ale teraz idź, zapal papierosa i porozmawiaj.

– Z kim?

– Ze sobą. To jedyny człowiek na tej wyspie, który może ci doradzić, jak masz postąpić.

– Poszedłem nad morze zrobić rachunek sumienia. Przypomniały mi się spacer po lesie z księdzem Bronkiem. Poruszaliśmy najróżniejsze tematy. Dyskutowaliśmy o moich przemyśleniach i postrzeganiu świata. Opowiadałem mu, co się zdarzyło w moim życiu od naszego ostatniego spotkania. Spacer zakończyły się w niezwykle dla mnie sposób. „Uklęknij”, mówił mój stary przyjaciel i dawał mi rozgrzeszenie. Tak oto wyglądała spowiedź u księdza Bozowskiego.

To był najwspanialszy człowiek, jakiego udało mi się poznać. Nie miał nic oprócz stołu, krzesła, łóżka i ściany wyklejonej setkami zdjęć ludzkich twarzy. Każdy z tych ludzi zawdzięczał mu coś cennego. Zazwyczaj był to uśmiech i nieznośna lekkość serca, na którą się cierpiało po spotkaniu z nim.

Jakiś czas przed moim ślubem rozmowa z księdzem Bronisławem zamieniła się w dyskusję na temat moralności. Wtedy już kochałem się z Elą, jakbyśmy byli małżeństwem. Współżyliśmy ze sobą. Robiliśmy to z miłości i z pełną świadomością konsekwencji. Trzygodzinna dysputa nie doprowadziła nas wtedy do zbliżenia poglądów. Każdy z nas wytaczał argumenty nie do odparcia i trzymał się ich jak tonący brzytwy. W końcu Broniek rzekł: „Możliwe, że Bóg nie po to stworzył człowieka, żeby nie grzeszył, ale po to, by kochał. Niestety, jestem tylko księdzem katolickim i papież zabronił mi rozgrzeszania dzieciaków szczęśliwych bez sakramentu, i na dodatek nieżałujących tego, co robią. Jeśli ty nie potrafisz wzbudzić w sobie żalu za grzechy, to ja nie mogę udzielić ci sakramentu pokuty”. A po namyśle dodał: „Z wyjątkiem dnia ślubu oczywiście”.

Udzielając nam ślubu, powiedział do mojej żony niezwykle zdanie: „Ty jesteś obietnicą, która nigdy nie będzie do końca spełniona”. Co to miało oznaczać, zrozumiałem dopiero patrząc na gładką taflę morza, w której odbijały się gwiazdy.

Wróciłem do domku i uklęknałem przed łóżkiem.

– Pragnę cię i chcę, aby łączyło mnie z tobą wszystko, co tylko jest możliwe. Nie wiem, jakie mogą być tego konsekwencje. Akceptuję wszystko, co mnie czeka. Jednak, aby nie wypaść zbyt pompatycznie, zrymuję: od ciebie oczekuję, że nigdy tego nie pożałuję.

Kochaliśmy się aż do świtu...

Połączył nas seks, świeży jak poranna rosa na trawie...

Nasze współżycie to były pieszczoty, słowa, gest, żart...

Ono było jak wędrówka po górach, gdy godzinami wchodzi się na szczyt, by usiąść na kilka minut i nacieszyć oczy widokiem roztaczającym się dookoła.

Nie potrafię inaczej tego określić, ono było jak taniec, jak poezja, jak bajka...

Głos mu się załamał.

Zamilkł.

Córka też milczała.

Wstał i poszedł do łazienki.

Głośno wysmarkał nos. Wrócił.

– To był początek. Co noc współżyłem z Bellą, a co dzień z Elą.

Jedna była moją żoną, druga kochanką.

Jedna była jak chleb powszedni, druga jak pokaz sztucznych ogni.

Żyłem w dwóch światach.

Po tygodniu odczułem przesyt i zacząłem unikać stosunków w dzień. Nadal jednak każdej nocy dochodziło między nami do współżycia. Ela nic o tym nie wiedziała... Moja ślubna poczuła się zaniebawiana nie tylko brakiem seksu, lecz także tym, że sypiałem do południa. W ciągu dnia nie miałem chęci na rozmowę, pragnąc przemyśleć to, czego dowiedziałem się podczas dyskusji trwających aż do świtu.

Ela zaczęła mi robić wymówki, z którymi nie potrafiłem sobie poradzić. Znalazłem się w ślepych zaułku. Nie mogłem jej wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje, ani powiedzieć, co robię

nocami. Była rozczarowana naszym małżeństwem i przestała to ukrywać. Ja miałem serdecznie dość jej wymówek i dąsów, a w końcu także jej samej. Po całodziennym piekle nienawiści i awantur zapalałem świeczkę, aby przejść do raju miłości i zrozumienia. Następnego dnia unikałem jej jeszcze skuteczniej.

Najpiękniejszy Eden nie wynagrodzi potworności Hadesu. Otwarcie okazywaliśmy sobie nienawiść. Całymi dniami wyśmiewała się z moich prawdziwych i wymyślonych przywar. Nie pozostawałem jej dłużny i również kopałem ją w najczulsze miejsca.

Gdybyśmy wtedy mogli uciec z wyspy, to na sali rozwodowej spotkaliby się tylko nasi adwokaci. My nie mogliśmy już na siebie nawet patrzeć. Decydującego wieczoru wzięła do ręki raketnicę, żeby wezwać straż przybrzeżną. Kpiłem, że nie odważy się wystrzelić racy. Chciałem ją rozżłóścić. Chciałem, aby to ona wystrzeliła. W ten sposób mógłbym zrzucić na nią całą odpowiedzialność za naszą porażkę. Odłożyła raketnicę. Zaczęła wyśmiewać moje tchórzostwo i to, że ja też nie mam odwagi wziąć odpowiedzialności za naszą przegraną.

– Nie uda ci się! Dziś jest twój dzień odgrywania kretyńskiej scenki. Jeśli nie zrobisz tego dziś, to ja jutro wystrzelę i mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie spotkam. A teraz idź spać, bo mam cię tak dosyć, że jeszcze chwila, a zaduszę cię gołymi rękami... – byłem w amoku i zrobiłbym to bez mrugnienia okiem. Ale gdybym to zrobił, to zabiłbym też Bellę!

Zasnęła bardzo szybko, ale moja wściekłość nie mijała.

– Śpisz? – zawołałem.

– Śpię... – odpowiedziała Bella swoim ciepłym głosem, zupełnie jakby nie rozumiała, co się ze mną dzieje, a przecież wiedziała wszystko.

– Wiesz, że to jest nasza ostatnia rozmowa. Nigdy więcej nie będziemy mieli możliwości się spotkać. Przed chwilą byłem w takim stanie, że nawet byłem gotów zamordować żonę. Nie wiem, czy bym tego nie zrobił, gdyby nie ty. Nie umiem tak

żyć. To, co na początku było piękną przygodą, teraz zmieniło się w makabryczny koszmar. Doszło do tego, że nienawidzę jej i nienawidzę siebie. Jeśli się jutro nie rozstaniemy, zwariuję. Doszedłem do granicy, za którą już nic nie istnieje. W tej chwili marzę tylko o śmierci. Jutro rozstanę się z Elą, a pojutrze prawdopodobnie popełnię samobójstwo z rozpacz. Ja już nie umiem żyć, ja już nie chcę żyć. Marzę tylko o jednym: wypłynąć w morze, tak jak kilka dni temu... i nie wrócić... Ale obawiam się, że jestem tchórzem i nie potrafię się nawet utopić.

– A więc jednak żałujesz, że mnie poznałeś?

– Nie. Gdybym mógł jeszcze raz decydować, zrobiłbym to samo. Niczego mi nie żal. Te kilka nocy było najpiękniejszym czasem mojego życia. Szkoda tylko, że to się tak musiało skończyć.

– Nie musiało – odpowiedziała spokojnie Bella.

– Wiesz, dlaczego tak się stało?

– Wiem.

– Czemu sytuacja mnie przerosła?

– Bo pozwoliłeś na to. Z dnia na dzień było gorzej. Nie zrobiłeś nic, aby to przerwać.

– Ty też uważasz, że to moja wina?

– Ja nie wiem, co znaczy „wina”, nie jestem sędzią.

– To czemu tak jest?

– Godziłeś się na to, aby narastała w tobie nienawiść, złość, bezsens...

– A więc wszystko wiedziałas! – przerwałem jej ze złością.

– Jak możesz mówić, że mnie kochasz, skoro nic nie zrobiłaś?

– Miłość to nie parasol – odrzekła z powagą.

– Dlaczego mi nie pomogłaś?

– Bo to jest twoje życie. Nie jesteś już dzieckiem potrzebującym prowadzenia za rączkę. Jeśli kiedykolwiek będziesz mężczyzną, stanie się to tylko wtedy, kiedy nauczysz się kontrolować swoje życie. Gdy w pełni zaczniesz brać odpowiedzial-

ność nie tylko za to, co robisz, ale również za to, czego zaniechałeś.

– Miałem nadzieję, że ten problem sam się rozwiąże.

– I udając, że go nie ma, pozwalałeś, żeby narastał. Słowem nie wspomniałeś podczas naszych nocnych rozmów o swoim problemie.

– Bałem się ciebie zranić. Bałem się, że zamilknie, aby ratować moje małżeństwo.

– A dziś nawet byłeś gotów zabić Elę i mnie. Bojąc się stracić część tego, co masz, możesz stracić wszystko. Najgorszym złem jest grzech zaniechania.

– Ja wszystko straciłem. Teraz jest już za późno, by cokolwiek naprawić.

– Nigdy nie jest za późno.

– To tylko pusty frazes. Już jest za późno. Już nie chcę nic naprawiać. Jedyne, czego chcę, to mieć wystarczająco dużo odwagi, żeby się utopić dzisiejszej nocy.

– Mogę ci dać męstwo wystarczające do popełnienia samobójstwa. Mogę cię również nauczyć, jak się wyżyć nienawiści, i przywrócić ci odwagę do życia.

– Czy to możliwe?

– Tak. Mogę ci pomóc. Jutro możesz już nie istnieć i mieć święty spokój. Albo możesz mieć chęć do życia i mozolnie zacząć naprawiać swój związek z Elą. Wybieraj. Istnieje też trzecie rozwiązanie. Możemy zakończyć naszą rozmowę i pójść spać, nic nie zmieniając.

– Jestem zbyt zmęczony. Chcę pójść spać.

– To też będzie twój wybór.

– Ale ja nic nie chcę wybierać.

– Nie wybierając, wybierasz porażkę.

– Najbardziej podoba mi się rozwiązanie z samobójstwem, jeśli się na nie zdecyduję, to już nigdy nie będę zmuszony do podejmowania decyzji.

– Nie byłabym tego taka pewna...

- Bo?
- Bo nie mogę ci zagwarantować, że reinkarnacja nie istnieje.
- A istnieje?
- Dowiesz się tego w swoim czasie – odpowiedziała śmiertelnie poważnie.
- Kiedy?
- Nie wiem. Każdy ma swój czas, twój też kiedyś nadejdzie...
- I co wtedy? – obudziła we mnie zainteresowanie.
- Wtedy poznasz wszystkie odpowiedzi!
- A co teraz mam zrobić?
- Wybrać.
- Najprościej według mnie byłoby pójść spać, trudniej jest się zabić, a najtrudniej żyć. Ale ty nadal masz nadzieję, że wybiorę życie?
- Tak.
- Dlaczego znów mam wybrać to, co najtrudniejsze? Tylko dlatego, że mnie kochasz?
- Nie.
- No to z jakiego powodu? – Bella milczała. – Widzisz, że nie ma żadnego powodu, abym dalej żył.
- Jest co najmniej jeden.
- Jaki? – spytałem ze złością.
- Życie człowieka ma głębszy sens, niż przypuszczasz. Nie ty dałeś sobie życie i dlatego nie wolno ci go sobie odbierać. Gdybyś to zrobił, to... – Bella zamilkła. Po twarzy płynęły jej łzy, ale nie robiły już na mnie wrażenia. Jedna z nich zatrzymała się na policzku i rozbłysła w świetle świeczki jak iskierka. To była iluminacja, której potrzebowałem. Na ułamek sekundy odwróciła moje myśli. Zainteresowało mnie zjawisko fizyczne zwane całkowitym odbiciem promienia światła. Bella wciąż milczała, a to znaczyło, że nie chce powiedzieć czegoś ważnego. Nie musiała mówić...

– Stałbym się taką Bellą jak ty? Milczącą osobowością, która zamieszkuje cudze ciało? Ty kiedyś popełniłaś samobójstwo. A teraz jesteś skazana na Elę i... – czasem jedna łał po trafi zmienić ludzkie życie.

– Tak... Ale istnieje jeszcze inna przyczyna, dla której nie możesz się zabić – wyszeptwała.

– Jaka?

– Bo ja w ciebie wierzę.

Tych kilku prostych słów nikt mi wcześniej nie powiedział! Nawet matka. Wiara okazała się tym, czego potrzebowałem najbardziej. Była silniejsza od nadziei i miłości, która nie potrafiła podjąć decyzji. Skoro Bella uwierzyła we mnie, ja byłem w stanie wykrzesać z siebie nadzieję, że wszystko można zmienić.

Zrozumiałem, że „tylko dla kogoś, kto w nas wierzy, mamy odwagę rosnąć”.

Zaczęliśmy zmuszać pracę z moimi emocjami i zapatrywaniami.

Bella nauczyła mnie, w jaki sposób mogę się stać tym, kim chcę, rewidując swoje przekonania. Na każdy temat.

Na pierwszy ogień poszła nienawiść, dusząca jak kolczatka.

Następnego dnia słońce zaświeciło jaśniejszym blaskiem.

Na szczęście natura wymyśliła miesiąckę...

Najwyraźniej szczęście też chodzi parami.

Ela była zaskoczona moją nocną przemianą i przeprosinami, ja zmianą jej nastawienia do mnie.

Znów zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

Rakietnica pozostała w szafce nawet wtedy, gdy pogruchołałem nadgarstki.

Widocznie piekło było nam potrzebne, aby stworzyć małżeństwo.

Na gruzach beztroskiej miłości wyhodowaliśmy niezwykle rzadko spotykaną odmianę świadomego uczucia.

Po kilku nocach zrozumiałem, że moja osobowość była zlepkiem marzeń, bajek i ideałów wyniesionych z dzieciństwa. Niewiele miały one wspólnego z otaczającym mnie światem, a mimo to kurczowo się ich trzymałem. Jak dziecko oceniałem to, co mnie spotyka, jedynie w kategoriach „dobre” lub „złe”.

W czasie wielogodzinnych dyskusji przepracowywałem z Bellą swój światopogląd. Nic już nie stanowiło tabu: religia, etyka, seks i uczucia poszły pod nóż. To, co wydawało mi się podstawową wartością, nagle nie wytrzymało konfrontacji z rozumem.

Honor, duma i patriotyzm pękały jak zielony balonik lub rozsypywały się jak popiół z papierosa.

Obawiałem się, że nie zostanie mi nic, co uznawałem za cenne. Jednak MIŁOŚĆ przetrwała. Okazała się podstawową wartością. Na niej, po oczyszczeniu jej z praw i obowiązków, zacząłem tworzyć swoją wizję świata. Dzięki Belli zbudowałem swoje nowe, w miarę spójne wyobrażenie tego, co zwie się powszechnie światopoglądem.

– Skąd Bella wiedziała, jak to się robi?

– Pamiętasz cierpiącego na autyzm Raymonda z filmu *Rain Man*, grał go Dustin Hoffman? Bella miała bardzo podobne umiejętności. Na dodatek potrafiła je wykorzystać, oczywiście tylko we śnie. Gdybym miał tak genialny umysł, to zgarnąłbym wszystkie nagrody Nobla.

– To wtedy Bella nauczyła cię tej techniki pracy z wyobraźnią, którą godzinę temu zastosowałeś na mnie?

– Dokładnie tak wyglądało moje czyszczenie świata.

– Ona to wymyśliła?

– Nie. Sposób zmiany nastawienia do życia i pracy z emocjami poprzez wizualizację znany był już przed wiekami.

– A jak ona go poznała?

– Bella uważała, że Ela jest tylko kolejnym, ale nie ostatnim wcieleniem, w którym przyszło jej żyć.

– Wierzysz w reinkarnację?

– Nie wiem, czy metempsychoza istnieje. To jest dla mnie bez znaczenia.

– Dla ciebie nie ma znaczenia, czy istnieje wędrówka dusz, czy nie?

– Bardzo dobrze mnie rozumiałaś. Tak właśnie jest zbudowana moja teoria świata.

– Nie rozumiem.

– Czego?

– Czemu się rozwiedliście?

– Bo twoja mama chciała rozwodu.

– Ale dziś w szpitalu powiedziałeś mi, że ją kochałeś w chwili rozwodu.

– Tak i jeszcze kilka lat po rozwodzie.

– To czemu się zgodziłeś na rozwód?

– Gdy wyczerpałem wszystkie swoje możliwości, to pogodziłem się z tym. Widocznie nasze drogi miały się rozejść.

– A może kochałeś tylko Bellę, a nie mamę?

– Nie. Z Bellą rozstałem się dużo wcześniej.

– Kiedy?

– Jeszcze zanim ty się urodziłaś.

– Jak się rozstaliście?

– Po prostu Bella odeszła.

– Jak to odeszła, przecież ona nie mogła sama chodzić?

– A jednak odeszła.

– Ty wiesz, ale nie chcesz mi powiedzieć.

– Masz rację. Nie chcę.

– Czy Bella umarła?

– Nie.

– To co się z nią stało? Z tego, co mi opowiadałeś, nie mogła przestać istnieć ani popełnić samobójstwa.

– Rozstaliśmy się.

– Jak?

– Odeszła w inne wcielenie.

– Chciałbyś ją spotkać?

- Wierzę, że kiedyś będziemy razem.
  - Nadal kochasz Bellę.
  - Tak. A teraz chodźmy spać, bo za chwilę zaczniesz świtać.
  - Mam jeszcze jedno pytanie. Nosisz na szyi jakiś talizman. Co to jest?
  - To jedyna pamiątka, jaką mam z naszej wyspy. Zanim wsiedliśmy do motorówki, schyliłem się i podniosłem dwa kamyczki. Jeden z nich noszę na szyi.
  - A co się stało z drugim?
  - Drugi wręczyłem twojej mamie w momencie, gdy nasza wyspa malała na horyzoncie. Całą drogę powrotną do Warszawy trzymała go w dłoni... – zakończył wspomnienia.
  - Pościelę ci łóżko.
  - Nie chcę spać w łóżku. Wolę zostać tu na kanapie. Proszę, daj mi tylko poduszkę i koc – powiedział tonem nieuznającym sprzeciwu.
- Przyniosła mu z drugiego pokoju to, o co prosił, i przytuliła się do niego.
- Dobranoc, córeczko.
  - Dobranoc, tatusiu – szepnęła, zamykając drzwi.

## Prowiant

Nie zdejmując ubrania, położył się na wznak. Zamknął oczy, ale nie zamierzał spać. Nie przykrył się nawet kocem. Chciał jeszcze przemyśleć i podsumować kolejny dzień życia.

Zastanawiając się, czy nie opowiedział za dużo, dotknął kamyka zawieszonoego na szyi i natychmiast zasnął. Gdy zachrapał, Ida weszła do pokoju. Ułożyła się koło śpiącego ojca i wtuliła głowę w jego ramię. Była przekonana, że dziś nie wyznał wszystkiego. Czuła, że za kilka miesięcy znów się spotkają i wtedy opowie następną część nieznaną jej historii.

Domyślała się, że za kilka godzin, gdy ona jeszcze będzie spała, ojciec wstanie i swoim zwyczajem wyjedzie bez pożegnania. Na kłamce powiesiła białą plastikową torebkę z napisem zrobionym flamastrem: „Prowiant na drogę dla Andrzeja”. Uśmiechała się na myśl o jego reakcji, gdy między kanapkami z suszoną kiełbasą znajdzie kartkę z wykaligrafowanym zdaniem: „Kocham Cię – Bella”.

Stał się dla niej nie tylko ojcem, ale kimś więcej...

Zaprażyła, by pierwsze ciepło, które poczuje kielkujące w niej życie, pochodziło od niego.

Rozpięła sobie spodnie.

Wzięła jego bezwładnie śpiącą rękę i położyła na brzuchu.

Przycisnęła jego gorącą dłoń w niezwykłym dla Kobiety miejscu - między pępkiem a granicą majtek.

*Warszawa, 13 stycznia 2004 r.*

## Spis treści

### Awers

Dyktafon	7
Dzwony	17
Śmieć	23
Śmietanka	30
Woda	36
WC	47
Sad	52
Szarlotka	63
Szachy	70
Krzak	76
Duch	84
Kaseta	90
Prześcieradło	102

### Rewers

Placebo	105
Sen	109
Owsianka	118
Traviata	123
Konduktor	128
Ptak	137
Matka	141
Sernik	149
Upiór	166
Rakietnica	180
Prowiant	193

Właśnie skończyłam czytać *Bellę*. Jeszcze ryczę, łzy spływają mi na klawiaturę. Może dziś będę mogła się wyspać, bo ostatnie noce spędzałam z *Bellą*, podobnie jak główny bohater.

*Joanna*

Po przeczytaniu chciałoby się być, po pierwsze ukochaną córeczką i nigdy nie dorosnąć, po drugie spędzić życie z tak romantycznym i wrażliwym mężczyzną - wariatem.

*Elka*

To prawdziwa pożywka, zarówno dla ducha, jak i umysłu. Czytelnikiem *Belli* powinien zostać każdy stawiający „żyć” nad „być”.

*Martyna*

Książka należy do tej cennej kategorii książek, których wartość poznaje się nie tylko w trakcie czytania i zaraz po, ale również znacznie później, bo głęboko zapada w podświadomość.

*Krzysztyna*

Ciągle jestem pod wrażeniem pierwszego kontaktu. Doskonale autor zna zawilosci duszy ludzkiej. Podczas czytania ma się wrażenie, że książka jest tylko dla osoby, która jest czytelnikiem i została dopuszczona do uczestniczenia w rozmowie bliskich sobie osób.

*Aneta*

W książce jest tak dużo prawd. Wiele z nich było już wcześniej we mnie. Teraz mam ich więcej, i to takich cennych. Ta książka jest niezwykła. Zafascynowała mnie! Wiem, że często będę do niej wracała, by na nowo coś odkrywać.

*Krista*

